

De. II 1
TOM CCLX.

ROK 65.

SERYA 9.

ZESZYT 778.



IBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

PAŹDZIERNIK.

1905.

TOM IV. — ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1905.

TREŚĆ ZESZYTU.

Str.

1.	PRZED WYBORAMI DO IZBY PAŃSTWOWEJ, — przez <i>Henryka Sienkiewicza</i>	1
2.	DEKADENCI, — przez <i>W. Dzieruszyckiego</i>	7
3.	DWAJ NUNCYUSZE W WARSZAWIE, — przez <i>Macieja Loreta</i>	47
4.	WROGOWIE KOBIETY, — przez <i>Ardensa</i>	61
5.	SŁONECZNA CISZA PÓL, — przez <i>Bronisławę Ostrowską</i>	87
6.	MIASTA OGRODOWE, — przez <i>Zygmunta Gargasa</i>	90
7.	NA SCENIE I NA ESTRADZIE, — przez <i>W. Bogustawskiego</i>	101
8.	DAWNY ZARZĄD WAWELU, — przez <i>Stanisława Kutrzebę</i>	123
9.	WSPÓŁCZESNY PRZEDSTAWICIEL IDEALIZMU W NIEMCZECH, przez <i>Adama Żółtowskiego</i>	140
10.	PIŚMIENICTWO:	
	ZYGMENT KRASIŃSKI: Pisma, za zezwoleniem rodziny poety wydał Tadeusz Pini. Wydanie krytyczne, zupełne, ze słowem wstępnem prof. d-ra Józefa Kallenbacha. Tom I—VI. We Lwowie, nakładem Księgarni polskiej B. Połonieckiego, 1904. Warszawa, E. Wende i Sp.	
	JÓZEF KALLENBACH: Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość lat młodych (1812—1838). Tom I—II. Lwów, 1904, nakładem księgarni B. Połonieckiego, Warszawa, E. Wende i Sp., 8-o, str. XVI + 363 i 447. („Pisma“ Zygmunta Krasińskiego. Tom VII i VIII)	171
	DR. ZBIGNIEW PAZDRO: Organizacya i praktyka żydowskich sądów podwojewódzińskich w okresie 1746—1772 r. Na podstawie lwowskich materyałów archiwalnych. (Monografie z historyi żydów w Polsce). Lwów 1903 r.	180
11.	KRONIKA MIESIĘCZNA:	
	Przed wyborami. — Z przedmieścia Warszawy. — Pogłoska o bibliotece publicznej. — „Półoświata“ i projekty p. Langego. — Ankieta rzemieślnicza. — Wspomnienia pozgonne: ś. p. prof. Edward Korezyński; — ś. p. Bronisław Zawadzki	184
12.	WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	197

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 6.

Ogłoszenia Biblioteczne Tom IV

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

PIRRO MIESIĘCZNE

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Rok 1913 - Tom IV

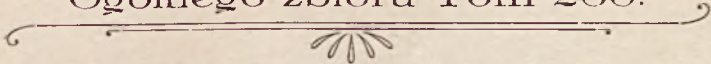
WARSZAWA

Wydawnictwo Biblioteczne Biblioteki Warszawskiej

Wydawca: Instytut Biblioteczny

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA


Ogólnego zbioru Tom 260.



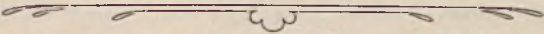
BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1905. — Tom IV.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1905.

Opisane Bibliot. Tom 200

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA



Dc. II. 1.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 сентября 1906 года.

Vol. 1906 - Tom IV

WARSAWA

Wydawnictwo Biblioteczne i Księgarskie "Bos"

1906

Warszawa, ul. Miodowa 10

Przed wyborami

DO IZBY PAŃSTWOWEJ.

Nie stawiam swej kandydatury do sejmu państwowego ani w Warszawie, ani w Kieleckiem. Gdybym był wbrew mojej woli wybrany, musiałbym stanowczo rzec się za-szczytu. Powodów tego postanowienia nie widzę potrzeby wyjaśniać, są one bowiem natury czysto prywatnej a zatem nie mogą nikogo interesować. Jeżeli zaś wspominam o samem postanowieniu, to jedynie dla tej przyczyny, że wobec tego nikomu niewolno będzie mnie posądzić, że mówię pro domo mea.

Tak jest! — nie mówię pro domo mea, nie polecam się niczyim łaskawym względem i nie daję nikomu prawa do przypuszczania, że upatruję właśnie w sobie te zalety, których wymagam od kandydatów do przyszłego sejmu. Zapewnia mi to zupełną swobodę w wypowiedaniu mych myśli i powiększa wagę słów moich, jako dyktowanych tylko przez miłość dobra publicznego.

Pytaniem kogo wybrać do sejmu, zajmuje się coraz więcej nasze społeczeństwo i prasa. Podnoszą się głosy

zalecające tych lub owych kandydatów. Jedni rają nam ekonomistów, jako najsprawniejszych przewodników na drodze wiodącej do ogólnego dobrobytu; inni, takich polityków, którzy odczuwają najlepiej duszę narodową, inni poczytują za główną zaletę znajomość zadań prawno-społecznych, inni pedagogicznych i wogóle kulturalnych.

Przedewszystkiem jednak wysuwają swych ludzi stronnictwa. — „Kto nie należy do nas, ten tem samem jest nieodpowiedni i niegodzien“ — oto w istocie rzeczy zasada i hasło, pod którem rozpoczynają się zabiegi wyborcze. A w ten sposób, gdybyśmy wysłuchali wszystkich stronnictw, pokazałoby się, że wcale niema ludzi odpowiednich i godnych.

A jednak trzeba ich znaleźć! — trzeba koniecznie! — Inaczej naród nasz, który ma świetną przeszłość, który żył własnem ogromnem życiem państwowem i który posiada tak odwieczne tradycye parlamentarne, jak mało który w Europie, może odegrać smutną i mizerną rolę w przyszłym sejmie, a tem smutniejszą, im ów sejm większe będzie miał przed sobą zadania i im udział w nim naszych wybrańców okazałoby się mógł bardziej decydującym o losach naszego kraju.

Powinno zaś być przeciwnie. Pomimo że Cesarstwo miało samorząd, którego nam nie dano, a który mógł w Rosyi przygotować ludzi do życia publicznego, pomimo iż miało swoje własne uniwersytety, których nam brakło, powinien nasz naród, właśnie dzięki swej przeszłości i w imię swej tradycyi zdobyć się na zastęp ludzi, którzyby mogli zająć poważne i wybitne stanowisko w Izbie państwowej, złożyć świadectwo odziedziczonych i przechowanych w głębi narodowej duszy uzdolnień, odznaczyć się rozumem stanu, gruntowną znajomością spraw i ciężących na przedstawicielstwie zadań, odznaczyć się bystrością w wyborze dróg wiodących do celu, prawością w taktyce parlamentarnej. A wreszcie, powinien zalecić takich, na których naro-

dowem sumieniu i charakterze można w zupełności polegać i z całym zaufaniem złożyć swe losy w ich ręce.

Wszelki parlament jest to młyn, którego mechanika prędko oddziela ważne ziarno od plew. W normalnych warunkach pracy wrażenia wywoływane przez sejmowych krzykaczy mijają jak fajerwerki, zostawiając po sobie jedynie dym — istotny zaś wpływ, głęboki, wyciskający swą pieczęć na wszelkich sprawach i urabiający często przyszłość dziejową, wywierają w dłuższym biegu lat tylko prawdziwie *wybitni* przedstawiciele wielkich idei i silne a solidarne grupy, które idą za ich przewodem.

Potrzeba nam wpływu — szukajmy więc odpowiednich ludzi.

Ale gdzie ich znaleźć i jakich właśnie nam potrzeba?

Kompetencya ekonomiczna i prawnicza jest niewątpliwie wysoce w posłach pożądana, ale do rozwiązywania pierwszorzędnej dla nas wagi zadań politycznych sama jedna nie wystarcza i zmysłu politycznego ani rozumu stanu zastąpić nie może. Również i odczuwanie duszy narodowej nie jest dostateczną w wybrańcach zaletą, bo przecie dusza owa może błędzić w wyborze dróg i wówczas należy je przed nią prostować. Najmniej jednak wystarcza przynależność do danej partyi.

Jest rzeczą naturalną, zwłaszcza w krajach jednolitych, że każde stronnictwo, stara się przeprowadzić swoich ludzi, ale jeżeli mówi: „ojczyzna to ja!“, jeśli wyłączność posuwa zbyt daleko, jeśli swój wpływ, swoje rozpowszechnienie i swe panowanie, albo przekłada ponad interesa ojczyzny, albo je z niemi utożsamia, jeśli wreszcie wysuwa naprzód miernoty, dlatego tylko, że do niego duszą i ciałem należą, to wówczas grzeszy przeciw narodowi i jego przyszłości. Społeczeństwo nasze chce i musi mieć wpływ w przyszłej Izbie. Jest to kwestya tak dla nas doniosła, że bez jaknajsilniejszego nacisku mówić o niej

nie można. Tego zaś wpływu nie zapewnią nam, ani takie mierności, na których dobro można tylko zapisać ciasny fanatyzm stronnicy, ani takie, którym zmienione stosunki przedstawiają się jedynie jako złote schody wiodące do raju materialnych korzyści, lub zadowolonej ambicyi, ani takie, które stare patryjotyczne frazesy przekuwają sobie na nowe medale patryjotycznej zasługi, ani wreszcie takie, których niedawno jeszcze, w najcięższym okresie naszego życia, nie było przy społecznej robocie.

A z tego wniosek, że winniśmy się strzedz jak ognia wszelkiej nicości, czy to skojarzonej z jednostronnym fanatyzmem, czy to z interesem osobistym, czy to z nieuzasadnioną ambicją, czy z uporem w starych błędach, czy z próżniactwem.

Ale w takim razie po raz wtóry czeka odpowiedzi walne pytanie: kogo wybrać i gdzie wybraćców szukać?

Gdzie? — odpowiedź nie trudna. W całym kraju. — W stronnictwach i poza stronnictwami. A również bez wahania można powiedzieć jakich ludzi należy wybierać. Przedewszystkiem ludzi *wybitnej* pracy. Dzisiejsze czasy, jakkolwiek trudne, są jednak w porównaniu z poprzednimi jakąś wiosenną zapowiedzią. Coś się oznajmia, coś kiełkuje, coś się zazielenia, poczyna się ukazywać ruń jakiegoś zboża. Zjawiają się już nawet nieoczekiwani ochotnicy, którzy mówią: będziemy żąć, wiązać snopy i zbierać kłosy. Otóż nie! Nie ich należy wybierać, ale tych, którzy wówczas, gdy nad tą naszą rolą gwizdały najmroźniejsze wichry, kładli się na niej i ogrzewali ją własnem ciałem, aby nie skostniała zupełnie — i którzy wyrwali z niej ciernie i krzemienie. A mówiąc bez przenośni, należy zaufać takim niestrudżonym robotnikom, którzy pracowali oddawna i którzy to na jednej, to na drugiej niwie odznaczyli się tak wyjątkową wytrzymałością, taką wyjątkową i owocną energją, tak bezprzykładną czujnością, że owe przymioty wyniosły ich znacznie ponad poziom zwykłych

pracowników. To są ludzie nietylko ogromnej zasługi, ale zarazem niepospolici; tacy odznaczają się i uzyskują wpływ wszędzie, a zarazem wzbudzą szacunek i podziw tak dla siebie samych, jak i dla zbiorowego ciała, do którego należyć będą.

A następnie należy wybierać ludzi *wybitnej* wiedzy. Fanatyczna nienawiść wzniosła przeciwko nam prawdziwy mur uprzedzeń. Szkalowano nasze dzieje, szkalowano tryumfy, szkalowano zwłaszcza epokę upadku i życie porozbiorowe. Przekreślano fakta i fałszowano na własny użytek historję. Byliśmy społeczeństwem wyjątkowo przez los prześladowanem, a czyniono nas prześladowcami—byliśmy rozbici, a przedstawiano nas jako rozbijających, byliśmy niejednokrotnie zawiedzeni, a widziano w nas przeniwierców. I czyniono tak nie tylko na polu historji. Obok kłamstw historyczno-politycznych wznosiły się i wnoszą, nie z jednej, ale ze wszystkich stron całe góry uprzedzeń, zmyśleń i fałszów nawet etnograficznych, społecznych, ekonomicznych i wszelkich innych.— Obecnie należy je zwalić, ale byle kto tego uczynić nie może i nie zdoła. Trzeba nam do boju z tą „potęgą ciemnoty“ i złości, szermierzy otoczonych uznaniem i powagą, szczególnie biegłych, szczególnie silnych, przywykłych nietylko do walki, ale i do zwycięstw. Tem gorzej dla nas, jeśli ich nie znajdziemy, albo jeśli znalazłszy, pominiem. Które stronnictwo ma ich w sobie, niech ich da. Wszystkie powimy w imię miłości dla kraju ich szukać i oddać im głosy.

Tak nakazuje patryjotyzm i to jest jedyna droga, żeby coś znaczyć, żeby skutecznie działać, żeby czegoś dokonać, żeby coś osiągnąć. Nie zapędzajmy się zbytnio w stronniczych zapasach, nie wysyłajmy mierności, których jedyną zaletą jest kokarda danego stronnictwa. Szukajmy w całym kraju ludzi *najlepszych* i nie obawiajmy się że pójdą rozbieżnie, albowiem na wewnątrz musi ich obowiązywać solidarność nietylko względem siebie, ale i w stosunku do posłów naszej

narodowości z poza granic królestwa. Szukajmy wśród polityków, ekonomistów, prawników, historyków i publicystów, rolników i przemysłowców ludzi *najbardziej stwierdzonej* zasługi, ludzi pracy, ludzi *najznakomitszej* wiedzy i *największego* talentu, a gdy znajdziemy takich, którzy z owemi przymiotami łączyć będą wielką miłość kraju i niezłomny charakter, wówczas będziemy mogli sobie powiedzieć, że spełniliśmy patryjotyczny obowiązek.

Henryk Sienkiewicz.

DEKADENCI.

III.

Rozmowa z panią Leokadyą wprawiła mnie w niepokój. Miała słuszność kiedy dusze ludzkie porównała do prądów elektrycznych, wpływających wzajemnie na siebie. Ludzie nie tylko widzą postać, gesta, wyraz innych ludzi, nie tylko słyszą ich głos, dotykają się ich ciała, odczuwają bezpośrednio ich myślącą, czującą, pożądaną istotę; — dusza duszę czuje. A człowiek nie tylko odczuwa żywą istotę drugich ludzi, odczuwa inne także, bardziej od swojej różne dusze we wszechprzyrodzie: dusze zwierząt, dusze roślin, nawet może dusze niewyraźne głazów tęskniących do kształtów krystalicznych — i samą wszechprzyrodę duszę zbiorową; — czuję że są i czuję co w nich się dzieje, skoro ukołwszy namiętności a ześrodkowawszy ducha, baczna na to zwrócę uwagę. Dlatego mogę potakiwać argumentom nowożytnego, tak zwanego krytycznego filozofa, kiedy mi dowodzi z nieubłaganą niby logiczną ścisłością, że świat cały jest tylko mojego ducha wyobrażeniem, urojeniem, które sobie samowolnie roję, że życie moje jest tylko dziwnie konsekwentnym a długim snem,—ale, skoro sobie uprzytomię, że jeśli ta nauka jest prawdziwą, ludzie którzy mnie otaczają, nie czują, nie myślą, nie pragną niczego, nie oglądają tego, co ja oglądam, że są tylko wysnionemi marami, którym się nic nie śni — odsyłam ze wstrętem całą filozofię filozofa między najniedorzeczniejsze bajki. Tak samo czuję, że pies, że koń, że ptaszek latający pod mojem oknem, żyją, czują, dostrzegają naprawdę, — cieszę się i smucę wraz z niemi, cieszę się z różą kiedy kwitnie, a smucę się z nią kiedy więdnie, cieszę się dumnie wraz ze skałą, która przewyciężając ciężkość, wyrasta zuchwale aż pod obłoki. W tem bezpośredniem odczu-

waniu duszy przez duszę, życia przez życie, jest jedyna poręka rzeczywistości, bez której gotowiliśmy oszaleć pośród bezbrzeżnego wątpienia — wśród pustyni rozpaczliwej samolubstwa.

Odczuwamy jednak wyraźniej duszę, która do naszej podobniejszą bywa; — najwyraźniej duszę ludzką, a gdybym sofizmatom bezwzględne*go* idealisty miał dać wiarę, mógłbym co najwięcej stanąć na jego własnem, niekonsekwentnem stanowisku i uwierzyć, że wszystko śni mi się tylko, że ciało moje i ciała innych ludzi śnią mi się tylko, ale że istnieją naprawdę wszystkie duchy tych ludzi, którzy mi się śnią i że im się podobnie*ś* śni zupełnie ten sam świat, który ja sobie wymarzyłem. Obcowania z ludźmi, sugestyi, za której pomocą ich istnienie i ich uczucia bezpośrednio odczuwamy, potrzeba człowiekowi, tak jak mu potrzeba światła; w zupełnem, fizycznem albo moralnem odosobnieniu może wprawdzie żyć, ale musi zmarnieć. Dlatego to człowiek szuka towarzystwa, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, że rozmowy, w których bierze udział są tak czcze, jak turkot koła młyńskiego, że z tych słów i zdań niczego się nie dowiaduje, czegoby nie był już sto tysięcy razy słyszał. Wystarcza zwykle ogólne, niewyraźne uczucie ogólnego współczucia między ludźmi, podobne do światła rozproszonego w dzień pochmurny, albo w pokoju, a potrzeba w dodatku tylko niewyraźnej świadomości, że słońce świeci gdzieś poza obłokami, że są gdzieś ludzie, z którymi nas łączą węzły silniejszego współczucia, z któremiśmy mocą długiego, poufale*go* obcowania stale zestroili swoją duszę, z którymi nasza dusza się zrosła w nową a potężniejszą duszę, mocą długiego trwania wznagającej się coraz wzajemnej miłości. Lada przypadek, lada słówko może wzniecić iskrę elektryczną, stworzyć pomiędzy ludźmi w*pi*erw obojętymi, pomiędzy przygodnymi znajomymi, silny prąd sympatyi lub antypatyi, wzbudzić zajęcie ich losami, może nie dość silne, aby pobudzić do pomocnych czynów, ale zdolne nas zaniępokoić w chwili, w której mniemamy, że dzieje się coś w ich życiu ważnego, że się może ich los rozstrzyga.

Taką iskrą była dla mnie rozmowa z panią Leokadyą. Zajmowała mnie teraz gorąco panna Celina, ale wraz z nią i w równej mierze zajmował mnie Koziełło. Teraz dopiero dowiedziałem się, że miałem żywą sympatyę, dla obojga, tak — dla obojga i zdawało mi się, że moja dusza obcowala poufale z ich duszami, że wyczytała tych dusz tajemnice, że wiedziała, iż one szlachetne i przeznaczone dla siebie, że znajdują szczęście w połączeniu, że się kochają na wzajem, a że jakiś jeszcze niezrozumiały dla mnie

błąd przeszłości, gotów spacyć obojga przeznaczenia. Kozięłło pozostanie sam i zaprzepaści się ze wszystkim, wśród dziwacznej samotności, — a panna Celina gotowa pójść za Borskiego. — Aż mi się serce wzdrygało na tę myśl, prawie tak jakbym to ja, stary, kochał się w pannie Zakliczance a był zazdrosny o Szczęsnego Borskiego. Czułem do Borskiego antypatyę, o której wiedziałem, że jest niesłuszną, bo nic złego o Borskim nie słyszałem. Był to człowiek, jakich wielu; może lepszy od wielu. Ale był taki tuzinkowy, tak wedle mody utoczony, wydawał mi się tak płaskim, że myśl aby panna Celina za niego poszła, była dla mnie nieznośną. Z niepokojem śledziłem panią Leokadyę. Wiedziałem na pewno, że chciała mieć Kozięłłę dla siebie, — nie na męża, bo to być nie mogło, ale na wyłącznego adoratora — przynajmniej tu w Zakopanem — wcale nie na całe życie, i że dla tej chwilowej zabawy, czy próżnostki, uczyni wszystko, aby nie dopuścić zbliżenia się Kozięłły i Celiny. Więc gniewałem się na siebie, żem jej uwagę zwrócił na to, co się święci, czyniłem sobie przykre wyrzuty, a drżałem za każdym razem kiedy widziałem, że się markiza do pani Zakliczyny zbliżała, że z nią pocichu rozmawiała.

W Skoczyskach niepokojono się oficjalnie tem, że młody poeta, który się tak niebacznie na Mnicha wybrał, dotąd do Zakopanego nie powrócił, a ten niepokój oficjalny wzmógł się także oficjalnie, kiedy trzeci także dzień minął, a Żeńskiego nie było. Zaczęto się nawet przewodników wypytywać, czy go nie widzieli, a pokazało się, że jego przewodnik, młody Roj, także nie wrócił, że nikt żadnego z nich nie spotkał. Można się było tedy rzeczywiście obawiać przypadku i znalazł się przedmiot do rozmów obiadowych. I ja także o tem gadałem, nie mogąc mówić o tem co miałem na sercu, ale muszę przyznać, że Żeński mnie wtedy jeszcze nie obchodził; dopiero później miała się zdarzyć między mną i nim nie sympatyi, u mnie przynajmniej nie pozbawiona mocy wzruszającej. Wtedy jeszcze nie widziałem w nim tyle człowieka, ile poetę Eoliona, utalentowanego niezawodnie, prawdziwego, lubo nieco ekscentrycznego artystę — bez którego świat mógł się jednak bezpiecznie obejść. Był dla mnie zanadto zarozumiałym, aby mnie mógł interesować, a dopatrując się w jego adoracyi dla panny literackich tylko amatorów, ani ich, ani jego nie brałem w rachubę.

Stanął nazajutrz w Skoczyskach projekt gromadnej wycieczki do Czarnego Stawu Kościeleckiego, która miała się odbyć pieszo. Najęto przewodników, przygotowano prowianty, omawiano plan

tej przechadzki. Z pań oświadczyły gotowość do udziału w wyprawie: pani Laura ze swoją córką Celiną i pani Leokadya, z mężczyn: Kozięło, Borski, Znahorowicz i ja. Była to tedy bez Korczaka, ta sama kompania, która się wybrała nad Morskie Oko, z tą tylko różnicą, że miejsce nieobecnego Zeńskiego miał zająć pan Bolesław Znahorowicz, weale niezwykły Ukrainiec, przebywający od szeregu lat stale w Zakopanem, gdzie chodził w wysokich butach i w czanarze zwierzech żupana; nosił okulary, zapuścił długą, czarną brodę i długie, czarne włosy. Miał własną willę, ale jadał obiad w Skoczyskach i tu znaczną część swego czasu spędzał, wykładając niekiedy teorye tyczące się wszystkich rzeczy i niektórych innych, bardzo nieraz zajmujące i ze zwyczajnemi zapatrywaniami naukowemi nie zgodne, które uzasadniał przede wszystkim osobistą intuicyą. Puścił nawet w świat kilka grubych książek, głoszących nowe prawdy; ale nie spotykał jakoś nikogo, któryby był te książki przeczytał i każdemu mógł przeto swoje odkrycia podawać, jako rzecz nową i nieznaną.

Gdyśmy się jednak o szóstej rano zeszli na śniadanie, pani Laura i panna Celina nie stanęły do apelu. Zjawiła się tylko pani d'Estrée, z oświadczeniem, że się tamte panie w ostatniej chwili namyśliły i że zaniechają wycieczki, przekonawszy się, że byłaby dla pani Zakliczyny zanadto męczącą... Z pań miała nam tedy towarzyszyć jedna tylko pani Leokadya, która się chciała jak najlepiej Tatrom przypatrzeć, nasze góry porównać z Alpami i z Pireneami. Domyśliłem się, że zmiana projektu u pani Zakliczyny była skutkiem bezpośrednim przestróg markizy, a pośrednim nieszczęsnej rozmowy, którą z nią przedwczoraj miałem, i byłem bardzo zły na siebie i na swoją gadatliwość.

Szliśmy przez Zakopane, pomiędzy wille drewniane, które mimo Witkiewicza i stylu Zakopiańskiego, trzymają się po większej części uparcie, często bardzo niefortunnego naśladownictwa stylu Szwajcarskiego, potem bitym gościńcem, prostym jak strzała, przez wspaniały świerkowy las, tworzący z obu stron niby ciemno-zielone szpalery — ogromną aleją, u której końca widniały jakieś zuchwałe górskie szczyty; minęliśmy Kuźnice i puściliśmy się w dolinę Białego Dunajca. Czas jakiś szliśmy ponad bełkocącą, przejrzysty strumień, pokrywający się nieustannie szumną pianą, a wreszcie puściliśmy się w świat prawdziwie górski, gdzie czystsze od ziemskiego zda się panuje powietrze — tak jak w Platonowym świecie ideałów, w porównaniu, z którym świat ziemski jest mętną kałużą, zaludniony przez krzekoczące żaby, zwane popolicie ludźmi. Tu Kościelec wznoszący się w głębi, coraz bar-

dziej więził nasze oczy. Olbrzymia to, czarna, zawieszista opoka, jakby z bajki wyjęta, postawiona niegdyś przez wielkoludów szturmujących do nieba, jakieś nadludzkie gniazdo orłów, siedziba ponurych bóstw pogańskich, znacząca z daleka kres naszej drogi. Szliśmy niwami, przeważnie pod górę, i taka przechadzka byłaby nas bardzo zmęczyła, gdybyśmy ją gdziekolwiek indziej przedsięwzięli. Ale tu, na wyżynach, powietrze jest takie balsamiczne, takie orzeźwiająca, żeśmy najmniejszego nie czuli znużenia.

Pani Leokadya porównywała Tatry do innych znanych sobie gór Europy; mówiła, że Alpy i Pireneje niezawodnie i widocznie wyższe, imponują większą masą, grozą wiecznych śniegów i olbrzymich lodowców, że jeziora alpejskie są o tyle większe od tatrzańskich, iż jednych z drugimi porównać nie można; tamte, to małe morza, których jednym nie obejmiesz wejrzeniem, a które ci najrozmaitsze gotują niespodzianki; te, to okrągłe, zamknięte w sobie zwierciadła niezgłębionej a przejrzystej wody, objęte dookoła ramą suchawych, granitowych gór; wcale nie wzywają do porównania z ogromem oceanu, lecz przeciwnie nazywają się stawami i przypominają stawy; a na tem porównaniu wychodzą dobrze, bo są ideałem niedoścignionym stawów, czemś doskonałym, zamkniętym w sobie, prawdziwą źrenicą gór, zwróconą do nieba. Góry otaczające te jeziora do nich podobne, miarą ujęte, nieskończenie od człowieka większe, a dające się jednak ująć i okiem i myślą, jak dzieło skończonego artysty. Tamte, większe góry, widziane z bliska, to olbrzymie, nieprzerwane, jednostajne wały, a kiedy z jednego ze szczytów spojrzysz na panoramę Alp, masz wrażenie, że się patrzysz na jakieś olbrzymie, puste, faliste płaskowzgórze; tu przeciwnie każda góra ma swoją osobistą duszę, każda to osobny olbrzym z granitu o szlachetnych i wyrazistych kształtach, w których nic nie ma miękkiego, nic nieudolnego; podobne góry o równie pięknych a skończonych kształtach, góry równie indywidualne, a tej samej mniej więcej wysokości, można tylko oglądać w Grecyi; takim jest klasyczny Parnas, takim Tajget, a może być że na chwałę Tatr i gór greckich to wypada, iż nigdzie nie są pokryte martwym całunem wiecznego śniegu, iż życie sięga aż do szczytu, kiedy patrząc na Jungfrau, nawet z bliska, nie czujesz żywej skały, masz raczej wrażenie, że to olbrzymia i bezkształtna kupa śniegu.

Wogóle zgadzałem się ze zdaniem pani Leokadyi; przyznawałem Tątrom osobną i jedyną piękność. Greckie góry patrzą na cudownie spienione morza, a wspomnienie bogów i bohaterów do-

daje im niewystłowionego uroku. Ale tamte bogi dawno pomarły, albo skamieniały przynajmniej i w marmurze tylko żyją. Jezior tatrzańskich nie ma w Helladzie, a w tych jeziorach przejrzystych zda się żyją jeszcze słowiańskie jakieś bogi, których imienia nie znamy, a które jednak wszechmocnie jeszcze naszą duszą władną. Nad jeziorem Czterech Kantonów wyrasta jakaś góra w dwa fantastyczne rogi olbrzymiego tura, który się zapadł w piekło, a rogami tylko sterczy ponad ziemię, aż popod obłoki; ale tu góry mniejsze od Tatr, a nawet tam gdzie wyjątkowo indywidualne przybierają kształty, miększe jakieś, nie tak wyraziste, raczej podobne do gór koło Żabięgo i Delatyna. Jeden jednak w Alpach przeoczyłem wyjątek, widok górski, z którego wspaniałością nic na świecie równać się nie może, widok na Montblanc z Chamounix. Tam nie wolno bluźnić owym żywym i właśnie tak indywidualnym skałom, które wyrastają z boków białego olbrzyma, na kształt najmisterniejszych iglic gotyckich, a wznoszą się szczytami swojemi tak nieprawdopodobnie wysoko, iż kiedy który ze szczytów poza obłok wyjrzy, nie możesz uwierzyć że to góra, wierzysz koniecznie, że to jakiś meteor niebieski, choć na tę górę wpierw, przez tydzień, lub miesiąc, codzień patrzałeś. Montblanc to już nie góra, to coś o tyle od innych gór większego i wspanialszego, że kiedy po nim w Szwajcarskie zjedziesz Alpy, wydają ci się pasmem pagórków. Montblanc nazywa się górą, chyba tak, jak się księżyc także gwiazdą nazywa!

Otóż to właśnie! — rzekła markiza — a ja o górach mówiłam.

Koziełto byłyby nam mógł coś powiedzieć o górach większych niż Montblanc, które w Azji albo w Ameryce oglądał, ale milczał. Był jakiś zamyślony i nie swój; śnać innego na przechadźce spodziewał się towarzystwa.

Odezwwał się zato Znahorowicz i zaczął nam swoje teorie wykładać. Ślepą nazwał tę naukę, która usiłuje cokolwiek za pomocą praw martwej materii wyjaśnić. Wszystko ma swoją duszę i kto chce jakikolwiek plód przyrody zrozumieć, musi wpierw poznać jego duszę; inaczej będzie rozprawiał, jak ciemny o kolorach. Każda zaś dusza usiłuje stać się spełną sobą samą. Nie masz innego istnienia nad istnienie duchów, a treścią jego jest tęsknota za indywidualnem wykończeniem, za indywidualną doskonałością. O tem można się najlepiej przekonać, oglądając systemata gór. Siły, które wznoszą nad poziom łańcuchy gór, nie są to owe martwe siły fizyczne i chemiczne, które lada kiep opanować może i zamienić w narzędzia dla ludzkich celów; to siły duchowe, uwięzione w bryle ziemi,

ubezwładnione przez jej ciśnienie, jak ludy pierwotne przez ciśnienie tradycyi, dogmatu, obyczaju, społecznych hierarchij i politycznych instytucyj. Dusze gór, duchy pragnące wyjść na słońce w pełnej wspaniałości swojej, więzione tam w głębiach ziemi, jęczą pod uciskiem spiętrzonych pokładów martwej opoki, emętarzy dawnego a wygasłego życia, które je wytworzyło, a jęczą z bólu i wzdrygają się w nienaturalnej kaźni, chcąc się wydostać na świat Boży, tak, że matka ziemia doznaje porodowych boleści, drży cała i drżąc zamienia w gruzy całe miasta, któremi się mrówki ludzkie, jako swym dziełem pysznią. Tam, w głębiach ciemnych, ślęcząc pod brzemieniem przedwiecznych ucisków, duchy gór indywidualności swojej osobnej nie poznają; czują się tylko jedną, wielką zbiorową tęsknotą, na podobieństwo pierwotnego jeszcze narodu, rządzonego przez hierarchię i tradycję, w którym ludzie nie wiedzą o sobie, naród o sobie sam wyraźnie nie wie, a wszyscy wiedzą o jakichś trwogach i tęsknotach zabobonnych, z których czyny dziejowe, dopiero powstać mają. Po wiekach, gdy tęsknota wreszcie przemoże nacisk martwych pokładów, biorą się duchy gór, w jedną jeszcze nieindywidualną moc skojarzone, do boleśnego czynu, do tragicznego wysiłku, w którym się wielkie a piękne rzeczy poczynają. Ziemia rodzi, a zbiorowa siła, która ku słońcu i ku życiu prze, rozsadza jej powierzchnię. Wychodzą tedy z głębin ogromne płaskowzgórza, olbrzymie ściany, zwane łańcuchami gór o jednostajnym grzbiecie, w których się szczyt od szczytu ledwo różni, niby to stany społecznej hierarchii, niby to zastępy ludzi niezliczonych, podzielonych na kasty i zawody, tworzące masę potężnego narodu, sterczącego już nad powierzchnią dziejów. A w porównaniu z ową głuszą więzienną, jaka była w pierw w ciemnych wnętrzościach ziemi, jest to już życie słoneczne a wspaniałe. Lecz to dopiero podstawa, na której wybrane duchy górskie mają stanąć, z której wyrosnąć mają szczyty osobiste, swobodne, już w żaden łańcuch nie skute, które przemożły tęsknotę i radują się pięknnością doskonałą, jak ludzie owi, którzy w pełnem świetle dziejowem, po zupełnem zgruchotaniu tradycyj przedwiecznych i ubezwładniających przesądów, umieją być sobą, w sobie szukać szczęścia, bez niedorzecznej teoryi i wymarzonej nadziei, mierząc indywidualnem życiem osobisty ideał ducha. Dlatego to ogromne obszary Alp i Karpat wyglądają majestatycznie wprawdzie i malowniczo, ale jednostajnie, podobnie, jak długa dziejowa treść wieków średnich, a dopiero tam gdzie się łańcuch cały wzbija najbliżej ku słońcu i gwiazdom, na pograniczu Sabaudyi i Piemontu i znowu tu w Tatrach, przybierają

opoki kształt indywidualny, zuchwały, zadziwiający pięknnością, oswo-
bodziwszy ducha z więzów, które go wpięrow wciskały w nieoso-
bistą masę dążeń wspólnych a koniecznych. — Znachorowicz mó-
wił: — Jest nawet związek tajemniczy, a właściwie dla mnie zu-
pełnie zrozumiały, pomiędzy duchem gór a duchem narodów, które
je obsiadły. W jednej Helladzie wyrosły góry od razu z wnętrza
ziemi i różnaitością wspaniałą przypominają duchowe postacie
mędrców i bohaterów starożytnej Grecyi; na olbrzymich a jedno-
stajnych piętrach gór na połę romańskich a na połę germańskich
strzelają do nieba gotyckie szczyty Montblanc, niby cudowna cy-
wilizacya włoskiego i francuskiego odrodzenia, która wyrosła
z długich wieków monotonnego, nieosobistego, średniowiecznego
chaosu. Jeśli te Tatry, otoczone zewsząd polską ludnością, wyro-
sły z jednostajnych, leśnych szczytów karpaccich tak indywidual-
nie i pięknie, że one same jedne na świecie przypominają żyw-
cem szczyty Parnasu i Tajgetu, jest to wróżbą, że i u nas wybuja
kiedyś z jednostajnego pasma dziejów na dawnej, zbiorowej tra-
dycyi opartych, rozkwit ducha, taki, jakiego nie było od czasów
Periklesa.

— To poetyczne porównanie — zawyrokował Szczęsny Bor-
ski — mnie się zdaje, że to gdzieś czytał. Nieprawdaż? to stoi
w Michelecie.

Znachorowicz popatrzył się na Borskiego, tak, jakby go
chciał żywcem zjeść. Opanował się jednak i odpowiedział spo-
kojnym głosem: — To, co powiedziałem, nie stoi ani w Michelecie,
ani w żadnym z dotychczasowych pisarzy, — jest moją własnością
duchową i nie jest żadnem porównaniem, tylko prawdą naukową.

— Pan chcesz mówić, przenośnią — opierał się Borski — jak
dziś powiadają symbolem, i to wcale szczęśliwie pomyslanym
symbolem.

— Nie — rzekł znowu Znachorowicz — to jest prawdą naukową,
odkrytą przezemnie. Nie znają jej uczeni Zachodu i gotowi jej
zaprzeczyć, bo tak się zacietrizewili w drobiazgach, tak się zagu-
bili w szczegółach, tak dalece odwrócili się od ducha będącego
treścią, a zapatrzyli się w samej tylko materyi, będącej uludną
szatą, że nie są w stanie dostrzedz prawd jasnych, jak słońce.

— Ależ, proszę pana — odezwał się Borski — na podstawie
jakichże to badań mogłeś pan dojść do takich naukowych rezultatów,
obalających wszystkie twierdzenia nauki, wszystkie niezachwiane
przyrodnicze pewniki? Czyś pan pierwej zgłębiał istniejące hipote-
zy geologiczne, i czyś pan spotkał fakta nie dające się za ich
pomocą wytłomaczyć? Bo w tym tylko wypadku zezwala me-

toda naukowa na tak śmiałe odrzucenie tego wszystkiego, co stwierdziła mrówcza praca naukowa tyłu uczonych korporacyj. Tłómaczenie zjawisk geologicznych działaniem osobistych duchów, więzionych przez pokłady ziemne, odbiega tak zupełnie od pojęć tegoczesnych, że metoda naukowa nie pozwala na postawienie tak śmiałego twierdzenia, jeśli pan nie możesz przytoczyć faktów, świadczących niezbicie o istotnej osobistej duchowości gór, jeśli pan nie możesz przytoczyć jakichś zamiarów ziszczonych świadomie przez Swinnicę, albo Łomnicę.

Borski sam nie wiedział, że nadeptał gadzinę; ale pani d'Estrée dostrzegła krew zalewającą twarz Znahorowicza, złowrogie jego wejrzenie i drżące usta. Wiedziała, że obrażona miłość własna samouka, wierzącego we własną nieomylność, bywa rzeczą straszną, a wcale nie życzyła sobie gwałtownych występów. Z taktem, który jej nie zdradzał nigdy, ilekroć o jej własną nie chodziło namiętność, wmięszała się do rozmowy, mówiąc:

— W naukowe pewniki nie bardzo wierzę, bo te się tak, jak moda zmieniają. Pan Borski, zdaje mi się żąda, aby Swinnica, albo Kościelec napisały artykuł dziennikarski, albo zaśpiewały kantatę, by dowieść że mają ducha. Ależ pan Znahorowicz twierdzi, że postać swoją zbudowały same i że ta postać jest czemś nierównie doskonalszem od artykułu dziennikarskiego, albo arii wygranej na katarynce, o których pan Borski przyznaje, że są oczywistemi utworami ducha i to ducha osobistego — na równi z naszymi laskami górskimi, na umyślnie przyostrzonych i z filiżanką kawy. Pan Borski, wraz z nauką nowożytną i wraz z jej metodą twierdzi, że duch rozumny jest tylko w stanie robić rzeczy poślednie, powszednie, że wszystko co najpiękniejsze i najdoskonalsze musi być koniecznie dziełem głupiego, bezdusznego przypadku, czy też głupiej, bezdusznej konieczności. Gdyby pan Znahorowicz miał toczyć dyskusyę wyczerpującą z panią Metodą Naukową i gdyby ktoś miał przy tem kogoś przekonać, zanimby się dyskusya skończyła, mielibyśmy czas wypić i Czarny Staw i nawet Morskie Oko, choćby miało być prawdą że Morskie Oko komunikuje się z jakimś jeziorem w Australii, gdzie niegdyś jakiś przodek księcia Hohenlohego, który był rakiem, został zjedzony przez szczupaka, który był przodkiem pana Władysława Zamoyckiego, a przypatrywały się tej walce rozmaite drobne rybki od których pochodzą tacy turyści Zakopiańscy, jak my. Przyznacie mi panowie, że nie jesteśmy członkami żadnej Akademii Umiejętności tylko turystami odbywającymi wycieczkę, radzę abyśmy mówili

o czem innym, jak o metodach naukowych i o duchach górskich.

Rzekłszy tyle, odwróciła markiza istotnie rozmowę na przedmioty, których nie pamiętam. W tej konwersacji brali właściwie, tylko udział pani Leokadya, pan Szczęsny i ja, bo Znahorowicz szedł zabuńczuczony a Koziełło został się trochę z tyłu i rozmawiał z przewodnikami.

Właśnie kiedyśmy już dochodzili do Czarnego Stawu, zaczął deszcz kropić, a ledwośmy mieli czas się schronić pod dość eleganckie poddasze postawione u brzegów jeziora, wpierv zanim lunęła ulewa, która zasłoniła przed nami krajobraz tak dalece, iż mogliśmy tylko stwierdzić podobieństwo niezawodne pomiędzy Morskiem Okiem a Czarnym Stawem, będącym jego znniejszonym wydaniem. Nie narzekaliśmy, bośmy bądź co bądź bardzo piękną a orzeźwiającą przechadzkę odbyli; obawialiśmy się tylko tego, czy się przypadkiem na dobre nie zasłoci, zwłaszcza ze względu na panią Leokadyę, bo nad Czarnym Stawem nie ma zupełnie gdzie przenocować. Wyjeliśmy jednak z torb niesionych na plecach przewodników chleb, ser, jaja na twardo, zimne mięso i wino, tudzież herbatę, którąśmy im kazali zaparzyć. Z innej torby wyjęto talerze, noże, widelce, łyżeczki, filiżanki i inne „utwory ducha“ jak je teraz nazywała pani d'Estrée i jedliśmy wesoło, gawędząc. Borski nie mógł się nadziwić mądrości pani Zakliczyny, która, przeczuwając ulewę, sama została w domu i córce na wycieczkę iść zakazała; pani d'Estrée usiłowała daremnie Koziełłę wciągnąć do rozmowy, a zdołała od niego tylko jednozgłoskowe wydobyć odpowiedzi. Niebawem umilkliśmy wszyscy w obec straszliwego koncertu, jaki się rozpoczął na niebie. Błyskawice rozświecały obłoki zasłaniające szczelnie większą część gór otaczających jezioro, pokrywające całe niebo a zawieszone tak nisko nad naszymi głowami, iż się wydawać mogło, jakobyśmy się mogli bez wysiłku dotknąć ręką szarej, ciemnej, mglistej, u dołu poszarpanej, a jednak zupełnie nieprzejrzystej chmury; wielkie prześcieradła ognia pokrywały całe niebo piekielnym niby, a jednak wspaniałym całunem, a rzucały znikome ognia obrusy na powierzchnię jeziora, rozłożonego u naszych stóp. Zdawać się mogło, żeśmy wśród ognia zamieszkali, zamienieni z ludzi w salamandry; a przytem grzmiało dokoła tak potężnie, tak straszliwie, jak nigdy na równinach nie grzmi. Pomiedzy błyskawicą a grzmotem upływała zaledwo chwila, a huk grzmotu był krótki, nagły, jak gdyby nam wszystkim ktoś nie z pistoletu, lecz z armaty wprost nad uchem strzelał. Potem powtarzały każdy grzmot góry, podając

jedne drugim echo. Więc mruzczało do koła straszliwie mrukiem tysiąca olbrzymich niedźwiedzi, ryczało rykiem lwów tysiąca, a pośród tego pomruku i tego ryku nadludzkiego odzywały się nieustannie strzały owej bitwy wydanej przez tytanów bogom, której łuna płonęła na niebie i w wodach jeziora. Było bardzo pięknie i bardzo straszno, a pani Leokadya wydawała się nierównie więcej przerażoną, jak zachwyconą.

Wtem ujrzeliśmy wśród deszczu i ognia, jakieś dwie postacie ludzkie, broczące wzdłuż wybrzeży jeziora. Dążyły pośpiesznie do naszego schroniska. Za pomocą lornety poznałem niebawem, że to Eolion ze swoim przewodnikiem. Pomyślałem sobie: Biedny Eolion! W poezyach i myślach swoich równa się z Bogiem, pomiata ludźmi, wzniosłszy się duchem samotnie, ponad poziom śmiertelnego świata, igra piorunami, jakby jaki nowy Prometeusz. A oto, gdy się naprawdę znalazł wśród nawałnicy i burzy, gdy zmókł do nitki, drży przed piorunami i chce się schronić pod skrzydła wzgardzonej, prozaicznej cywilizacji, dzieła ludzi marnych, ale dzieła zbiorowego, a przeto potężnego, pod szopę, wystawioną przez prostego, góralskiego cieślę. Biedny Eolion! Wziął czczy frazes literacki i banalną przechwałkę współczesnego pokolenia, za prawdziwą prawdę i odpokutować musi za to gorzej nierównie, nie wykręci się tem, że na deszczu zmoknie! Zdaje mu się, że jest duchem samotnym, który oparłszy się jedynie o siebie, zolbrzymieje niezmiernie, jak ów fakir indyjski, który po tysiącletniej pokucie, mógł bogów strącać z nieba; w swoich rymach, w owej marnej, jednodniowej sławie, którą się cieszy, w jednym zakątku świata, dopatruje się dzielności ducha, o którym sądzi, że potargał wszystkie węzły świata. O tem nie wie, że jest synem mody, piszącym, myślącym i czującym tak jak moda każe, że sławę swoją zawdzięcza głośnej pochwalę kilku kolegów, spodziewających się od niego nawzajem pochwały, i że ta sława sięga tylko tak daleko, jak wpływ tych kolegów, ani na krok, poza granicę mowy ojczystej, dzieła zbiorowego narodu, z którego sam wyszedł, a dzieła bezosobistego, które wydało z siebie wszystkie prawie pojęcia i uczucia miane przez pana Kazimierza Żeńskiego, czyli wielkiego Eoliona, za dzieło najosobistsze, jego najoryginalniejszego ducha. Ta sława, w jego wyobrażeniu tytaniczna, nie sięga zaprawdę poza sferę towarzyską, do której Żeński należy, w całym znaczeniu tego słowa, skoro go sfera towarzyska człowieka nieubłaganie trzyma i więzi, skoro mu każe postępować tak jedynie, jak w tej sferze wolno, nie pytając się o żadne jego zdanie i przekonanie, skoro mu każe skakać przez

obrzec i służyć, tak jak błazen cyrkowy swemu pudlowi. Lud o Zeńskim nic nie wie, a gdyby go poznał, miałby go za waryata; po dworach i pałacach słyszano coś o Eolionie; panicz, lub panienka przeczytały niektóre jego wiersze; nikt prawie nie wie, że Eolion, to pan Zeński, o panu Zeńskim nie słyszał nikt, za nie pana Zeńskiego nie mają. Biedny Eolion! Biada mu, jeżeli zechce naprawdę rozerwać łańcuchy, które go zewsząd krępują! Żle mu będzie, jeśli idąc za przykładem niektórych przyjaciół, zechce zejść naprawdę między lud; nie znajdzie tam ani złotego rogu, ani pęku pawich piór, o których marzył, a znajdzie w najlepszym razie sznur do wiązania snopów i snop wymłócony. Gorzej jeszcze będzie, jeśli zechce sięgnąć ponad głowę, do dworów i pałaców, w tak zwany wielki świat, który się gotów pokłonić wielkiemu istotnie i dojrzałemu talentowi, ale pod warunkiem, aby nie był ani ekscentrycznym, ani zarozumiałym, aby w towarzystwie był członkiem towarzystwa, sprawującym się tak, jak się to towarzystwo sprawuje. Tytan Eolion rozbija sobie głowę, nie o Zeusowe obłoki, tylko o pierwszy lepszy salonowy sufit, a strach bierze na myśl, co z nim po takim upokorzeniu będzie, czy taki dekadent upokorzenie przeniesć potrafi?

Schronili się wreszcie Zeński z Rojem pod nasze poddasze. Gdy się Zeński przywitał zemuą, powiedział bardzo prozaicznie i trywialnie: — Zmokłem jak pies. — Rzeczywiście, woda ciekła formalnie z jego włosów i z jego odzieży. Nie było w co się przebrać, nie było czem się osuszyć, więc Zeński, taki jak był, musiał się na ławie, przy naszym stole, a młody jego przewodnik, otrząsając wodę z kapelusza i hułki, siadł nieco opodal — ale przy tym samym dużym stole. Podaliśmy im wina, herbaty, jadła. Widocznie byli głodni, bo z wielkim jedli apetytem. Dopiero kiedy wielki Eolion, marne swoje, człowiecze a śmiertelne pożywił ciało, mógł pomyśleć o potrzebach swojego ducha nieśmiertelnego. Dzwonił jeszcze zębami potroszę, ale mógł już mówić. Zapytał się, czy wypadkiem w Skoczyskach nie byli ludzie bardzo o niego niespokojni? Obawiał się, że panie zaniepokoił swoją przedłużoną nieobecnością.

Borski odparł, że nie uważał znowu u pań szczególniejszego zaniepokojenia; pod tym względem mógł być pan Zeński zupełnie spokojny. Ale rzeczywiście niektórzy myśleli, że zaszedł jakiś przypadek, i cheiano już robić poszukiwania.

Tak mówił Borski, jak gdyby Eolion nie był Eolionem, pierwszą osobą na całym Bożym świecie, tylko jakimś całkiem zwyyczajnym turystą. Młody poeta skrzywił się tak wyraziście, usły-

szawszy tę odpowiedź, iż stało się pewnem, że mu nierównie więcej od nawałnicy dokuczyła. Upierał się przy swoim zapytaniu. Rzekł: — obawiałem się zwłaszcza, czy się panna Celina, mojem zniknięciem nie zaniepokoiła? Czyniłem sobie wyrzuty, że nie postępowałem samolubnie i bezwzględnie, pnąc się po górach niebotycznych, skacząc w ślad za kozicami przez przepaście, a zapominając, że są w Skoczyskach ludzie, którzy mogą wskutek tego spać niepokojnie.

Widziałem po pani Leokadyi, że miała ochotę parsknąć śmiechem; ale tę chęć opanowała i uśmiechnęła się tylko. Rzekła: — Ależ panie Zeński, nie wiem nawet czy panna Zakliczanka zna pańskie utwory; bądź co bądź, gdybyś pan był kark skręcił, jak tego chciałeś, byłaby pozostawiła oplakiwanie pańskiego zgonu Muzom symbolistycznym i czasopiśmom literackim, kierunku do którego pan należysz. Panna Celina, jak mi się zdaje, ma teraz coś pilniejszego do roboty, nad myśl o nieostrożnych młodzieńcach, którzy się drapią na Mnicha, w towarzystwie niedoświadczonego przewodnika. Albo się bardzo myślę, albo panna Celina wie, że przestanie niezadługo być panną, a stanie się panią Celiną. A chwila, w której dziewczyna wyrzeka się swobody, aby stać się częścią obcej rodziny, czyli, jak panowie dziś mówicie i piszecie: „społeczniakiem“, przeznaczonym zapewnić przyszłość narodu, a wyrzekającym się własnej osobistości, tak dalece, że nazwisko swoje zmienia — jest zbyt poważną, aby wtedy miała myśleć o obcych młodzieńczych wybrykach i o ich możliwym skutku.

Rozumiałem, że pani Leokadya obusiecznym mieczykiem igrała tak mistrzowsko, że raziła odrazu dwóch ludzi; nie tylko Eoliona, na którego raz był wprost skierowany, ale także Koziełkę. I obydwu cięta boleśnie. Widać było, czułem to wyraźnie, że Koziełko słyszał i rozumiał; Zeński aż syknął. Po chwili opanował się, i spytał z udanym spokojem, czy panna Celina może się w tym czasie zaręczyła z panem Koziełką?

O nie! — zawołała pani Leokadya — pan jedziesz o wiele zaprędko! Zaręczyn jeszcze żadnych nie było, nie było nawet oświadczyn. Wiem tylko niezawodnem przeczcuciem niewieścim, że będą niezadługo i zaręczyny i oświadczyni. Tylko — dodała zwróciwszy się do Koziełki z najśłodszyim uśmiechem — bynajmniej nie zaręczyny z panem Antonim. Aby o takiej rzeczy pomyśleć, trzeba było bujnej wyobraźni poety nie liczącej się z rzeczywistością. Pan Koziełko — to sąsiad ze wsi i przyjaciel stary domu w Wyszywiskach, o którym nikt nie myśli, jak o konkurencie. Zresztą, to także ekscentryk, także poeta, choć wierszy

nie pisze, a przynajmniej nie drukuje — tak zwany *poète rentré*. Panie obie znają go zbyt dobrze, aby nie wiedziały z kim mają do czynienia, a gdyby sam do tego stopnia oszalał, aby się chciał naprawdę żenić, nie powierzy nigdy ostrożna matka swojej córki poecie, czy to piszącemu wiersze, czy to tylko wiodącemu życie poetyczne. Dla małżeństwa i społeczeństwa przyda się tylko proza; nawet panna Celina ma już dziś za wiele doświadczenia, aby o tem nie wiedziała; i ona tylko prozę wybiera, ale oczywiście prozę ze swojej klasy społecznej, ogładzoną podług wymagań sfery, do której należy, prozę dobrze wychowaną, ze wszelkich miar przyzwoitą, a pełną zdrowego sensu — nie zaś ekscentryczności.

Borski zrozumiał, że był tą prozą; nie gniewał się wcale za to i owszem, rozpromieniał szczęściem. Czuł, że w niczem nie sprostął Kozielle, i jego jednego obawiał się, jako rywala; teraz uspokoiła go pod tym względem pani d'Estrée, i słowa jej zaliczył do owych wskazówek, które dają czasem przyjaciółki domu, wtajemniczone w istotne niewiast zamiary. Był tedy pewny swego i wskutek tego był pełen dobroczynnej łaskawości. O Żeńskim, jako o rywale, nie pomyślał wcale: wszak to był człowiek z innej sfery towarzyskiej — więc się na seryo w życiu nie liczył. Wielki poeta umarły, był dla Borskiego półbogiem godnym wszelkich uwielbień; żyjącego, cenił nie według talentu, tylko według majątku i kolligacyj; Żeńskiego zatem zaliczał do istot przezwypanych „figurami.“ W tej jednak chwili serce panu Szczęsnemu tak dalece roztajało nadzieją szczęścia, że było łaskawe, nawet na „figury.“ Czuł, niewiedzieć dla czego, że coś w rozmowie Żeńskiemu, czy to ubliżyło, czy to dokuczyło, i chciał złe wrażenie łaskawością naprawić. Pogłaskał go tedy niezgrabną, niedźwiedzią łapą, w glansowanych, salonowych rękawiczkach.

Rzekł, głosem pełnym opiekuńczej dobroci, zwracając się do Eoliona:

— Słyszałem, że pan masz rzeczywisty talent poetycki, któryby pana mógł do pewnej towarzyskiej doprowadzić pozycji. Szkoda tylko, że pan ten talent marnujesz przez niezajomość świata; a ze światem trzeba się liczyć koniecznie, bo inaczej zmarniejesz pan niezawodnie. Byłbym szczęśliwy, gdybyś pan przestał pisać wiersze dla literatów młodych, dla studentów i feministek, a zatem dla ludzi, którzy panu żadnego stanowiska społecznego nadać nie mogą, skoro go sami nie mają. A panu, z pańskimi talentami i z pańską ujmującą powierzchownością należy się wcale przyzwoite w świecie stanowisko i dostatek nawet

wcale zadawalniający. Otóż literat stoi gronem, dla którego pisze, jemu zawdzięcza stanowisko, jakie ma za życia i nawet reputację, którą się jego dzieła później w historii literatury cieszą. Wirgiliusz i Horacy byli wzięci na dworze Augusta, Szekspir cieszył się względami królowej Elżbiety, Corneille i Racine Wersalskiego, Schiller i Goethe Wejmarskiego dworu; gdyby wszyscy ci sławni poeci byli swoją ambycją skierowali ku bawieniu niższych warstw społeczeństwa, byłiby mieli łatwiejsze niezawodnie zadanie; nie skrępowani przepisami dobrego smaku, byłiby osiągnęli już we wczesnym wieku pewien rozgłos, za kulisami prowincjonalnych teatrów i wśród ludzi wykolejonych; ale koniec końcem, byłiby umarli z głodu na jakimś poddaszu, a dzieła ich dziś byłyby zupełnie nieznane. Że umieli sobą pokierować, wyznaczyli im książęcy mecenasi sute pensye, i reputację ich ustalili na zawsze. Dziś, prawda, niema już dworów, któreby się literaturą specjalnie opiekowały. Bo też formy społecznego życia, zmieniły się zupełnie; dziś takich dworów nie potrzeba, a miejsce ich zajmują salony, dla których pisać należy, chcąc mieć poważną a trwałą reputację, a nie poprzestać na przemijającym poklasku kilku dzienniczków i kilku literackich kófeczek, przeceniających bajecznie swoje znaczenie. Znaczenie ma tylko to na świecie, co stoi u szczytu piramidy społecznej i przez nią bywa dźwiganie; jest to rzecz tak dalece naturalna i konieczna, że demokratyczne instytucje polityczne nic w tem nie zmieniają; chodzi tylko o to, kto jest u szczytu tej piramidy? Salon zajął dziś miejsce, zajęte niegdyś przez dwór książęcy, a demokracja wyraża się tem, że wstęp do salonu daje dziś, nie urodzenie tylko, ale także majątek, a może przedewszystkiem dobre wychowanie, choćby bez majątku i urodzenia. Stań się pan pisarzem dobrze wychowanym, pisz pan dla dobrze wychowanych ludzi, a salon przyjmie pana pomiędzy swoich. Staniesz pan wraz ze swojemi pismami u szczytu społecznej piramidy, a rozgłos dzieł pańskich rozejdzie się ze szczytów tak szeroko, że będziesz się mógł uśmiechnąć pogardliwie, kiedy, u nas tak pospolita zawiść demokratyczna, z dołu dziełom pańskim złorzeczyć będzie. Prawda, że u nas honorarya literackie bywają skromne, i że człowiek praktyczny powinien wybrać każdą inną karierę, chcąc dojść do dostatków odpowiadających swoim zdolnościom. Ale pisząc w sposób odpowiadający smakowi warstw wyższych — nie koniecznie wiersze, ale powieści, a jeszcze lepiej rozprawy o sprawach obchodzących całe społeczeństwo — będziesz pan miał przyjaciół, którzy się dla pana o posadę odpowiednią postarają. Zresztą bywają teraz bardzo po-

szące, nawet bogate panny w burżuazji warszawskiej, któreby się chętnie za poważnego literata wydały.

Eolion spojrział gadzinami jadowitemi na Borskiego; bałem się, że pryśnie namiętną odpowiedzią; opanował się jednak i odpowiedział spokojnie i nawet nierównie bardziej do rzeczy, niżli się było można tego, po młodym a boleśnie podrażnionym pocię spodziewać.

Rzekł głosem, w którym po tem tylko można było poznać wewnętrzne rozdrażnienie, że wyrazy wymawiał bardzo powoli a dobitnie: — Dziękuję panu za dobrą radę, ale mogę panu za to ręczyć, że się do niej nie zastosuję. Piszę nie ze względów praktycznych, tylko z wewnętrznej potrzeby, czego pan zapewne nie zrozumiesz, a niezawisłości swojej za żadną nie sprzedam posiadę. Jeszcze bardziej niepodobna, ażebym się ożenił dla posagu. Nie wiem, czy zdobędę dla swoich pism pośmiertną chwałę, ale jestem przekonany, że powodzenie na dworze, albo w salonie na to nie wpłynie. Zdaje mi się, że dwory zajmowały się wielkimi, przez pana wymienionymi poetami, dlatego, że już byli w pierw sławnymi; dwór się stroił poetą a wcale nie poeta dworem. Nasi wieszczowie i prorocy Izraela dla światowych względów nie pisali, a ci których pan wymieniał pozyskali sławę, mimo względów dworskich, które zdobyli, dziwnym trafem, mimo oryginalności i osobistej samoistności swoich utworów. Wielki świat jest sługą uniożonym mody, lubuje się w tem tylko, co podług recepty sporządzone, ugina się przed oryginalnością, dopiero wtedy kiedy znalazłszy naśladowców oryginalną być przestała w oczach wielkiego świata. Ludzie i dzieła ulubione przez wielki świat—to manekiny bez ducha i fizyognomii, to wytwory bezmyślnej rutyny, nie wzywające do myślenia i sądzenia samoistnego, a jeśli kto pisze akurat tak samo jak inni pisali, wolałby cudze książki przedrukowywać. Dzieła nie mające służyć do powszechnego użytku, a mające się na coś przydać, czy to rodzajowi ludzkiemu, czy to jakiemuś narodowi w jego życiu dziejowym, muszą być czemś nowem, czemś czego niema jeszcze, muszą być zatem nowatorstwem. Nowatorstwa nie cierpi świat wielki, na równie z człowiekiem ubranym w strój nie modny; całe nawet społeczeństwo gorszy się wszelką oryginalnością, nienawidzi samodzielności — i proroków kamieniuje. Toczy się wieczna walka, pomiędzy powszechną, tak zwaną przyzwoitą miernością, a samodzielnością twórczą ducha. Chodzi o to co zwycięży, czy rutyna, czy ekscentryczność; od tego zależy los społeczeństw. Gdzie się rutyna okaże przemożną, tam wszystko skostnieje, schińszeczeje, tam forma weźmie

przewagę zupełną, a życie, pozbawione, treści przybierze pozory letargu.

Pioruny tymczasem ustawały, chmury wzniosły się wyżej, odsłaniając większą część stoków górskich, ulewa ustała, ale deszcz jeszcze padał. Znahorowiczowi wydało się, że nadeszła chwila, kiedy może odpowiedzieć Borskiemu, spokojnie, ale dosadnie, nawiązując do przemówienia Eoliona. Odezwwał się zatem w te słowa:

— Tak jest, rutyna tradycją uświęcona, zabija wszelką w społeczeństwie samoistność, sprawia wreszcie, że jest wprawdzie społeczeństwo do mrowiska ludzkiego podobne, ale ludzi w nim nie ma; są tylko lalki, automaty poruszające się posłusznie podług nacisku sprężyny, które udają ludzi czasem wybornie, ale nie zdołają stawić najmniejszego oporu pierwszej lepszej inicjatywie. Niechno człowiek naprawdę żywotnym ożywiony duchem, wejdzie między te automaty, a choć lalki mogą mieć rozmiary olbrzymów, mały ów człowiek zrobi z niemi co zechce, wprawi je w nieład, jeśli zechce zniszczy, jeśli zechce przerobi. Zwycięstwo rutyny nad duchem samoistnym, bywa powodem upadku stanów, narodów, całych cywilizacyj. Dziś rutyna opanowała zupełnie naukę; uniwersytety i akademie umiejętności, bywają jej wspaniałym grobowcem. Wielkim uczonym nazywa się pracownik moczolny, który brnie w drobiazgach nieobchodzących nikogo, nie mogących na nic wpłynąć. Historyk łamie sobie nad tem głowę, czy Bolesław Krzywousty, czy też dopiero Kędzierzawy nadał jakąś wieś, jakimś nie istniejącemu od dawna klasztorowi; zoolog ślęczy nad rekonstrukcją zęba trzonowego płaza przedpotopowego, o którym nie wiadomo nawet napewno, czy kiedykolwiek istniał; chemik docieka wagi molekularnej jakiegoś pierwiastku tak rzadkiego, że jest jego co najwyżej kilka łutów na całej naszej planecie. Robota to, jakby stworzona dla bezdusznych mierności, a że korporacje naukowe, to rzesze takich mierności, przeto powagą swoją zakrzyczą każdy pomysł śmielszy. Jeszcze do połowy minionego stulecia jawiły się wielkie konstrukcje filozoficzne i kosmogoniczne, oparte wprawdzie na fałszywej podstawie i przeto mylne, ale świadczące jednak o pracy ducha, mogące się ludzkości swojemi błędami więcej przysłużyć, od prawdy tyczącej się trzonowego zęba wymarłego już płazu. Dziś udało się miernostkom odebrać ludziom wszelką chęć tworzenia hipotez szerszych; nawet filozofowie zajmują się zagadnieniami raczej fizjologicznej, albo gramatycznej, niż filozoficznej natury. Świat tonie w bagnie mierności, a jeśli jakiś potężny wiatr ducha po

tem bagnie nie powieje, jeśli go nie wysuszy, świat utonie w błocie. Więc ci, którzy tonąć nie chcą, wołają słusznie: Precz z tem błotem! precz z dławiącą rutyną! Tylko kto wzgardzi wszystkimi uczonemi metodami, i samodzielnie myśli, nie oglądając się na świat i jego zapleśniałe przesady, może coś zdziałać, może obumierający świat ożywić. Z radością witam anarchię dzisiejszą w sztuce i literaturze, jako początek odrodzenia. Moim zamiarem jest taką samą anarchię wszczać w nauce. Ja rozpocznę dzieło nauki nowej, słowiańskiej, polskiej, która nie będzie się oglądała na niemieckie metody. Czerpiąc siły w swoim tylko duchu, zajdzie tam, dokąd milion mrówek nie zajdzie, niosąc ziarnka prochu do swojego mrowiska.

Już deszcz ustał zupełnie; już się chmury przecierały a wyglądał nawet w jednym miejscu z poza nich rąbek błękitu, kiedy Koziełło, którego dotąd nie można było wciągnąć do rozmowy, podniósł swoją tęskną, piękną, płową głowę, a zwróciwszy się do Znahorowicza w te słowa przemówił:

— Jednak, przypominam panu własną teorię o powstaniu gór, która się panu Borskiemu wydała tak ekscentryczną, a w której się dopatrzyłem wielu prawd głębokich. Dopiero najwyższe szczyty wyrażają myśl ostateczną, wcielają ducha łańcucha górskiego; ale one z niego wyrosły, one są jego częścią, bez niego istnieć nie mogą, a skała fantastyczna, któraby samopas wyrosła wśród równiny, nie byłaby górą, nie miałaby nadobłocznego majestatu i sterczałaby bez celu; nie odwiedzałyby jej narody, trwałaby w zapomnieniu, tylko okolicznej znana ludności. Potrzeba wpierv zbiorowej, bezimiennej, nieosobistej pracy wieków, aby powstała potężna podstawa, na której się wspaniałe górskie szczyty wznoszą, z której dopiero wyrastać mogą. Najpierw pracują głuche, zgoła bezosobiste siły wulkaniczne, miotające miryadami drobin materyi, niby wierzenia, tradycye, instynkta głęboko w duszę wkorzenione, tworzące wspólną duszę narodu, i te siły zbiorowe, pradawne, pochodzące z wnętrzości istnienia, tworzą rdzeń górskiego łańcucha. Granitowe jądro przyoblokły potem miryady nowe jestestw żywych już, indywidualnych już, w wieczną, białą szatę wapienną, którą oglądamy dotąd w Kościeliskiej dolinie. Żyjątka pozbawione osobistej mocy i sławy, pożyły dzień jeden, a po zgonie złożyły do wielkiego cementarzyska wyrobioną przez siebie łupinkę, tak marną i drobną, jak ziarnko piasku, utoczoną zawsze podług jednej, niezmiennej modły, i tak — utworzyły olbrzymią szatę, która górskiemu łańcuchowi nadała dopiero kształt i życie, na której dopiero mogły się zazielenić trawy,

zakorzeń wielkie górskie lasy. Tak to w dziejach, kiedy się już naród narodził, kiedy ze swoją już osobną a jednak zbiorową duszą wychylił się z pomroki pradžiejowej, występują miliony ludzi, synów narodu i zabierają się do pracy podług tradycyi i przepisu, aby wytworzyć obyczaj, obrządek, dostatek i ustawodawstwo będące szatą narodu, chroniącą i orzeźwiającą. Ludzie to drobni, niesamodzielni, ale ich zbiorowe dzieło jest dziełem ogromnej wagi, a tem potężne, że tak jednostajne, że każdy z ludzi, który pożył chwilę i umarł zapomniany, był tak bezmyślnym i tak posłusznym, iż proszek, który pozostał po nim, stał się wspólnego dzieła częścią; tak, jak każdy z uczonych dzisiejszych, posłusznych jednostajnej metodzie, o włos tylko wzmoże naukę, ale naukę wzmoże. Przyszły potem straszliwe powodzie, ogromne masy lodu gniotły nielitościwie młode łańcuchy gór, podobne do najazdów i ucisków, które naród urabiają. A gdy te lody ustąpiły, powstały szczyty najwyższe, olbrzymy ducha, dzieci dziejowej męczarni. Stoją na wieki, przedmiotem czci dla rodzaju ludzkiego, ale stoją na górkim łańcuchu i są jego częścią. Gdyby się nie opierały o granit tradycyi, musiałyby się zapaść w miłkłej ziemi i zniknąć bez śladu w jej wnętrzu; gdyby nie były otoczone wapienną szatą, urobioną przez mdłe robactwo, stałyby wśród okropnej pustyni i oko ludzkie nigdyby ich nie oglądało. Gdyby któremu z tych szczytów przyszło na myśl zerwać z tradycją, wzgardzić obyczajem, pomiatać metodą, której jedynie zawdzięcza swoje powstanie i swoje znaczenie, gdyby dumny z osobistości swojej szczyt wyniosły, chciał się zewsząd od bezosobistej masy gór odgraniczyć, gdyby sobie przeto zbrzydził podstawę płaską na której stoi, runąłby z trzaskiem i rozbiłby się na głązy zalegające chaotycznie dno górskich dolin, porośłe trawą, deptane stopą przechodnia.

Że deszcz ustał, a pora była spóźniona, puściliśmy się z powrotem do Zakopanego; szliśmy parami, a rozmowy ogólnej już nie było.

IV.

Całe Zakopane gadalo o tem, że Szczęsny Borski żeni się z panną Zakliczanką. Zwykle gadają o podobnem zdarzeniu tylko w kółku towarzyskiem, do którego para przyszłych małżonków należy, ale Borski był osobistością bardzo znaną w Warszawie,

a panna Celina była tak zwaną świetną partya; więc gadano o tem zaprojektowanem zamęściu po wszystkich willach i dworcach, u Chramca, w parku Zakopiańskim, w alei Chałubińskiego, w hotelu Turystów, w hotelu pod Morskiem Okiem, wszędzie, gdzie tylko Pan Bóg letników posiał. Kto kogo na Krupiówkach spotkał, ten go z pewnością tą powitał nowiną. Człowiek, który mieszkał w Skoczyskach razem z Borskim i panną Celiną, miał wszelkie prawo twierdzić o sobie, że był świadkiem, jak się to małżeństwo skojarzyło, skoro od wszystkich znajomych i na pół znajomych słyszał o fakcie dokonanym. Bo zważmy sumienie, co to w potocznem życiu znaczy, kiedy ktoś twierdzi, że był świadkiem faktu tyczącego się trzech osób. Znaczy to, że słyszał rozmaite konwersacye poprzedzające zdarzenie, następujące bezpośrednio po niem, albo zdające sprawę z niego. Prawie nigdy się nie zdarza, aby ów domniemany świadek był przy akcji, który czyn dokonał, przy urodzinach naprzykład, przy zgonie czyimś, że już nie mówię, przy dokonaniu defraudacyi albo samobójstwa. Czyny widzujemy prawie te tylko, które nas się bezpośrednio tyczą, zresztą słyszymy rozmowy, z których się dowiadujemy o historii trzech osób. Czyny tak zwane widzujemy tylko przypadkiem, natknąwszy się na nie na ulicy, w polu albo w lesie, a wtedy dopiero nie wiemy o tem co się stało i zapominamy niebawem, żeśmy widzieli zupełnie obcych dla nas ludzi, biegających, bijących się, upadających na ziemię, albo robiących coś podobnego. Te czyny, to pantomina dla nas nie znacząca, na którą mężczyzna dojrzały nawet uwagi nie zwraca, a które nabywają dla niego wagę dopiero wskutek rozmów objaśniających. Kto zatem nie chce zmyślać, ale chce prawdopodobnie opowiedzieć potoczną historję, której był świadkiem, powinien przeważnie powtarzać zapamiętane rozmowy, jak ja to obecnie czynię. Może być, że się wniesza do opowiadania, także opowiadanie o czemś, co w życiu zaważyło, a rozmową nie było; ale temu przyjdzie chyba poświęcić słów kilka. Bo doprawdy w życiu ludzkim czynów mało, a słów co nie miara. Zresztą nogami i rękami czynów zwykle nie dokonujemy weale, dokonujemy roboty. Proszę sobie przypomnieć wiele czynów popełnił który z nas za pomocą muskularnego wyteżenia kończyn? Jeśli nikogo nie zabił, pożarów nie gasił, topielców nie ratował, siebie także nie zabił albo nie spróbował zabić, mógł człowiek, dobrze wychowany, co najwyżej za drzwi wyrzucić krawca, gdy przyszedł do niego z rachunkiem; kto zaś był tak źle wychowany, że się często władał w bójki, temu powiem spokojnie, że te bójki nie były

u niego wcale czynami, tylko zdarzeniami tak samo powszedniemi, jak u mnie na przykład codzienna przechadzka. Czynów dokonywujemy językiem i piórem, a zatem słowem, mową. Gdybym był istotnie świadkiem tego, jak się Borski zaręczył z panną Celiną, czy też jak się o nią oświadczył, byłbym znowu usłyszał rozmowę, a ta rozmowa byłaby istotnym czynem. Podobnież zawarcie ważnego interesu, skazanie zbrodniarza, propaganda idei, zawarcie traktatu międzynarodowego, poróżnienie lub pojednanie dwóch ludzi odbywa się za pomocą rozmów mówionych albo pisanych, za pomocą słów, a gdy mówimy, żeśmy się także fizycznie koło takiego czynu ciężko napracowali, myślimy o podróżach lub innych trudach, którychśmy się podjęli, na to, aby móżdż prowadzić rozmowę, będącą istotnym czynem. Więc skoro wszyscy o tem mówili, skoro zachowanie się Borskiego i pani Zakliczyny świadczyło o tem wymownie, że on się starał o pannę Celinę, a że matka panny Celiny jemu sprzyjała, skoro wreszcie wiedziałem, że tak zręczna osoba jak pani d'Estrée pracowała nad tem, aby to właśnie małżeństwo przyszło do skutku, powinienem być wierzyć, że byłem świadkiem dokonanego wypadku, tem bardziej, że przez parę dni po powrocie z ponad Czarnego Stawu, pani Leokadya rozmawiała na osobności, to z panem Szczęsnym, to z panią Laurą, w sposób tak tajemniczy, że niepodobna było się nie domyślić tego, o co przy tych rozmowach chodziło. A jednak jakoś żadną miarą w fakt dokonany wierzyć nie mogłem; nie żadna rozmowa, tylko całe zachowanie się panny Celiny, tylko jej postawa i jej wyraz twarzy wpajały we mnie niezbitę przekonanie, że to osoba, która sobą rozporządzać nie da bezwolnie; wreszcie wiedziałem, że rozmawiała z Borskim uprzejmie, ale że unikała jego towarzystwa; w żaden sposób nie mogłem nabyć przekonania, aby jemu sprzyjała, a skoro nie sprzyjała, nie zostanie jego żoną. Owszem, gdyby to od panny Celiny zależało, zostałaaby żoną Koziełły, a pani Leokadya występuje w roli swachy Borskiego, tylko jako niepoprawna kobieta, chcącą tantemu małżeństwu przeszkodzić. Gotówem się nawet założyć, że nie kto inny tylko pani d'Estrée rozpuściła po całym Zakopanem wiadomość, niby niezawodną, o dokonanych zaręczynach, czy też o tem, że jest już po słowie. Użyła przebiegła kobieta tego sposobu, aby wywrzeć nacisk na panną Celinę, aby przełamać jej niechęć; wie, że mowa to nie tylko środek najgłówniejszy za pomocą którego człowiek działa, ale to także żelazo, z którego ukuto nieublagane jarzmo powszechnej opinii, któremu się człowiek oprzec nie może, choć się nieraz w nim serce, choć się cała jego

istota wzdryga przed spełnieniem jej głupich nieraz, a zawsze nieubłaganych rozkazów.

Tak to, siedząc w dzień pogodny na tarasie drewnianym przed kawiarnią Płonki, na Krupiówkach, zwierzałem się poufale przed moim przyjacielem, Stanisławem Korczakiem, przed którym miałem zwyczaj myśleć głośno. Dopiero kiedy się wygadał, dostrzegłem, że zaraz za mną, przy innym stoliku, siedział nie kto inny, tylko poeta Żeński. Czytał nibyto gazetę, ale byłem przekonany, że ją czytał nieuważnie, że słyszał każde moje słowo. Ukąsiłem się tedy w swój język nierozważny, o którym byłem przekonany, że popełnił teraz taką samą niedorzeczność, jak kiedy się, temu parę dni, przed panią Leokadyą wygadał najniepotrzebniej w świecie. Wszak wiedziałem, że Eolion był niesłychanie rozdrażniony, od czasu swojej ostatniej wycieczki w góry. Tak dalece nie panował nad sobą, że go widziałem wczoraj pijącego bez miary w hotelu pod Morskiem Okiem. Rozdrażnienie, zdradające się we wzroku, w nerwowych ruchach, w nabrzmieniu żył na powiekach, przypisywałem zrazu miłości własnej podrażnionej opiekuńczym tonem Borskiego, a więcej jeszcze tem, że nikt z nim nie rozmawiał o jego wyprawie bohaterkiej na szczyt Mnicha, że wszyscy zachowywali się tak, jak gdyby Eolion nie był nadzwyczajnym człowiekiem. Ale miara niezwykła irytacji przekonała mnie wkrótce, że na tem się nie kończyło; gdyby o to tylko chodziło, byłby się Żeński prawdopodobnie wyniósł poprostu z wyłącznych Skoczysk, do innej jakiejś pensyi, w którejby był otoczony przez grono admiratorów i w której byłby mógł być pewny lucznych oklasków, wygadując na naszą arystokrację i na jej przesady. Tymczasem siedział w Skoczyskach, a stawał się tylko dla niektórych ludzi niegrzecznym, mianowicie dla Borskiego, który na to może zasłużył, a prócz tego dla markizy i dla Koziełły; ilekroć zaś sposobność się nadarzyła, siadał w miejscu, z którego było widać pannę Celinę, siedział tam jak wryty i patrzył na nią, choć zdaleka, jak na obraz. Zresztą jej się nie naprzykrzał wcale, nie próbował nawet z nią rozmowy. Zapewne obrażona miłość własna grała jakąś, i to nie małą, rolę w bolesnym podrażnieniu Żeńskiego, ale oprócz tego było tam coś głębszego — Eolion kochał się naprawdę i namiętnie w pamięć Celinie. Wiedziałem o nim, że bywał uwodzicielem niewiast w swojej sferze towarzyskiej, że bałanucił panny i mężatki, dla emocyi, dla wzruszenia, na to, aby się sobie samemu w romantycznym przedstawić świetle. O romantykę chodziło zapewne także, kiedy zaczął być adoratorem panny Celinę. Ale kiedy sobie zdał sprawę,

że przedmiot jego nowej adoracji jest równie niedostępny, jak posąg bogini ustawionej na ołtarzu, uwikłał się we własne siła. Teraz kochał się naprawdę i cierpiał nieznośne katusze, że kiedy chodziło o pannę Zakliczankę — on, poeta, geniusz... nie wchodził w rachubę, a wchodził w rachubę tacy ludzie, jak Koziełło, który niczem swojego nazwiska nie wślawił i co nierównie gorsze, takie zupełne zero, jak Borski. O tym stanie jego uczuć wiedziałem już teraz zupełnie na pewno; więc wiedziałem także, że to co mówiłem Korczakowi, musiało Eoliona, i to najniepotrzebniej, zaboleć. Ale stało się, słów wypowiedzianych niepodobna cofnąć, a co się stało, to się już nigdy nie odstanie.

Mój przyjaciel Stanisław Korczak, nie mógł się tego domyśleć, co mnie trapiło, a swoim obyczajem, zaczął filozofować o myślach rzuconych przezemnie mimochodem. Tak jest, mówił — moc mowy ludzkiej ma w sobie coś zadziwiającego. To technienie tylko bezsilne, a przemieniło postać świata; człowieka zrobiła mowa dopiero człowiekiem z pełną, umożliwiła dokładne porozumienie się między ludźmi i tem samem utwierdziła i wykształciła ludzkie społeczeństwa, nadała im prawa, a zamieniona z niedostrzeżonego technienia w drobny znaczek, pozostawiony na nikczemnej białej kartce, którą lada wietrzyk pomiecie, sprawiła ten cud, że my, którzy żyjemy w dwudziestym wieku po Chrystusie, pamiętamy dokładnie co się działo za rzymskich Cezarów, a coś trochę co się działo za Faraonów. Ona to umożliwiła dokładne przekazywanie doświadczeń, a tem samem wytworzenie nauki i przedziwnej techniki, tak administracyjnej, jako też i przyrodniczej, która bodaj czy nie jest główną treścią cywilizacji ludzkiej, obok twórczości artystycznej, będącej znów mową tylko, technieniem ust naszych u sztuki naczelnej, poezyi, a owocem bezpośrednim techniki, a zatem pośrednim mowy, u wszystkich innych sztuk. Technienie ust naszych więcej znaczy od całej potężnej ciała muskulatury, od wszystkich nawet sił przyrody, które okiełzało i opanoowało. Ale pytanie czy magiczna siła, tkwiąca w ludzkim słowie, nie jest podobną do demona, którego czarnoksiężnik dawny wywołał i do najrozmaitszych używał posług, a który potem czarnoksiężnika okuła w pęta i zabrał do piekielnego więzienia, w którym go po wieki wieków strzeże?

Przyznałem się, że tego nie rozumiem porównania, a wtedy Korczak zawołał: — Jakto? Wszakżeż mi je sam nasunąłeś, mówiąc o mocy opinii, naginającej człowieka pod jarzmo swego pustego gadania, zmuszającej go, aby po własnej deptał duszy! To się codzień widzi, jak ludzie swoim gadaniem zmuszają człowieka

do tego, aby najrozumniejszych zamiarów zaniechał, aby sam siebie gubił i to wbrew własnemu przekonaniu. I to mniejsza o to, gdy chodzi tylko o ludzką jednostkę; ale chodzi niejednokrotnie o miliony, o całe narody. Żyjemy obaj nie wiele więcej nad pół wieku, a byliśmy już świadkami tego jak moc mowy, gadanej i pisanej, jak opinia wmówiona w naród i objawiająca się znów słowem, a nierozsądna, a zgubna, jak namiętność ślepa co do celów a przebiegła w środkach, której zawdzięczała swój początek, porywała całe narody do szalonych czynów, do walki orężnej z nieprzyjacielem oczywiście przemożnym, albo do wypowiedzenia wojny bez należytego przygotowania, albo do rewolucyi zwyciężkiej wprawdzie, ale niepotrzebnej, a tem samem szkodliwej, albo do jakiejś spekulacyi pieniężnej na wzór sławnej francuskiej Panamy. Szał wtedy bynajmniej całego narodu nie porwie, owszem większość będzie zrazu, a może do końca, pełna niedowierzania; powie sobie tylko, że się na tem nie rozumie, że o szczegółach nic nie wie, że ci, którzy tak głośno gadają, muszą się na rzeczy rozumieć, muszą o wszystkim wiedzieć. Głośne gadanie, przewane opinią publiczną, przewie każdego odpornego głupcem, albo infamisem, potępi kilku dzielnych a rozumnych, przestrzegających przed szałem, i popchnie wszystkich do zguby. Więc kto wie, czy nie przychodzi przekląć chwili w której mowa została ludziom dana?

Odparłem z uśmiechem: W swoje wdajesz się paradoksa, w które sam nie wierzysz. Bo gdybyś wierzył, że mowa jest rzeczą złą, nie używałbyś jej, a rozkoszujesz się nią, tak samo jak ludzi kochasz i nienawidzisz, jakkolwiek twierdzisz czasem, że zgodnie z nauką niemieckich filozofów, świat cały, a wraz z nim ludzie, są twojem podmiotowem urojeniem.

Stanisław Korczak nie dał się zbić z tropu; popił herbaty, zapalił papieros i dalej prawił, lubując się w swoich paradokсах. — Otóż właśnie, rozum prawi co innego, a robimy co innego, z przyzwyczajenia zakorzenionego od dzieciństwa, pod wpływem nauk wpojonych w czasie naszego wychowania i powszechnie przyjętych, a zatem także powszechnie głoszonych przesądów. Mowa, ten fatalny dar Bogów, wyrządza narodom i ludzkości jeszcze większe nierównie, jeszcze o wiele bardziej długotrwałe szkody od tych, które wymieniłem. Tworzy przesady wiekowe, od których może się czasem wyswobodzić myśl, ale którym człowiek cały ulega na podobieństwo ostatniego bydłęcia. Największy filozof może się czasem w myśli samotnej uchylić z pod przewagi wmówionego we wszystkich przesądu. Jeśli będzie miał

tyle męstwa, że swoją myśl napisze i do druku poda, rękę za to, że ze strachu przed obmową osłabi jej doniosłość, obetnie ją tak, żeby się nie wydała zbyt przeciwną powszechnemu papug ludzkich gadaniu; działać będzie filozof, tak jak trzoda Panurga i w powszedniem życiu wcale się od niektórych głupców różnić nie będzie. Ta moc mowy wytwarza dziwadła tyrańskie, stokroć mocniejsze od każdego żandarma na świecie, zakuwa wszystkie narody w niewolę; dzieciom każe się marnować i unieszczęśliwiać przez posłuszeństwo dla rodziców, w wieku, w którym dzieci są rozumniejsze od starzejących się rodziców; skuwa z sobą niezgodnych małżonków, choć każde po rozwodzie byłoby szczęśliwsze i pożyteczniejsze dla społeczeństwa; sprawia że ludzie, w śmiertelnej trwodze idą się rznąć na pobojuwiskach, zabijają, kaleczą i giną wśród męczarni, choć każdy z nich miałby niekłamana ochęć uciec do domu. Wymyśla różne dogmata religijne, moralne i polityczne, różne przykazania przyzwoitości i punkta honoru, których rezultatem jest ucisk powszechny; żadnej nie dopuszcza swobody uczuć i myśli, wprost karcie naukowe dociekanie. W średnich wiekach i dotąd w Azyi moc wmówionych w ludzkość przesądów sprawiła wszystkim niewolę najokropniejszą, gorszą od niewoli murzyna u amerykańskiego plantatora, a sami nie wiemy do jakiego stopnia nedorzeczne w rodzaj ludzki wmówione przesady kępują nas po dziś dzień. Mowa, to zbrodniarz nie lada, to grzesznik zatwardziały. Wtedy tylko godną bywa pobłażania, a nawet szacunku, kiedy odpokutuje, kiedy się stara naprawić, kiedy istotnie w części naprawia to, co nabroiła. Tą godną szacunku mową, była mowa starożytnych filozofów, z okresu przewzanego niegodziwie dekadanssem, kiedy burzyła chwast bujny przesądów wyrosłych na pogaństwie, taką była i jest mowa Woltera, jego poprzedników i jego następców, a zatem ludzi, którzy przeczą. Nie zawsze mogłem zrozumieć Trentowskiego, ale genialnem wydało mi się porównanie, które u niego w Myślini czytałem, gdzie wbrew powszechnemu zwyczajowi i wbrew sławnemu wierszowi w Fauście Goethego, duch twierdzenia przewzany został starym, kulawym dyablem, a duch przeczenia młodocianym, promiennym i zbawczym aniołem. Przeczuwany przez poetów i myślicieli złoty wiek przyszłości nastanie wtedy dopiero, kiedy przeczenie wszystkim dogmatom przekazanym przez przeszłość ostatecznie zwycięży, kiedy nie będzie już żadnych prawd narzucanych przez opinię publiczną, to jest przez przesąd powszechny, kiedy nikt nie będzie cudzego powtarzał zdania, każdy będzie tylko miał własne, osobiste przekonanie. Chluby czasów nowo-

żytnych nie należy szukać w odkryciach przyrodniczych i wynalazkach technicznych, jak to ludzie czynić zwykli, tylko w tem, że krytyka wszelkie wali przesady, łamie jarzmo żelazne, jakie gadanie powszechnie narzuciło na kark każdego człowieka z osobna.

Znowu sprzeciwiłem się przyjacielowi, mówiąc:

— I to znowu paradoksa, w dodatku nie ze wszystkim oryginalne, a dlatego tylko ciebie godne, że nie zatrzymałeś się w pół drogi, jak to zwykł czynić najśmielszy nawet apostoł moralnej anarchii, a poszedłeś do końca i żądasz, aby zgoła żadnej nie było opinii powszechnie przyjętej, aby nie było nawet uznanych obowiązków moralnych i przepisów przyzwoitości, aby nie było także żadnej władzy, bo każdą władzę wykonują ludzie, nakłonieni do tego przesądem, jakoby niepodobna było jej się oprzeć. W twoim wieku złotym chodzilibyśmy jak wśród bajki dziecięcej. Wiadomo przecie, że nikt nie byłby w stanie egzystować, gdyby się nie spuszczał na niezmiennosc praw natury; że byłoby nam djabło przykro, gdybyśmy się musieli co chwila spodziewać, że krzesła na których siedzimy, zaczną nagle, bez żadnej rozumnej przyczyny uciekać, albo zaczną nas szczypać, aby się niepożądanego pozbyć ciężaru. Wcale nieznośnaby już była perspektywa, że stół przed nami może się, ni stąd ni z owąd, zamienić w smoka ogniowego i że zamiast bułki, my zostaniemy pożarci. Otóż żylibyśmy pośród podobnych stosunków, gdyby twój program został wykonany i gdyby nie było już o niczem wspólnej opinii, regulującej działania ludzkie. Nastałaby anarchia taka, o jakiej najzacieklejszy nie marzy anarchista. Niczyjej nie możnaby zaufać obietnicy, żadnychby nie można zawierać układów, człowiek co chwila narażony na różne zniewagi, nie byłby zgoła pewnym życia. Wprost niepodobna sobie takiego stanu rzeczy wyobrazić, a to może z tego powodu, że zanik wszelkich powszechnie przyjętych opinij, wszelkiego dogmatu, jest poprostu niepodobieństwem; zgładź wszystkie, a nasuną się nowe, tak jak po skrytykowaniu pojęć religijnych, zapanowała metafizyka materialistyczna, oparta już nie na objawieniu jakimś, tylko na zuchwałych domysłach, niepopartych doświadczeniem a przyoblekających pozory niezbitych dogmatów. Taką jest już natura człowieka, że opinie jakies wspólne, a powszechnie przyjęte, koniecznie istnieć muszą.

— Proszę cię—zawołał Korezak—nie przesadzaj swoim zwyczajem. Z każdego zdania zrobi się absurd, jeśli to zdanie doprowadzimy do ostatecznych konsekwencyj. Mów tak, jak myślisz w istocie i przyznaj, że narody ślęczące pod jarzmem nieugiętej tradycyi,

dogmatów nieomylnych, a przeto nietykalnych, są narodami nie-szczęśliwymi więźniów, narodami skostniałymi w barbarzyństwie, które zduszą, zgniotą każdego nowatora i tem samem, uniemożliwiając wszelką reformę i wszelki postęp, muszą się stać pastwą bardziej ruchliwych sąsiadów.

Przerwałem, mówiąc: — Ależ, mój kochany, jest różnica pomiędzy dogmatem nietykalnym, powszechnie przyjętym, a dogmatem nietoleranckim, nie cierpiącym żadnych reform. Nietykalnym dotychczas dogmatem społecznym jest naprzykład, to że człowiek uczciwy winien swoich dotrzymywać zobowiązań, a nie widzę, w czemby ten dogmat miał przeszkadzać postępowi. Dogmatem unieruchamiającym narody jest Islamizm, ponieważ Mahomet ustanowił naukę obejmującą przepisy dotyczące się wszystkich czynności ludzkich, które na jego czasy były tak dobre, iż zapewniły Muzułmanom na kilka wieków przewagę nad innymi narodami, ale które dlatego, że tyczyły się także rzeczy zmiennych, przestarzały się i stały się dziś powodem upadku narodów muzułmańskich. Człowiek może wiecznie wydoskonalać środki, za których pomocą czyni zadość potrzebom swojej natury, a za pomocą doskonalszych środków zbliża się coraz bardziej do swego celu. Środki są i powinny być zmienne, cele zaś są i pozostaną wieczne, a o celach uczy dogmat; uczy także o pewnych rzeczach, wynikających z natury ludzkiej a tak niezmiennych, jak ta natura. Bywa, że nawet dogmata w zasadzie dobre, bo nie przekraczające przypisanych sobie granic, stają się tyrańskimi, a przeto szkodliwymi; może je skoszlawić stan jakiś panujący, aby za ich pomocą ujarzmić społeczeństwo, naumyślnie w ciemności utrzymywane. Bywało to, bywa i dziś, nie przeczę temu wcale. Kostnieją także dogmata i ze zbawiennych stają się nieznośnemi, kiedy je krytyka podkopała, kiedy się boją o swoją egzystencję; ale wtedy pytanie, czy to skostnienie, czy ta ciasnota i ta nietolerancja jest winą dogmatów, czy winą tych, którzy zamiast myśleć o rzeczach dla szczęścia społecznego potrzebnych, przecząc najniezbędniejszym dogmatom, same podstawy społeczeństwa podkopują, wyrrywają korzenie, z których soki żywotne czerpie? To co mienisz być nowożytnych czasów największą zasługą, zaprzeczenia wszystkiemu, które się zewsząd sypia, to nie zwiastuny złotego wieku, to symptomata upadku całej europejskiej cywilizacji, rozstroju, który, jeśli potrwa, odda ubezwładnione narody w ręce jakichś Azjatów, albo Afrykanów, narodów, które przechowawszy niezachwianą wiarę we wspólnie wyznawane prawdy, nauczą się naszej techniki i tę technikę przeciw nam obrócić; a wtedy naród zgodny sam

z sobą, narody niezgodne pokonać musi. Społeczeństwa które, wśród nieopisanych trudów, dokonały w dziejach wielkich rzeczy, które się zapisały w księdze historii literami ze złota i krwi serdecznej, nie były narodami sceptyków i dyletantów, rozbiegających krytycznie rzecz każdą i sprzeczącących się o wszystko. Wierzyły one niezłomnie w kodeks moralny, do którego życie rodzinne i osobiste zastosować powinni ludzie, poświęcając swoje ja dobru ogólnemu, idei społeczeństwa, bez wahania się najmniejszego, a gdy ktoś w tych narodach popełniał czyn, który nam się wydaje szczytem barbarzyńskiego prawie bohaterstwa, nie pojmował jak można było działać inaczej. Dla tych narodów posłuszeństwo w obec prawa, wykonanie rozkazów, choćby najtrudniejszych i najokrutniejszych narodowej zwierzchności, było rzeczą która się sama przez się rozumiała. Wierzyły w przyszłość ojczyzny wielką, albo w świętość pomazańca bożego, który był ich władcą, a gotowe były się poświęcić dla ojczyzny, albo dla króla; wierzyły prócz tego niezłomnie w bóstwo opiekuńcze a wszechmocne, które zapewni zwycięstwo narodowym ideałom i które, w jakimś nadprzyrodzonym i nadumysłowym świecie wynagrodzi tych, którzy aż do śmierci wspólnym dogmatom posłuszni byli. Tą wiarą niesione działały te narody zgodnie, dzielnie i wytrwale i wielkich dzieł dokonywały. My, dyletanci niepoprawni, gotowiśmy, poznawszy bliżej takie wielkie naprawdę społeczeństwo, narzekać na jego ciasnotę i ciemnotę, jak ciemnotą i ciasnotą przeżywamy uporeczywą wiarę Żydów, trapiącą ich tysiącem drobnotkowych przepisów, która jednakże tego dokazała cudu, iż naród Żydowski, na wygnaniu, w rozsypce i w poniewierce przetrwał dwa tysiące lat, przetrwał Rzymian i świat średniowieczny i jest dziś znowu potęgą, wśród świata nowożytnego. A my, cośmy dziś wari? Doczegośmy dziś doszli? Zabraliśmy się do krytyki dogmatów, na których cywilizacja nowożytna wyrosła. Zrazu walono nieśmiało tylko zewnętrzne formy religii, potem zabrano się do jej treści, a skoro ta się doświadczeniem ziemskim ani dowieść, ani zaprzeczyć nie da, obwołano religijne niedowiarstwo znamię człowieka wykształconego. Zachęcali do tego możni tej ziemi, których wszechmoc dogmatą chrześcijańskie kępowały niewygodnie, a uśmiechając się łaskawie przeczącą filozofii, myśleli w zaślepieniu swoim, że swojej nie podkopują prawowitości. Rewolucya dowiodła im niebawem, jak dalece się mylą, a nasi dziadowie przyklasnęli z uniesieniem upadkowi tradycyjnego gmachu prawowitej władzy i odwiecznej społecznej hierarchii, tusząc, że teraz dopiero, niczem nie skrepowani, będą mogli służyć swemu

narodowi, swojej rodzinie i wykonywać przekazania honoru. I oni także omylili się srodze, jak o tem wiemy dziś, aż nazbyt pewnie. Dziś ojczyzna, rodzina, własność, honor, cnota—to dla wielu rupiecie stare, dogmata przesadne, których się człowiek oświecony powinien wyrzec. Ojcowie nasi i my za młodu, wyznawaliśmy z zapalem religię postępu. Jak wszystkie przez religię oznaczone, metafizyczne cele, postęp był czemś, co się nie dawało słowami określić, wyobraźnią ująć; nie wiedział nikt, jak będzie wyglądał ów przemieniony stan chwalebnej ludzkości, do której postęp dziejowy miał prowadzić koniecznie; ale w postęp wierzyli wszyscy, albo prawie wszyscy; kto postępowi przeczył, był istynym heretykiem, potępionym jednomyślnie przez opinię publiczną. Teraz i ta ostatnia religia uległa krytyce i ów bóg najnowszy, postęp, znika wśród mgły przeczenia, w której tyłu już się rozplynęło bogów. Po chrześcijaństwie została jakaś litość czułościowa dla cierpień ludzkich, potępiająca wojnę i wszelkie bóstwo, odbierająca resztę hartu nowszym pokoleniom; ale i tej przeczą apostołowie bezwzględego samolubstwa, a samolubstwu nawet przeczą ci, którzy doszedłszy do ostatecznych konsekwencji rozumowej krytyki, głoszą, że to nawet nieprawdą, jakoby był pewny własnego istnienia. Bez wspólnego celu, kręcimy się w kółko, jak błędne owce. Najgrubsze, najbardziej namacalne, materialne interesa same jedne zachowały moc popychającą do czynów; ludzie umieją się tylko bogacić, albo zazdrościć bogactwu. Upragniona przez ciebie anarchia moralna jest już, a nie widać złotego wieku. Owszem, przychodzą chwile, w której człowiek wątpi, czy się świat ostoi długo, czy cały gmach cywilizacji nie runie, wśród anarchii materialnej, społecznej, która z anarchii moralnej wkrótce wyniknąć musi.

Gdy tak mówiłem, Żeński przestał zrazu udawać, że czyta gazetę i słuchał nas otwarcie; potem zbliżył się do naszego stolika i słuchał stojąc; wreszcie siadł obok nas na próżnym krześle. Niepokój, gorączka rysowały się na jego sympatycznych zresztą rysach, które szpecił tylko czasem kurcz koło ust, przypominający śmiech boleści. Teraz wmieszał się do rozmowy, przeprosiłszy zato, wedle przepisów dobrego wychowania. Mówił zrazu panując nad swoim głosem, ale potem coraz bardziej gorączkowo i z gestami coraz żywszemi i coraz bardziej gorączkowemi, takimi wreszcie, że zwróciły na siebie uwagę wszystkich gości zebranych u Płonki, a nawet przechodniów przechodzących ulicą.

— Nie wiem — rzekł — czy to taka wielka będzie szkoda, gdy runie ta dzisiejsza cywilizacja, gdy się rozwali kłamliwy ład

społeczny, wśród którego żyjemy. Wiem, są ludzie którym dobrze z tem co jest, którzy zatem to złe dzieło zbłąkanych stuleci wychwalają. Do nich nie należę. We wszystkim, co ludzie ustanowili, widzę tylko środek wynoszenia uprzywilejowanej mierności, kosztem okropnego lamentu; kilku się uśmiecha, rozsiadłszy się wygodnie na rozkosznie wyścielonych fotelach i przypatruje się piekłu, pełnemu płaczu i zgrzytania zębów, jakie się rozlega dokoła, jakby to było widowisko jakieś teatralne. Porodzą się na tych fotelach, więc nie mogą sobie tego uprzytomnić, że to prawdziwe piekło, i twierdzą i wierzą, że bawią się w teatrze nadzwyczajnie urządzoym i że szkoda byłoby takiego teatru, gdyby spłonął. Więc wołają wciąż straży ogniowej nie wiedząc wcale, że pożar tego teatru, będącego w istocie więzieniem, mógłby jedynie z piekła wyswobodzić miliony. — Rozumiałbym jeszcze konserwatyzm, gdyby ludzie, którzy zajęli stanowiska naczelne a wygodne, na to zasługiwali, gdyby spełnianiem wielkich zadań usprawiedliwiali swoje przywileje. Tak wcale nie jest. Rozumiałbym bogaczy korzystających ze wczasu i wygody, aby się opiekować sztuką i nauką, wielkich i małych Medyceuszów, odszukujących, wychowujących, utrzymujących prawdziwe talenta. Państwo tego robić nie może, bo to maszyna nie osobista, która różnic osobistych uwzględnić nie może. Społeczeństwo, jeśli to słowo oznacza cokolwiek innego niż kupę ludzi żyjących przypadkowo obok siebie, tego tem bardziej robić nie może, bo składa się z indywidualuów ubogich i zakłopotanych, nie mających czasu na nic innego, jak na troskę o chleb powszedni. Mogą i powinni to robić światli bogacze, a gdyby to robili, czapkowałbym przed nimi, a nienawidziłbym z serca socyalistów, anarchistów i wszystkich myślicieli, podkopujących krytyką posady dzisiejszego społeczeństwa. Rozumiem jeszcze i przyznaję, że człowiek nowozobogacony, który się dorobił ekonomiczną zapobiegliwością, choćby najogromniejszych dostatków, nie potrafi myśli oderwać od zarobku i od poziomego interesu, że jego syn, nawet jeszcze jego wnuk, nie opuszczą kolei wytkniętych przez rodzinną tradycję, że tylko ludzie od wielu pokoleń bogaci mogą godnie spełniać idealne zadania możnych. Gdyby to robili, ukląkłbym przed nimi i nienawidziłbym z serca każdego demokrate, jak Judasza zaprzedaającego duszę ludzkości za srebrniki zawiści. Ale panowie przyznacie sami, że arystokracji w głowie bale, polowania, wizyty, plotki, próżnowanie i nudy; że wskutek życia beczynnego, o formach jedynie pięknych, ale zupełnie pozbawionego treści, postradała zdolność do rozróżniania talentu od mierności. Jeśli

ktos z arystokratów otrząśnie się z powszechnej beczynności: to chyba na to, aby zapomnieć o herbowej tradycyi i rzucić się do przemysłu, albo do handlu, tak całkiem, jakby był parweniusem, a jeśli salon zajmie się niby uczonym, artystą albo pisarzem, to nie dlatego, że ma talent, tylko dla tego, że sprawia sobie frajdę z dobrego krawca, panie umie bawić, pyszałkowatym próżniakom pochlebiać umie; a salon zajmie się miernością, przezwaną talentem, nie na to, aby talent uzdrowić i podnieść, jedynie na to aby człowieka zmusić do arystokratycznego próżnowania, i tem samym, talent, jeśli nawet był w istocie, zmarnować haniebnie.

Nic nie odpowiedziałem poecie, bo uwagę swoją zwróciłem na razie w inny kąt kawiarni, gdzie dostrzegłem pana Szczęsnego Borskiego. Już jego zjawienie się u Płonki było rzeczą niezwykłą; niezwykleszym jednak było to, że uśmiech uprzejmego zadowolonia ustąpił z jego twarzy. Zdawał się równie nieszczęśliwym, jak Eolion, chociaż zły humor objawiał się zupełnie inaczej. U Eoliona włosy były w nieładzie, kołnierzyk był pomięty; u Borskiego wszystko leżało, jak na lalce za szybą w sklepie. Borski się nie rzucał, nie gestykułował, siadł tylko sztywnie za stolikiem i kazał sobie podać herbatę. Ale to właśnie, że był sztywny, ale zpoważniały zbytecznie wyraz twarzy, świadczył aż nadto wymownie, że się coś Borskiemu bardzo nie po myśli zdarzyło. Mnie się wydało, że zachęcony przez panią d'Estrée, a może także przez panią Zakliczynę, oświadczył się o pannę Celinę i od panny otrzymał odpowiedź odmowną.

Rozmowę z Żeńskim podjął Korczak; a był to człowiek w gruncie rzeczy bardzo przywiązany do szlacheckiego klejnotu i do różnych staroświeckich przesądów, które w rozminowie nazywał „przeżytkiem.“ Sam chętnie wytykał wady tak zwanych panów, a nie lubiał tego gdy im kto złorzeczył, kto nie należał do szlachty wiejskiej; upominał się tedy najpierw o chwalebne wyjątki, spełniające rozumnie wszystkie obowiązki, jakie nakłada wielki po pradziadach odziedziczony majątek; dodał potem uwagę, że arystokracja rodowa dawno przestała stać na czele społeczeństwa. Nie dziw — mówił — że ludzie którzy utracili wpływ przeważny, a napotykają co chwila na jawne dowody skierowanej przeciw sobie namiętności demokratycznej, nie troszczą się o społeczeństwo, a odsunięci przemocą prawie od sprawowania spraw publicznych i tem samym zniechęceni, oddają się wykwintnemu próżnowaniu. Istotnie, naczelną warstwą wśród dzisiejszej demokracji, jest tak zwana inteligencja, są ludzie uczeni, zawdzięczający nauce panowanie nad całym społeczeństwem, nieró-

wnie dziś możniejsi od szlachty rodowej. Ci zatem ludzie nie potrzebują bynajmniej opieki mecenasów, nie przyjęliby nawet ofiarowanej.

Eolion zaśmiał się gorzko. Zawołał: — A proszę mi powiedzieć, czem są ci ludzie inteligentni, o których przyznaję, że rządzą w społeczeństwie, choć panują zawsze jeszcze przede wszystkim bogaci — szlachta rodowa, a obok niej miliardy i milionery nowoupieczeni. Czem są? proszę mi odpowiedzieć! Otóż to fabrykat czterech starodawnych, średniowiecznych fakultetów uniwersyteckich: są to prawnicy, lekarze, księża i profesorowie. Od wieków zaszła ta tylko różnica, że byłym niegdyś teologów na pierwszym umieścił miejscu, a teraz wymieniłem ich na trzecim. Prawnik używa prawa aby żyć; do tego samego celu służy medycyna lekarzowi, religia księdzu albo pastorowi, mniejsza o to jak go nazwę, a nauka w ogóle, nauka prawdziwa niby bezinteresowna—profesorowi. Bez prawnika nie byłoby procesów, a przy najmniej bywałyby krótkie, rozstrzygane zdrowym rozsądkiem, który do tej roboty, aż nadto wystarcza. Gdyby prawo było jasne, nie mieliby prawnicy co jeść, więc nafabrykowali paragrafów i przepisów co nie miara, aby się społeczeństwo kłóciło, aby się pogodzić nie mogło, aby mieli co ssać. Tak samo lekarz wmawia w zdrowych choroby, lekko chorych w większe wpędza, aby przedłużyć kurację, aby dłużej brać honoraryum. Dla duchownego istota religii chrześcijańskiej, miłość nakazana przez Zbawiciela, znika poza mocą form; postrachu używa się więcej niż religijnego wzruszenia, a duchowieństwo dba przede wszystkim o swoją powagę, o swoje wpływy i dochody, a dodaje tem samem mocy zaczepkom, któreby były bez tego bezsilne, ilekroćby się chciały targnąć na promienną piękność Ewangelii. Cóż dopiero powiem o profesorach? Są na to, na to biorą pensyę, aby wychowywać tamte dyplomowane trutnie, które wraz z bogaczami wyjadają miód w społecznym ulu, skazując na głód i niedostatek niezliczone miliony pszczoł roboczych. Oprócz tego wymyślili sobie chińskie łamigłówki, czeze bezduszne zabawki, które jedynie poważną przezywają nauką, a pedantyzmem swoim męczą młodzież w szkołach, pozbawiają całe pokolenia i zdrowia i świeżej myśli, wpajają w te pokolenia wstręt do wszelkich zajęć umysłowych. Powiem znów, żebym się pokłonił aż do ziemi, przed tym całym fabrykatem uniwersytetów, gdyby prawnicy dbali o panowanie zewnętrznej sprawiedliwości, chroniąc lud przed krzywdą i przemocą, gdyby lekarze myśleli o zwalczeniu cierpienia ludzkiego, księża naród prowadzili do krainy ideału, profesorowie

usiłowali w młodości wzniecić zapał do nauki. Ale jakżeżbym miał żałować tych wszystkich Chińczyków? Im prędzej ich jakaś dziejowa miotła zmiecie z poprzed oblicza ziemi, tem lepiej!

Uśmiechnąłem się, wysłuchawszy Żeńskiego. Przywykłem do tego, że młodzi, w chwili, w której dostrzegą, że nie wszystko jest na świecie, tak jak być powinno, w ten sposób całej cywilizacji złorzeczą, wzywają z nieba ognie, które pożarły Sodomę i Gomorę, a wiek żalu do świata musiał trwać dłużej u wrażliwego poety. Nie pokusiłem się tedy o wykazanie, jaką krzywdę wyrządzał stanom i zawodom, które mimo mnogich ułomności, bez których nic ludzkiego obejść się nie może, tak znakomite usługi oddają ludzkości; rzekłem tylko: — Coś przecie dobrego musi być w tych urządzeniach społecznych, które pan w czambuł potępiłeś, kiedy pod ich zarządem powstała i trwa cywilizacja, bez której byś pan niemógł ani wierszy pisać i drukować, ani tak zajmującej z nami prowadzić rozmowy. Sądzę, że pan wszystko i wszystkich skrzywdziłeś; ale przyznawszy, że większość majątnych dba tylko o siebie, a większość ludzi dyplomowanych pracuje tylko bezmyślnie na chleb, przyjdzie i o tem pamiętać, że to wina natury ludzkiej, a nie żadnych instytucyj. Ludzie wyżsi umysłowo, albo moralnie są i pozostaną zawsze wyjątkami, instytucje należy sądzić wedle tego, czy dają tym wyjątkom sposobność do wykształcenia i do działania. Otóż skoro natura ludzka jest taką jaką jest, a nie inną, podejmę się chętnie obrony instytucyj przez pana potępionych. Bogaci żyją od kołyski wśród wygod tak bezpiecznych, że odwykają od wszelkiej pracy, gmin zaś pracuje w pocie czoła, więc do pracy umysłowej nie jest zdolny. Cywilizacja na pracy umysłowej stoi. Aby powstanie, trwanie i wzrost cywilizacji umożliwić, trzeba wytworzyć klasę, która umie pracować umysłowo, i do tej pracy przywyka od dzieciństwa, a dzieciom może dać dobre wychowanie, szersze poglądy i znowu chęć do pracy. Tem jest owa inteligencja dyplomowana, którą wychowują uniwersytety. Większa część członków tej inteligencji nie wyrasta ponad zwyczajny poziom ludzki, ale z niej wyrastają wyjątki, które rodzajowi ludzkiemu przewodzą umysłowo i które ludzkość doprowadziły do cywilizacji. Aby jednak praca umysłowa była możliwą, potrzeba pewnego dostatku; tego dostatku nie nabyliby nigdy prawnicy i lekarze, z których matecznika wyrastają potrzebne rodzajowi ludzkiemu talenta, gdyby nie było ludzi bogatych, mogących dać sute honorarya. Dyplomowani skazani na to, aby żyć z ubogiego ludu, ślęczeliby w nędzy ubezwładniającej umysłowo; od tej nędzy uwalnia ich, choćby

bezmyślność, choćby samolubstwo bogatych, którzy tym sposobem, chcąc nie chcąc, nie wiedząc o tem co robią, stają się mimowolnymi mecenasami, umożliwiającymi rozkwit sztuk, nauk i literatury.

Żeński słyszał to co mówiłem, jak mnie się samemu zdawało tak nadzwyczaj rozsądnie, nie wywierało to jednak na nim żadnego wrażenia; dostrzegł Borskiego i patrzył na niego wzrokiem, jakiego w pierw nie widziałem u człowieka, a widywałem tylko u kota, kiedy psu chce skoczyć w oczy. Jakieś obłoczki czarne przechodziły po przed źrenice, a ogień w oku przygaszał chwilami, nadając mu wyraz lunatyka. Mimo to odpowiedział na moje wywody, nie panując jednak już wcale nad swoim głosem i przechodząc wreszcie do krzyku:

— Śliczna to cywilizacya, śliczny to ład społeczny, którego celem i końcem jest zgniecenie wszelkiej potężniejszej, szlachetniejszej indywidualności, rozdeptanie samodzielnej iskry duchowej, skoro tylko zatlęje! Przecież jam tyle wart co inni, mam takie same prawo żyć, jak każdy duch nieśmiertelny, mam prawo się rozwijać w nieskończoność, wszechświat ogarnąć. Czemu ten wszechświat w porównaniu zemną? Nie wiem, czem on jest, a wiem, że ja wiem. Powiadam, że ja jestem słońce, które jaśniejącemi promieniami myśli, wszechświat z mroków nicestwa wyrwa. Wiem, że istnieję i że wszechświat i ludzie wszyscy istnieją, dlatego jedynie, ponieważ wiem o nich. Ja to je poznaję, one są rzeczą moją, stworzeniem mojem, narzędziem mojem, którego chcę użyć do swojej rozkoszy. Rozkoszą moją chwala, rozkoszą moją to, aby całe to stworzenie przez myśl moją z nicestwa wyrwane myślało tak jak ja chcę, czuło tak jak ja chcę, uznało we mnie Boga swego, źródło natchnień nieśmiertelnych, które sprawiają, że nie tylko żyje, ale także myśli. To stworzenie moje jest marne i powszednie i wzlatywać nie umie tak jak ja myślą wzlatuję, na to żeby mnie uczciło jako wieszczka, i padło przedemną na kolana, wiedząc że głos mój natchniony, to głos Boga. A jakimże prawem sprzeciwia się to robactwo mojej woli? Nie domagam się ani panowania, ani berła, ani zwycięstw orężnych, ani bogactwa, ani rozkoszy cielesnych; domagam się tylko uznania dla myśli swojej, dla światła, które ze słów moich tryska. Wszystkie wygody i błyskotki darowuję tym, którym brak lotów natchnienia, ale jakimże prawem buntują się przeciw myśli mojej? jakimże prawem chcą się równać ze mną? Otoczyli mnie parkanem ciał bezdusznych i ducha chcą zamknąć, jakby w klatce. Uczeń chcą, abym myśl przekroił według ich modły, a każdą swo-

bodę nazywają nieuctwem; bogaci chcą abym ciało wystroił i wygiął według ich mody, a każdą swobodę nazywają nieokrzesaniem: jedni i drudzy chcą ze mnie mieć sługę, ponieważ nie posiadam bogactw, liczmanów złotych i papierowych, które świat ceni wyżej od mego ducha nieśmiertelnego i twórczego! Gdy na młodych zawołałem, aby mnie słuchali, aby mnie przyklasnęli, odpowiedzieli: posłuchamy, przyklaśniemy, wraz z tobą urągać będziemy ze zgorszenia starców, ale śpiewać masz na naszą modłę, którąśmy symbolizmem i dekadentyzmem przezwali. Śpiewam na ich modłę, kalecząc myśl swoją i ugiąłem kark, bo bez pochwały żyć nie mogę, skorom świat, na wzór wszystkich Bogów, stworzył dla chwały swojej jedynie. Ale kark mnie boli, i znieść jarzma dłużej nie mogę. Więc zamiast chwały zapragnąłem miłości, i rzekłem: niewiasta jest na to, aby kochała, a ja ją pieśnią zniewolę, aby mnie ukochała. — Nie jedna mówiła tylko że mnie kocha; ale dostrzegłem że kocha siebie tylko, i stroi się miłością poety, tak jak swój kapelusz stroi sztucznymi kwiatami, umarłemi od chwili powstania swojego; a dostrzegłem, że druga nie mnie kocha, tylko grzech, który popełnia, gdy dla mnie męża swojego zdradza. — Więc zbrzydziłem sobie taką miłość, a zapragnąłem czystej, jak ta, o której księżyc marzy, a dawni śpiewali poeci. A oto pokazało się, że ład społeczny na tę miłość nie pozwoli, bo jam ubogi a ona majątna. Cóż wart poeta, który światy tworzy i w niewecz obraca, w porównaniu z bezmyślną a majątną lalką?! Na Eoliona nie spojrzą nawet, a taki głupiec, takie zero, taki nadęty pyszałek, jak Borski...

Zeński krzyczał na cały głos, kiedy ostatnie słowa wymawiał, a wyglądał już jak człowiek, który zupełnie odszedł od przytomności. Oczy wszystkich w kawiarni były zwrócone na nasz stolik, a Korczak chwycił nieszczęśliwego młodzieńca za rękę i zawołał: — Bój się pan Boga! Borski pana słyszy!

Na to zerwał się Eolion na równe nogi, krzyząc: Niech słyszy! Właśnie chcą, aby słyszał. Są prawa honoru, które zmuszą Borskiego, aby mnie uważał za równego, a są zdarzenia, które zmuszą pannę Zakliczankę, aby pamiętała o tem, że ja także żyję na świecie.

Wymówiwszy te słowa podążył poeta wprost ku stolikowi, przy którym Borski siedział niewzruszony. Poszliśmy obaj za Zeńskim, bojąc się, aby nie rozpoczął bójki, bo jak rzekłem już, odszedł był zupełnie od przytomności. Ale i tu skończyło się znowu na słowach, które jednak były czynem.

Eolion stanawszy, przed nieruchomym wciąż Borskim, powiedział mu bardzo głośno i wyraźnie: Tylko dlatego nie powiem panu, za co pana mam, ponieważ nie chcę obrazić ludzi porządných, którzy tu dokoła siedzą.

Po tych słowach wyszedł Zeński szybkim krokiem z kawiarni i znikł gdzieś na ulicy, a pan Szczęsny Borski wypił swoją herbatę spokojnie do końca, zapłacił rachunek, wziął laskę i poszedł powoli na aleę Chałubińskiego, gdzie jeszcze przed obiadem odbył przechadzkę.

Dopiero wieczorem poprosił pan Borski nas obu, Korczaka i mnie, na poufną pogadankę do swojego pokoju, i oświadczył, że składa na nasze ręce sprawę, której byliśmy świadkami, a pytał się nas o radę, jak sobie ma postąpić, w obec belgi jakiej doznał. Odpowiedzieliśmy mu obaj jednomyślnie, że nie innego nie pozostaje do roboty, jak żądać od Zeńskiego publicznych przeprosin, skoro obelga była publiczną. Nie wierzyliśmy w to, aby Zeński chciał przeproszać; wyrządził obelgę rozmyślnie, i to na to, aby za pomocą pojedynku z tak poważną osobistością, jak Borski, zwrócić na siebie uwagę powszechną.

— A zatem—zawyrokował pan Szczęsny—moralność publiczna domaga się dosadnego ukarania tego zarozumialca.

Korczak rzekł: — Będziecie się musieli panowie pojedynkować, i to, jak widzę, na pistolety, bo Zeński niezawodnie najostrzejszą broń wybierze.

— To niepodobna — zawołał Borski—abym się miał pojedynkować z taką obskurną figurą, z jakimś niedowarżonym literatem. Nie wiem nawet, czy ten Zeński, czy jak się tam nazywa, jest szlachcicem.

Korczak odpowiedział: — Dzisiaj każdy człowiek wykształcony ma prawo do satysfakcyi honorowej. Zeńskiemu jej odmawiać nie wolno; a skoro pana publicznie obraził, nie możesz pan tej sprawy inaczej, jak w sposób honorowy zakończyć. Kiedyś pan nas wezwał do siebie byliśmy przekonani, że pan nas wzywasz na sekundantów.

Borski obtarł czoło chustką, a po chwili rzekł: — Ja jestem katolik i jako taki potępiam pojedynki. Kościół pod klątwą pojedynki zakazał. Pojedynkować się nie myślę.

Wobec tego oświadczenia milczeliśmy obaj, czas jakiś, zakłopotani. Po chwili podjąłem. — Szanujemy pańskie zasady, ale w takim razie nie wiemy, na co się panu przydać możemy?

— Jakto?—zawołał Borski z oburzeniem;—w społeczeństwie porządnem, potępienie powszechne za popełnioną obelgę powinno

raz na zawsze barbarzyńskie zastąpić pojedynki. Spodziewałem się po panach, że opowiecie wszystkim, jak mnie ten zarozumialec napadł na gładkiej drodze i jak mnie w oczy powiedział impertynencyę, choć najmniejszego powodu do tego nie dałem, i że panowie zażądacie od wszystkich pożąanych ludzi, aby obcowania towarzyskiego z Żeńskim zaniechali. Powinien być odtąd wygnany z dobrego towarzystwa. Niech sobie przebywa z szubrawcami takimi, jakich wart.

Odpowiedziałem:—Ani sposób zaprzeczyć temu, że pojedynek jest barbarzyństwem, i to barbarzyństwem dogorywającym, skoro go potępiają i Kościół i opinia postępową, że silna organizacya opinii publicznej, wykluczająca z dobrego towarzystwa ludzi występnych, byłaby niezmiernym postępem—do którego, niestety, daleko. Ale dziś występki nierównie większe od wyrządzenia obelgi, uchodzą częstokroć bezkarnie, nikogo na banicyę towarzyską nie skazują. Byłoby okrucieństwem, a może i ciężkim grzechem, młodego człowieka wykluczać z dobrego towarzystwa, za przewinę ciężką pewnie, ale nie kalającą wreszcie czci. W dobrem towarzystwie można go jeszcze uratować; skazując go na towarzystwo szubrawców — jak pan powiadasz — skazuje się go na moralną zgubę, a zamieni się jego talent w broń zatrutą, którą wyrządzi nieopisaną szkodę. Społeczeństwo wtedy tylko zapobieże pojedynkom skutecznie, jeśli urządzi sądy honorowe, wywierając nieubłagany nacisk na każdego, aby się poddał wyrokowi sądu honorowego. Taki sąd honorowy rozkazałby niezawodnie Żeńskiemu, aby pana publicznie przeprosił, a sprawa byłaby w najodpowiedniejszy sposób załatwiona. Ale instytucyi takiej u nas nie ma, sąd honorowy, jednostronnie ustanowiony, nikogo nie obowiązuje; Żeński w tym wypadku na sąd honorowy się nie zgodzi, a wielka część opinii publicznej gotowa stanąć po jego stronie, z chwilą, w której pan oręcznej nie zażądasz satysfakcyi, słuchając przesądu niedorzecznego, ale zakorzenionego, którego dotąd ani powaga kościoła, ani powaga nauki zwalczyć nie zdołały.

Korczak dodał: Jest moim obowiązkiem przestrzedz, że się pan nawet na awersyę narazisz. Mogą niektórzy pana umikać, jako człowieka, który nie uczynił zadość przepisom honoru. Najbardziej należy się obawiać zniewag dalszych, a bardziej dotkliwych, które Żeński gotów wyrządzić; może pana głośno tchórzem przezywać; nie jest niepodobieństwem, że pana znieważy czyniennie. A stan wyobrażeń jest taki, że wielu jemu przyzna słusność, jego uzna człowiekiem honorowym, rodzajem bohatera mającego uznanie, nie tylko jako pisarz.

Borski zbladł trochę więcej, niż przed tem. Po chwili oświadczył, że miał zamiar za kilka dni wyjechać z Zakopanego, że teraz wyjazd przyspieszy i już jutro do Warszawy odjedzie.

Ja teraz zaprotestowałem, mówiąc: Spieszny odjazd odradzać muszę panu jaknajusilniej; choćby inne okoliczności pana do wyjazdu przynaglały, trzeba tu teraz koniecznie dłuższy czas pozostać. Wyjazd szybki będzie panu powszechnie poczytany za niechluby dowód lekkości. Skoro pan jesteś zasadniczym przeciwnikiem pojedynków i skoro jesteś przeto w przeciwieństwie z przeważnym dotąd przesądem, nie możesz pan poprzestać na tem, że się nie będziesz pojedykował; musisz pan zwalczać skutecznie instytucję pojedynków. Nikt opinii publicznej nie zmieni, choćby najwymowniejszemi słowami, jeśli słów nie poprze czynem, a pan zajmujesz takie stanowisko społeczne, że możesz postępowaniem swoim na opinię publiczną istotny wpływ wywrzeć. Uczony, który chce naukę posunąć albo poprawić, musi przede wszystkim zdobyć dla siebie przychyłność uczonej opinii, dowiódłszy, że wie wszystko, co jego specjalna nauka głosi, i że się zna — że tak rzekę — na współczesnych manierach naukowych. Posiadłszy takie stanowisko, stawszy się rzetelnym obywatelem Rzeczypospolitej naukowej, zdobędzie dla siebie zasługę, posunie naukę naprzód, przysłuży się ludzkości, robiąc nowe odkrycie, albo zmieniając w jakimś szczególe przyjęte teorie; przy tem nierównie większą część teoryj przyjętych uszanować musi, musi się ograniczyć do poprawki, jeśli nie chce być uznanym za fantastę, z którym nikt się nie liczy. Jeśli jednak samemi tylko słowami, samem tylko rozumowaniem zechce swoją poprawkę uzasadnić, postawi tylko hipotezę, na którą zważać nie będą. Aby na nią zwrócić uwagę, musi wskazać na fakta, domagające się tej poprawki, a dopiero czyn, eksperyment potwierdzający, albo sprawdzony domysł sprawią, że poprawka w nauce się przyjmie. A przecie nauka, to najbardziej jeszcze teoretyczne ze wszystkich zajęć ludzkich. W sztuce i literaturze teoretyczne gadanie i pisanie najwymowniejszego estetyka lub krytyka, ani na włos nie zmieni metod w jakiejś epoce praktykowanych, kierunków współcześnie ulubionych, tak samo jak dyletant albo młokos, którzy zechcą całą dotychczasową sztukę przewrócić do góry nogami, mogą wprawdzie mieć *succès de scandale*, ale z pewnością sztuki swojej niewydoskonalą. Posunie ją o krok naprzód, da ludzkości samoistne arcydzieła, tylko artysta albo literat wytworny, który opanowawszy zupełnie to, co umieją współcześni, w tem lub owem, zgodnie z prawdziwie artystycznym temperamentem, ale dziełem

dokonanem a bynajmniej nie głoszoną teorią, nowy kierunek sztuce albo literaturze nada. Gdy chodzi o praktyczne życie społeczeństwa, najmniej znaczą słowa. Słowami nikt opinii publicznej nie zmieni, starych przesądów nie zwalczy; na nic się nawet pisane nie zdadzą ustawy, póki czyny im nie nadadzą powagi, a ustawa istotny wpływ na społeczeństwo wywiera dopiero wtedy, gdy dobrowolne niektórych posłuszeństwo przykładem swoim wpoi treść ustawy w sumienie ogółu, przerobi narodową świadomość prawa o tyle, że się stanie zgodną z wolą ustawodawcy. Oświecanie i prostowanie opinii publicznej jest główną sprężyną wszelkiego postępu, bo nawet odkrycia naukowe i wynalazki techniczne bywają możliwe tam tylko, gdzie nauka cieszy się powszechnem poważaniem, a wiedza, że mądrość, przekazana przez przodków, nie jest jeszcze doskonałą, poprawie uledez może i powinna, byleby się do tej poprawy brano na podstawie sumiennych badań naukowych. Opinię zmienić można przykładem, a przykład bywa skutecznym, kiedy człowiek poważany, w społeczeństwie znaczny, żyjący zresztą w sposób zgodny z tem, czego się opinia publiczna od zacnego człowieka domaga, postępuje w jednej rzeczy wbrew powszechnemu a szkodliwemu przesądowi. Od razu przesądu nie złamie, ale moc przesądu osłabi i pociągnie coraz liczniejszych naśladowców. Pan jesteś właśnie takim człowiekiem, jakiego potrzeba, aby przesąd domagający się barbarzyńskich pojedynków zwalczać przykładem. Możesz pan osiąść wielką zasługę, ale trzeba abyś unikał nawet pozoru, że się czegoś wstydzisz, albo lękaasz. Proszę tedy tu dłuższy jeszcze czas zabawić, i mówić wszystkim, jakie są pańskie przekonania w sprawie obelg i pojedynków. Naszym obowiązkiem będzie pana poprzeć i baczyć, aby nie przyszło do większego zgorzenia. Bardzo wątpię, żeby nam się udało skłonić Zeńskiego do tego, by się poddał wyrokowi sądu honorowego, bo naciskiem powszechnym opinii nie będziemy mogli tego poprzeć żądania; nie wiem, czy go skłonimy do przeprosin, ale z pewnością wstrzymamy go od dalszych niedorzeczności. Tylko, że tego nie dokażemy, jeśli go będziemy unikać, i owszem, musimy z nim po przyjacielsku obcować.

Moje argumenta pochlebily Borskiemu; przyrzekł tedy, że się do naszych rad zastosuje.

Kiedyśmy wyszli z pokoju, Korczak odezwał się na kurytarzu drewnianym, nie bielonym, oświetlonym przez lampę umieszczoną w framudze. Rzekł: — Na to, aby przeprowadzić reformy w społecznym obyczaju, należy zapewne najpierw żyć się

zupełnie ze społeczeństwem potrzebującym naprawy, należy to społeczeństwo rozumieć do gruntu, a trzeba właściwie, aby reformator wyrósł ze społeczeństwa, tak jak gałąź z pnia wyrasta. Ale reformatorem nie bywa pierwszy lepszy, tylko ktoś, kto własną indywidualność silnie wyrobił; reformatorem bywa tylko charakter. — A czy ty sądzisz, że Szczęsny Borski, to charakter?

Odpowiedzi wprost na pytanie to nie dałem. Odrzekłem tylko: — Są reformy trudne; jeśli trzeba dać przykład wyrzeczenia się i poświęceń, aby je przeprowadzić, bywają reformatorami tylko ludzie, o których się mówi, że są wielkimi charakterami. Torować przykładem drogę do reform, uwalniających od przykrości, od długich postów i nużących obrzędów, od osobistych poświęceń, albo od narażania się na niebezpieczeństwo, potrafi lada kto, skoro tylko znajdzie poparcie poręczające, że za swoją herezyę nie pójdzie ani na stos, ani pod pręgierz.

W. DZIEDUSZYCKI.

Dwaj nuncjusze w Warszawie

za Stanisława Augusta

Garampi i Archetti (1772 — 1784).

Polska literatura historyczna kościelno-polityczna w zakresie epoki nowożytnej, przedstawia luki nader poważne. Dają się one odczuwać szczególnie dotkliwie w obrębie drugiej połowy XVIII i XIX wieku, t. j. w okresie upadku Rzpltej i doby porozbiorowej, kiedy właśnie dzieje kościoła polskiego, tego pierwszorzędnego czynnika bytu narodowego, nabierają szczególniejszego znaczenia i ulegają w rozlicznym względzie wybitnemu oddziaływaniu powszechnych losów krajowych. Owóż za cały ten tak ważny okres brak dostatecznych podstaw źródłowych historycznego badania. Źródła z tej dziedziny wydano do tej chwili tylko w drobnych ułamkach. Tom IV publikacji Augustyna Theinera: „*Vetera Monumenta Poloniae et Lithuaniae*,” w drugiej swej części, — oto dla XVIII wieku niemal wyłączny w tym względzie dorobek źródłowo-archiwalny. Zasłużony ten badacz niemiecki rozwinął, jak wiadomo, na stanowisku prefekta archiwum watykańskiego w szóstym dziesięcioleciu z. w. wszechstronną, nieco przecież gorączkową wydawniczą działalność, której owocem był szereg doniosłych publikacji źródeł dziejowych kościelnych. Epoce, o której mowa, w wydawnictwie tem zbyt mało przypadło miejsca. Wiek XVIII dziejów kościoła polskiego traktowany tu został dorywczo, eklektycznie, doprowadzony zaledwie do r. 1775, więc nie doprowadzony nawet do końca istnienia Rzpltej, a nawet w tym niekompletnym zakresie opracowany bardzo ułamkowo, z mnóstwem ważnych przeoczeń i braków. W archiwum wa-

tykańskiem pozostał nietknięty ogromny materiał najpierwszej wagi, dotyczący bezpośrednio dziejów kościelnych polskich w dobie upadku i rozbiorowej, jakoteż porozbiorowej, rzucający pełne światło we wszystkich kierunkach na pierwszorzędne zagadnienia tych dziejów, tak mało dotychczas naukowo opracowanych, a nawet, możnaby powiedzieć, tak mało w istocie znanych. Pośród niezmiernej obfitości odnoszących się tutaj dokumentów watykańskich, naczelne miejsce zajmuje oczywiście długa serya źródeł, zawierających właściwe odbicie stosunków Stolicy Apostolskiej z rządem i kościołem polskim, t. j. korespondencya nuncyuszów apostolskich w Warszawie w ciągu XVIII wieku. Jest to korespondencya kolejna z kuryą rzymską nuncyuszów Piazzzy, Spinoli, Odescalchiego, Grimaldiego, Paulucciego, Serbelloniego, Archinty, Serry, Viscontiego, Duriniego, Garampiego, Archettiego, Saluzzy, wreszcie Litty. Niezwykłe znaczenie tej korespondencyi nie uszło zresztą baczniejszemu badaniu nauki, a nawet rządów zagranicznych: z jednej strony zajmują się nią obecnie badacze niemieccy, z drugiej zaś strony np. korespondencya nuncyusza Litty, późniejszego przedstawiciela Stolicy Apostolskiej w Petersburgu, została odpisana przez b. agenta rządu rosyjskiego przy kuryi, p. Izwolskiego, dla użytku petersburskiego Towarzystwa Historycznego. Na tę okoliczność, oraz na tem większą nagłość zajęcia się na własną rękę przez naukę historyczną polską tym tak żywotnym dla niej przedmiotem, jak dzieje kościoła polskiego w XVIII i XIX wieku, oraz wyzyskaniem przez nią odpowiednich nieoszacowanych materiałów watykańskich, — zwróconą została uwaga przez prof. Szymona Askenazego na ostatnim zjeździe historyków polskich w Krakowie ¹⁾. Zająwszy się obecnie w skromnym, ściśle monograficznym zakresie, próbą opracowania jednego z wielu przedmiotów badania, następujących się w tej dziedzinie, i wzięwszy za punkt wyjścia poszukiwań naszych w archiwum watykańskiem epokę pierwszego rozbioru Rzpltej, pragnęlibyśmy narazie chociażby tylko służyć wskazówką informacyjną o rodzaju i treści odpowiednich materiałów archiwalnych rzymskich. W tym celu kładziemy poniżej niektóre urywkowe dane, dotyczące działalności kuryi w sprawach polskich między 1772 a 1784 r., wyjęte z papierów odpowiednich dwóch nuncyuszów apostolskich w Warszawie: Józefa Garampiego i Jana Andrzeja Archettiego. Daty powyższe nie są wzięte dowolnie: zamykają one w sobie z jednej strony

¹⁾ „Referaty“ i „Rozprawy“ II Zjazdu hist. pol. w Krak. (1900).

pierwszy podział Polski, chwilę więc, w której Rosya po raz pierwszy zajęła pod swe panowanie kraje o ludności przeważnie katolickiej, — z drugiej zaś wypadek wielkiej doniosłości w rozwoju kościoła katolickiego w Rosyi — utworzenie i organizację arcybiskupstwa mohylewskiego, nowej, olbrzymich rozmiarów archidiecezyi łacińskiej, sięgającej od morza Bałtyckiego i Czarnego po Ocean Spokojny. Był to pierwszy krok, zarazem pierwszy widomy, organizatorski czyn Katarzyny II, w polityce kościelnej cesarzowej wobec katolicyzmu na ziemiach polskich.

Ani jeden z nuncyuszów Stolicy Apostolskiej w XVIII w. w Polsce nie doczekał się u nas, nie powiemy już wyczerpującej biografii, ale nawet obszerniejszego zarysu swej dyplomatycznej działalności. Nazwiska niektórych pomija całkiem historyografia polska milczeniem, co więcej nie ma nawet częstokroć dla nich miejsca w encyklopedyach kościelnych. Jeśli zaś istnieją jakiegokolwiek dane, odnoszące się czy to do ich biografii, co ostatecznie podrzędniejszego może być znaczenia, czy to do ich stanowiska i politycznej misji w Polsce, — są one prawie zawsze mylne, dowolne, powiedzmy, wzięte niejako z powietrza.

Garampi zwrócił na siebie w ostatnich czasach uwagę nie tylko, jako mąż stanu i dyplomata Kuryi, ale także dla swej głębokiej wiedzy i niepospolitych zasług na polu bibliografii archiwalnej. Przełomowego wprost znaczenia dla Archiwum Watykańskiego są lata jego tamże prefektury. Stanowisko to zdobył sobie głęboką, wszechstronną erudycją, którą wkrótce okazał, jako talent literacki, historyczny i filozoficzny. Studya jego archiwalne, pomnikowej pracowitości indeksy i katalogi watykańskie, one same wystarczyłyby dla upamiętnienia jego nazwiska. Niestety, znana i ceniona jest ta praca jedynie przez tych, którzy będąc na miejscu w Rzymie, mieli sposobność jej się przypatrzeć oraz z niej w swych własnych badaniach korzystać. Szczególne zobowiązania wdzięczności mieć powinna dla niego nauka polska za świetną bibliografię druków i rękopisów polskich. Jego „*Index rerum praecipue ecclesiasticarum regni Poloniae et M. Ducatus Lithuaniae*,” wydany po śmierci nuncjusza w Rzymie w r. 1796, jest niepospolitem źródłem do badań kościelnych i ogólnie polskich. Pierwszorzędne znaczenie, jako informator dla prac w Archiwum Watykańskim o nuncyaturze Garampiego i jego poprzedników, ma katalog przezeń ułożony, znany pod nazwą „*Fondo Garampi*.” Katalog ten jest znakomitym, nieocenionym wprost przewodnikiem w olbrzymiej spuściznie rękopiśmiennej Garampiego, który więk-

z prefektami poszczególnych kongregacyj własnoręcznie uskuteczniał tak, że każdego w podziw wzbudzą równoległe prace bibliograficzne i literackie nuncjusza, umiejącego znaleźć czas i chęć na te benedyktyńskie trudy pośród uciążliwych zajęć urzędowych. Nie tu miejsce na wyliczanie tych prac, a tem mniej ich omówienie. Dzieła Garampiego znane były dobrze współczesnemu światu uczonemu, z którym on zawsze w żywym pozostawał zetknięciu, utrzymując osobiste stosunki i wymieniając korespondencye z uczonymi tej miary co Muratori i Lami.

Garampi reprezentował Stolicę Apostolską w Warszawie od sierpnia 1772 do maja 1776 r. Wydawać sąd o jego działalności dyplomatycznej i politycznej w Warszawie, byłoby dzisiaj co najmniej przedwczesnem. Zbyt obszernym jest materiał *in crudo*. Jedynie korespondencya nuncjusza z sekretaryatem stanu, na którego czele stał podówczas kardynał Pallavicini, obejmuje kilkanaście tomów listów i depez. Dopiero po ujawnieniu tej korespondencyi dyplomatycznej, urzędowej i prywatnej, ukaże się nam zarys akcyi Garampiego na trudnym i wyjątkowo podówczas drażliwym posterunku warszawskim. Poprzedzała nuncjusza przed objęciem tej misyi, sława jego obszernej erudycyi, znajomości świata i ludzi, którą nabył w swych kilkakrotnych po Europie podróżach. Odbywał je zawsze z ołówkiem i notatnikiem w rękę. Z drobnych szczegółów, uwag i cyfr powstawały po każdej z nich dyaryusze i pamiętniki. Wiele z nich w rękopisie Garampi pozostawił¹⁾. Najwybitniejsze znaczenie posiada obszerny dyaryusz p. t. „Diario di Monsignor Garampi Nunzio di Polonia“ (Fondo Garampi, № 69 — 73). Pamiętnik ten, zasługujący na wydanie w całości, posiada pierwszorzędną wartość dla poznania nie tylko spraw kościelnych polskich z tego czasu, informuje bowiem dokładnie o zapatrywaniach i zdaniu nuncjusza, o duchowieństwie tak świeckiem jak klasztorzem, episkopacie, jego wpływie, roli politycznej i kościelnej w Polsce — dostarcza jednakże ponad to

¹⁾ Niektóre z dyaryuszów Garampiego zostały już ogłoszone: tak np. Palmieri opublikował dziennik z podróży Garampiego po Niemczech, Szwajcaryi, Holandyi i Francyi p. t. „Viaggio in Germania, Baviera, Svizzera, Olanda e Francia“; dr. Dengel zaś z podróży przez Śląsk i Saksonię wydał: „Nuntius Joseph Garampi in preussisch Schlesien und in Sachsen, Bericht über seine Reise v. Warschau,“ ostatni autor drukuje również obecnie pracę p. t.: „Garampis politische und kirchliche Thätigkeit in Deutschland 1761—1763, ein Beitrag zu seiner Biographie und zur Geschichte der Beziehungen zwischen Rom und Deutschland.“

obfitych wskazówek o zakulisowym przebiegu polityki wewnętrznej Rzpltej, knowaniach, intrygach ministrów i magnateryi oraz pełnomocników trzech mocarstw rozbiorowych, Stackelberga, Rewitzkiego i Benoita. Na marginesie pamiętnika swej własnej misyi wytrawny dyplomata papieski notuje skrzętnie wszelkie wieści i głosy, które go zewsząd dochodziły, od rządu, biskupów, nareszcie zaufanych pośredników, np. ks. Ghigiottiego, kanonika warmijskiego, tajnego doradcy króla w rzeczach kościelnych i t. p. Wypadki polityczne warszawskie i w nowo zabranych prowincjach, zwłaszcza na Litwie i Białej Rusi, zachowanie się szlachty bezpośrednio po zaborze kraju, pierwsze występy rządu rosyjskiego na Litwie, losy konfederatów barskich, plany odmiany rządu Rzpltej, osobistości, w których ręku był ster i zamęt spraw publicznych, a z którymi, jako nuncyusz, w codziennych prawie pozostawał relacjach, obserwuje Garampi bystro, podgląda, komentuje, ocenia i waży. Dzień po dniu prawie spisuje w kilku zdaniach lub też pokrótce zaznacza w punktacyach to, co słyszał i widział. Najciekawsze są dla nas rozmowy nuncyusza z królem, wywiady z posłami trzech mocarstw w Warszawie oraz z ministrami Rzpltej. Całość składa się z pięciu tomów rękopisu wielkiej ósemki, każdy przeciętnie o 600 str. Pisany przeważnie po włosku, zawiera tylko niektóre ustępy francuskie, cytaty słów interlokutorów nuncyusza.

Dyaryusz zaczyna się z dniem przyjazdu Garampiego do Wiednia 3-go czerwca 1772, kończy się zaś 31-go grudnia 1774 r.

Pierwszy ciekawy moment przedstawia pobyt nuncyusza w Wiedniu, po drodze z Rzymu na miejsce przeznaczenia do Warszawy. Garampi zmuszony był zatrzymać się w Wiedniu przeszło dwa miesiące ¹⁾. Był na audyencji u cesarzowej Maryi-Teresy, cesarza Józefa, po kilkakroć mówił z kanclerzem Kaunitzem. Zjawił się w Wiedniu w chwili najgorętszej dyplomatycznej akcji w sprawie podziałowej polskiej. Niedawno właśnie dwór wiedeński akcesem z 19 lutego 1772 r. przyłączył się do konwencji podziałowej, zawartej między Prusami a Rosją. W Petersburgu toczyły się w tej chwili układy, których rezultatem miały być ostateczne traktaty podziałowe z sierpnia 1772 r. Garampi miał sobie zlecone przez Kuryę przemawiać w Wiedniu, jedynym katolickim z trzech rozbiorowych aliantów, w pierwszej linii za za-

¹⁾ Od 3 czerwca do 10 sierpnia — oczekiwał w Wiedniu przyjazdu Duriniego, po którym obejmował nuncyaturę warszawską.

bezpieczeniem stanowiska panującej religii katolickiej w Polsce, które na sejmie 1767 r. doznało uszczerbku na rzecz dyssydentów, a zarazem wysondować dla własnej orientacyi opinię dworu wiedeńskiego w toczących się właśnie układach pierwszego rozbioru. Zaraz przy pierwszym spotkaniu z kanclerzem Kaunitzem poruszył Garampi kwestyę polityki trzech mocarstw wobec Rzpltej i wezwał Austryę nietylko do opuszczenia spółki podziałowej, lecz wprost do współdziałania z Kuryą, celem przeciwdziałania rozbiorowi. Kanclerz austriacki czułą wyraził podziękę za zaufanie, jakim papież w tej drażliwej sprawie darzył dwór wiedeński, oddał hołd wysokim pobudkom moralno-politycznym Kuryi rzymskiej w tem jej spółczującym wystąpieniu na korzyść Rzpltej z inicjatywą, jak wyrażał się, „tak zbawienną“ (*si salutare oggetto*), — jednym słowem nie szczędził dyplomatycznych komplementów pod adresem nuncjusza. Jednakowoż, co do rzeczy samej, oświadczył Kaunitz, że sprawa podziału tak dalece już posuniętą została, iż obecnie sytuacja nie da się już naprawić. Aliści, dodawał z naciskiem, stało się to nie z winy Wiednia. Teraz nie jest już w mocy naszej, przekładał kanclerz, nadać sprawom, dotyczącym Polski, lepszego kierunku. Zrobiło się w tym kierunku więcej, niż nuncyusz może sobie wyobrazić—żadna jednak z potęg europejskich nietylko nie chciała pomódz, ale nawet ani jednego wyrzec słowa. Dwory europejskie, niebaczne na smutne konsekwencye gwałtownych postępów Rosyi w Polsce, pozostały głuche na słuszne przedstawienia Wiednia: a przecież ich wystąpienie, a zwłaszcza interwencya ze strony Anglii, byłaby wystarczyła do zmodyfikowania zamiarów Rosyi, zmuszonej liczyć się z poparciem dyplomatycznym i finansowem W. Brytanii. Sami zaś Polacy, którzy nie zapobiegli w porę nieładowi, nie widząc go, albo też dla prywatnych własnych celów dając mu się rozwielić, dziś zapóźno już wzięliby się do reform. We wszystkich tych wywodach Kaunitza, skierowanych do Garampiego, było niezawodnie, jakieś źdźbło prawdy, lecz oczywiście były one dalekie od wyrażenia istotnego przebiegu negocyacji przedpodziałowej i miały głównie na widoku przesłonić ciężką w tej sprawie odpowiedzialność dworu wiedeńskiego. W następnej rozmowie Kaunitz ponowił zapewnienia o rzekomo najlepszych chęciach swego dworu wobec Polski, zwłaszcza w rzeczach religii, ale zaznaczył na jak wielkie trudności wystawioną byłaby jakakolwiek interwencya ratunkowa, czyli, innemi słowy, umywając ręce od wszelkiej tego rodzaju akcyi, grzecznie się wymówił.

W kilka dni później miał Garampi półtóra-godzinną specjalną audyencyę w rzeczach polskich u cesarza Józefa II. Cesarz poruszył w szczególności sprawy religijne w Polsce. Według niego przypuszczenie dyssydentów do prawodawstwa, wolność wyznania, trybunał mieszany w sprawach wyznaniowych i t. d. — wszystko to jest słuszną i konieczną konsekwencyą ustalenia pokoju religijnego. Obecnie, kiedy Prusy i Rosya co do warunków pacyfikacyjnych się porozumiały, ta ostatnia zdaniem cesarza z trudnością odstąpiłaby od swych dawnych politycznych zamiarów, ściśle związanych z ostatecznym celem zachowania na zawsze w swych rękach Polski. Co do dyssydentów — tym należy się równouprawnienie. Bo jakąż szkoda wyniknie stąd dla religii katolickiej, jeżeli oni swobodnie odbywać będą swe praktyki, piastować urzędy, jeśli procesy rozstrzygać się będzie przed trybunałem mieszanym. Przecież i w Niemczech to samo się praktykuje. Dyssydenci więc, jako część społeczeństwa w Polsce; zasługują na podobne względy. Jednem słowem, cesarz Józef na tej audyencyi, usuwając niejako na plan drugi palącą a drażliwą dla niego, jako spółnika, kwestyę podziałową, starał się kłaść nacisk na kwestyę humanitarno-tolerancyjną ze stanowiska monarchy „oświeconego.“ Nuncyusz w tych słowach cesarskich mógł tylko widzieć wodę na młyn pruski. Zwrócił więc uwagę cesarza na Berlin, w którego interesie przecież leżało niedopuszczenie zbyt wielu ulg dla dyssydentów polskich i utrzymaniu przez to w swoim ręku tego wzmocnionego w Rzpltej żywiołu. Ta właśnie okoliczność powinna była, zdaniem nuncyusza, być dla cesarza jedynym więcej powodem do interwencyi ratunkowej w Polsce dla dobra Rzpltej i katolicyzmu. W dalszym ciągu, kiedy dla przekonania Józefa wysunął Garampi argument niemniej dobitny z drugiej strony przyszłego kordonu podziałowego, przedstawiając niebezpieczeństwo, grożące milionowi z górą unitów, odpadnięcia do prawosławia, otrzymał w odpowiedzi od cesarza retoryczną uwagę, charakteryzującą wybornie swobodę przekonań młodego przedstawiciela „światłego absolutyzmu.“ „Jaką istotną różnicę — zapytał Józef nuncyusza — uznajecie między ludem prawosławnym a unickim? Tak kler, jak i lud jest nieświadomym i niezdolnym rozróżnić, na czem polega prawowierność.“ W odpowiedzi na to niezwykle postrzeżenie cesarskie nie omieszkął z mocą zaznaczyć zgorzchniony nuncyusz, że właśnie z tem większą przezornością należy baczyć, by nie dać unitom zapomnieć o obowiązkach wiary, zwłaszcza zaś wobec niepewności, w jakiej ten lud się znajduje i wobec idei, jaką jest przejęty, że siedzibą religii greckiej jest

Polska. Dotychczas wszyscy unicy pozostawali spokojnie w prawowierności, gdyż królowie i biskupi mogli ich strzedz przed uwiedzeniem, a teraz, gdy droga otwarta, Bóg raczy wiedzieć, ile ludu zejdzie na manowce — jeden przewrotny paroch może pociągnąć za sobą całą ciemną masę. I materyalną korzyść odnoszą Unicy, wolni od danin i kontrybucyi na rzecz Rzymu, gdy natomiast, jako prawosławni, byłiby zmuszeni posyłać wielkie sumy rok rocznie do Moskwy. Cesarz, dodał Garampi, przesadza, obwiniając kler i biskupów unickich o zupełną ignorancję. Biskupi rusińscy unicy w Polsce posiadają przeciwnie większą niż gdzieindziej kulturę teologiczną, czerpiąc bezpośrednio szacowny wpływ poważnych przedstawicieli z zakonu Bazylianów, kształconych w kolegiach w Polsce i Rzymie. Nuncyusz zakończył tę znamienne dysputę prośbą, aby Rewitzky, poseł cesarski w Warszawie, otrzymał polecenie stałego działania ręką w rękę z nuncyuszem w kwestyach religijnych przy każdej nadarzącej się sposobności. Cesarz Józef, ograniczył się do ogólnikowego zapewnienia, iż „jako katolik i obrońca kościoła“ pomocy swej nie odmawia, zastrzegając jednak wyraźnie, iż nie przesadza granic i skutków „możności“ tej pomocy i spółdziałania.

Jak wiadomo Garampi w późniejszych latach miał jeszcze sposobność pozostawać w stałej styczności z cesarzem Józefem, gdyż w r. 1776 zastąpiony został na nuncyaturze warszawskiej przez Archettiego, sam przeniesiony z polecenia Piusa VI na nuncyaturę wiedeńską. Jednak i wtedy mimo wielkiego taktu i dyplomatycznego sprytu — niczego nie będzie mógł wskórać w walce z reformatorskim rozmachem Józefa II i twardą grą kanclerza Kaunitza ¹⁾. Niniejsze pierwsze jego spotkanie się z cesarzem było niejako znamienne zapowiedzią tych niepomyślnych późniejszych negocyacyj.

Co się tyczy cesarzowej Maryi-Teresy, to z nią również kilkakrotnie wypadło konferować Garampiemu w sprawach polskich podczas niniejszego wiedeńskiego pobytu w drodze do Warszawy; i jakkolwiek te konferencye nie miały już tak naprężonego charakteru, jak bywało w rozmowie z Józefem, jednak rezultat ich pozytywny był również mało pocieszający. Cesarzowa wobec nuncyusza umywała ręce od wszelkiej odpowiedzialności za akcyę podziałową. Zostaliśmy zmuszeni — mówiła — akomodować się do

¹⁾ v. H. Schlitter: „Die Reise des Papstes Pius VI nach Wien;“ Hist. Comm. d. k. Ak. d. Wissen. in Wien II Abth., t. XLVII.

tego, co dwie inne potęgi postanowiły. Skoro król pruski wziął najżyźniejsze i najwięcej kwitnące kraje, niezmiernie zwiększając swą potęgę, gdy tak samo postąpiła Rosya — nie lepsza i nie mniej niebezpieczna od Prus — cóż tedy Austrii pozostawało uczynić? Z tkliwością wynurzyła się cesarzowa przed nuncyuszem ze swoją sympatyą dla „biednego“ Stanisława-Augusta, który — jak stwierdzała z ubolewaniem — nie zasługuje na taką odpłatę ze strony narodu, ... jakgdyby większa nieskończenie krzywda nie spotykała w tej chwili króla polskiego od mocarstw rozbiorowych. Zaprotestowała co do własnej osoby przeciw jakimkolwiek z góry powziętym zamiarom chciwości, powodującym obecnie zajęcie ziemi polskiej. Jeśli to czyni — to jedynie z musu dla zrównoważenia nabytków ościennych. Od sześciu miesięcy pracuje pilnie (*studiosamente*) nad ocaleniem Polski — lecz obecnie straciła już wszelką nadzieję. Półtora roku temu odkryła zamysły Prus i Rosyi. Myślała zrazu, że plan ten jest jedynie wymysłem króla pruskiego, że cesarzowa Katarzyna nie zastosuje się doń, chyba zmuszona koniecznością chwili. Takie postąpienie leżałoby w prawdziwym interesie Rosyi, jednakowoż Katarzyna, wbrew oczekiwaniom, poszła w kierunku odmiennym, a wedle myśli Fryderyka. W tem miejscu swoich wynurzeń Marya-Teresa z całą pasją dała wyraz swemu zadawnionemu żalowi przeciw Fryderykowi II, dawniejszemu zaborcy jej Szlązka, obecnie głównemu inspiratorowi podziałowych zaborów polskich. Dając wobec nuncyusza wyraz swemu platonicznemu spółczuciu dla Rzpltej i Stanisława-Augusta osobiście, zastrzegła stanowczo, że ze względu na stanowisko, zajęte przez Katarzynę i Fryderyka, Austriya żadnej akcji ratunkowej podejmować nie może. Zresztą deklarowała się, że nawet po dokonanym podziale z całą gotowością „wróci wszystko, co przypada na udział austriacki, byle tylko dwa inne mocarstwa rozbiorowe to samo uczyniły.“ Garampi oczywiście niewielką wyniósł pociechę z tych wynurzeń cesarzowej; ograniczył się on ze swej strony przy pożegnaniu z cesarzową, dobitnem podkreśleniem jej obowiązków specjalnych, ze stanowiska powszechnych interesów Kościoła, obowiązków monarchini katolickiej, (obcych zarówno Fryderykowi jak Katarzynie) w stosunku do krzywdzonej Rzpltej katolickiej, i przypomnieniem zasad, że „komu więcej dano, od tego więcej wymagać się będzie“ (*cui plus datum, plus requiretur ab eo*).

Z obfitej zawartości dyaryusza Garampiego z czasów pobytu jego w Warszawie, godne uwagi są jego sądy o Stanisławie-Auguście. Naogół nuncyusz wyraża się o charakterze króla z pewną

względnością, — jakkolwiek z różnych stron od wybitnych mężów polskich, a nawet osób duchownych, dochodzą go opinie o królu nader ostre. Pod tym względem ciekawą jest relacya nuncyusza o rozmowie, jaką miał 14 lutego 1773 r. z biskupem Sołtykiem, niezbyt dawno powróconym z wygnania. Sołtyk, rzecz prosta, nie żałował wyrazów potępienia dla znieprawionego Stanisława Augusta. „Monsignore — odezwał się w toku rozmowy biskup krakowski — w całym królestwie niema człowieka bardziej zepsutego, religijnie więcej skażonego, jak król. On jest jedyną i prawdziwą przyczyną wszystkich naszych klęsk politycznych i religijnych.“ Przeciwnie, zdaniem nuncyusza, król w głębi, w gruncie usposobionym jest religijnie, wymagaćby tylko można od niego większego zbudowania zewnętrznego; Garampi twierdzi, że starał się pod tym względem zbadać go uważnie i z dobrą wiarą, nie sądząc go wyłącznie z przeszłości, lecz wedle nastroju terażniejszego, „zważając na to, czem król jest obecnie i czego się po nim w przyszłości można spodziewać.“

Zaznaczmy wreszcie, że obok samego dyaryusza przechowała się interesująca korespondencya bezpośrednia Garampiego z biskupami warmijskim, obu lwowskimi, łuckim, chełmskim i t. d. zawierająca sporo interesujących ustępów ogólniejszego znaczenia.

Jan Andrzej Archetti, arcybiskup chalcedoński *in partibus*, następca Garampiego w Warszawie, pod względem zarówno wiedzy, jako też światowości, wytrawności i wprawy dyplomatycznej znacznie ustępował swemu poprzednikowi. Ambitny, próżny, gubił się często w drobnostkach i zewnętrznej pompie, w której szczególne znajdował upodobanie. Ogólne wrażenie, jakie odnieśliśmy po przestudyowaniu jego spuścizny dyplomatycznej jest raczej ujemne. Archetti obejmował po Garampi w spadku zaogniającą się z dniem każdym nader drażliwą sprawę, dotyczącą stanowiska zakonu oo. Jezuitów, po jego kasacie na ziemiach polskich.

Jak wiadomo, zakon Jezuitów po swojej kasacie w Europie zachodniej zachował się jedynie w Prusiech i Rosyi, znalazłszy tam opiekę dwóch akatolickich dworów, berlińskiego i petersburskiego. Z całą świadomością, idąc za przykładem Fryderyka II, zaopiekowała się ojcami Katarzyna II, dając im schronienie na krańcach ziem przedtem polskich, w Połocku, na Białej Rusi. Zawiesiła w całej rozciągłości moc kasacyjnego *breve* Klemensa XIV nie przyzwoliła na ogłoszenie tego *breve*, odmawiając mu swego cesarskiego *placet*. Niepodobna wchodzić tu w szczegóły tego nader skomplikowanego i drażliwego epizodu dziejów zaboru jezui-

tów w stosunku do stolicy apostolskiej wogóle, a spraw polskorosyjskich w szczególności, ani też w niniejszej notatce roztrząsając kontrowersyi istniejącej w literaturze specjalnej tego przedmiotu względem legalności lub nielegalności stanowiska i działań jezuitów w okresie kasaty na Białej Rusi. Między wywodami i wnioskami ks. Theinera z jednej, a ks. Załęskiego z drugiej strony, leży w tym względzie przepaść, przez którą narazie, nawet zwozdzony, trudno rzucić pomost¹⁾. Ścisłych, jawnych dowodów, które przemawiały za legalnością postępowania jezuitów białoruskich po ogłoszeniu kasacyjnego *breve* — niema. Dla nas jednak w danej chwili może mieć znaczenie jedynie sam fakt ich zachowania i pobytu w Połocku, bez względu na to, czy nazywa się ich wtedy Towarzystwem Jezusowem, jak sami oficjalnie w dalszym ciągu występują, czy też „*refrattarii Exgesuiti*,” jakimi stale urzędownie nuncyusz Archetti i kardynał, sekretarz stanu Pallavicini, w swej korespondencji ich zowią. Tyle wszakże zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że kurya stanowczo potępiła nadużycie władzy i zaufania ze strony Siostrzencewicza, biskupa Białej Rusi, gdy ten, na rozkaz Katarzyny II, w r. 1779 wydał reskrypt, pozwalający jezuitom na otwarcie nowicyatu w Połocku i tym sposobem uratował ich od bezpośredniego niebezpieczeństwa, grożącego zakonowi przez wymarcie. Sprawa jezuitów połockich, działalność ich na Białej Rusi oraz niewolniczo posłuszna względem Petersburga, a samowładczo niekarna wobec Rzymu gospodarka biskupa Siostrzencewicza, wypełniła Archettiemu, rzec można, całą ciężką jego nuncyaturę. W ścisłym, przyczynowym związku z temi drażliwemi kwestyami pozostaje inna sprawa, pierwszorzędnej doniosłości dla dziejów kościoła katolickiego w Rosyi, t. j. sprawa kreacyi i organizacyi nowego arcybiskupstwa łacińskiego w Mohylowie; z tą zaś ostatnią znowu, jej genezą i ostatecznem rozwiązaniem łączy się i biegnie równolegle sprawa obsadzenia opróżnionej stolicy grecko-unickiej w Połocku po Jazonie Smogorzewskim.

Odkąd arcybiskup Smogorzewski powołany został na metropolię kijowską, opróżnioną przez śmierć Leona Szeptyckiego, jedyna grecko-unicka stolica w państwie rosyjskiem pozostawała przez czas dłuższy w osieroceniu. Jej obsadzenie uczyniła Katarzyna II zawisłem od prekonizacyi na arcybiskupstwo łacińskie

¹⁾ A. Theiner, Pontificat Clemens XVI; ks. Załęski. Historia Zniesienia Jezuitów w Polsce i ich zachowanie na Białej Rusi.

mohylewskie oddawna dla najśluszniejszych powodów znienawidzonego kuryi Siostrzencewicza. Siostrzencewicz był więc tym kamieniem obrazu, o który rozbiły się kilkoletnie, przydługie, rozmyślnie dylatoryjnie przeciągane pertraktacye o utworzenie katedry arcybiskupiej w Mohylewie, prowadzone wśród najniepomysłniejszych warunków, między nuncyuszem Archettim, przy pośrednictwie Stanisława-Augusta, a baronem Stackelbergem, posłem rosyjskim w Warszawie. Katarzyna ociąganiem sprawy grecko-unickiej połockiej trzymała w szachu kuryę, domagając się wzajemian jaknajrychlejszego uznania Siostrzencewicza. Rząd rosyjski szerzył wieści i w rzeczywistości przemyślał już wówczas o wprowadzeniu poprostu na stolicę grecko-unicką biskupa prawosławnego. Była to napoły próba wywarcia presyi na Stolicę Apostolską, napoły zaś pierwsze sformułowanie wykonanego rzeczywiscie w następstwie planu. Archetti uderzył na alarm w pełnych niepokoju i trwogi o los miliona katolików depeszach do kardynała sekretarza stanu Pallaviciniego. Pierwsze konsekwencye kilkuletniego pozostawienia archidyecezyi połockiej bez pasterza już się ukazywały, dalsze, groźniejsze, zupełnego odszczerpieństwa, były do przewidzenia. Nuncyusz warszawski brał już nawet pod rozwagę, jako środek ratunkowy, ostateczną a rozpaczliwą (*estremo e disperato*) ewentualność co rychlejszej zupełnej latynizacyi arcybiskupstwa unickiego, którą, wobec przewidywanej groźby, za jedyne jeszcze wyjście, za mniejsze zło poczytywał ¹⁾. Smutną tę konieczność, niebezpieczny ten eksperyment, należało jednakowoż, zdaniem nuncjusza, trzymać w odwodzie, jako ostatnią deskę zbawienia, tymczasem zaś użyć wszystkich środków, by utrzymać w mocy artykuł V traktatu między Rzpltą a Rosyą z r. 1773, w którym katolikom obu wyznań zapewniono zupełne *status quo* i zagwarantowano w całej rozciągłości dawne wolności religijne. Jak widzimy, chwila była wielce niebezpieczna. Chodziło poprostu o kwestyę bytu lub niebytu wyznania grecko-katolickiego w dzielnicy podziałowej rosyjskiej. Archetti w osobnym memoryale, imieniem Piusa VI, przedstawił Stanisławowi-Augustowi groźny stan rzeczy i wezwał króla do współdziałania, jako zainteresowanego bezpośrednio z mocy pomienionego traktatu ²⁾.

¹⁾ Archetti do kard. sekr. st. Pallaviciniego 19 lipca 1780 r. Nunz. Pol. Russ. v. 64.

²⁾ Memoryał ten, dołączony, jako kopia, do depeszy Archettiego z 26 lipca 1780 do Pallaviciniego, Nunz. Pol. Russ. 64.

Pius VI w osobistej korespondencji zwrócił się do Katarzyny II, przekładając gwałtowną potrzebę obsadzenia stolicy unickiej połockiej, podnosząc wielkie straty moralne, na jakie narażone jest duchowieństwo, a w pierwszej linii lud cały, pozbawiony opieki arcybiskupa. W odpowiedzi otrzymał kategoryczne żądanie nominacji Sistrzenczewicza z „ponętną wzmianką,“ że, gdyby cesarzowa była uzyskała zadośćuczynienie w tej mierze swoich życzeń, natenczas „bezwątpienia z całą gotowością wzajemne obowiązki zostałyby również wypełnione.“ Po otrzymaniu tego ultimatum cesarzowej, kardynał sekretarz stanu przesłał Archettiemu szczegółową instrukcję ¹⁾, w której przepisano nuncyuszowi krok za krokiem postępowanie w toczących się układach ze Stackelbergiem. W pierwszym rzędzie miał on mimo wszelkie przeszkody ze strony posła rosyjskiego, użyć i nadal wszelkich wysiłków celem usunięcia za nawias osoby Sistrzenczewicza. „Winy tego prałata aż nadto są znane,“ pisze Pallavicini do Archettiego. Kardynał sekretarz stanu zdawał sobie dokładnie sprawę z trudności, na jakie punkt ten natrafi u dworu petersburskiego; jednakże bez względu na nie poleca nuncyuszowi zrobić wszystko, albowiem „godzi się hazardować na wszelkie sposoby w sprawie tak ważnej“ („*azzardare ogni passo in affare cosi grave*“). Kurya za wszelką cenę nie chciała dopuścić Sistrzenczewicza do objęcia tego stanowiska, tak doniosłego dla przyszłości katolicyzmu w Rosyi. I, zaiste, nie myliła się bynajmniej w tym względzie.

Pomieniona, kilkunastoarkuszowa instrukcja jest nietylko cennym źródłem, streszczającym niejako główne punkta zasadnicze rokowań kuryi z Katarzyną II, które poprzedziły utworzenie arcybiskupstwa mohylewskiego, ale zawiera nadto bardzo ciekawe rewelacye w sprawie jezuitów połockich. Wrócimy do niej na innem miejscu, w monografii o organizacyi arcybiskupstwa mohylewskiego, której poświęcony będzie jeden z następnych tomów, wydawanych przez profesora Szymona Askenazego, „Monografij w zakresie dziejów nowożytnych.“ Ostatecznym wyrazem wymienionych zabiegów dyplomatycznych była specjalna misya Archettiego do Petersburga (*Legazione di Pietroburgo* Nunz. Pol. v. 338), trwająca niespełna rok: od 4-go lipca 1783 do 13-go czerwca 1784 r., związana z ustaleniem dalszych losów, tak samej unii, jako też wogóle spraw katolicyzmu w cesarstwie rosyjskiem.

¹⁾ Pallavicini do Archettiego 19 października 1782 roku. Nunz. Pol. Russ. v. 49.

W końcu, wśród innych, incydentalnych już spraw większego znaczenia, jakie poruszyły opinię warszawską i o Rzym się obily za nuncyatury Archettiego, wymieniamy: sprawę Sołtyka, biskupa krakowskiego, oraz sprawę kodeksu Zamoyskiego na sejmie 1780 r. Tak jednej, jak i drugiej poświęca nuncyusz dość miejsca w swych relacjach do kardynała sekretarza stanu.

Sprawozdanie niniejsze pozwalamy sobie zamknąć wyrażeniem niektórych dezyderatów wydawniczych, jakie nastęrczyło nam zbadanie omawianych tu szacownych dokumentów Archiwum Watykańskiego. A mianowicie, w interesie dziejów Kościoła w Polsce, ze wszech miar zdają się dopominać ogłoszenia: korespondencya obu rzeczonych nuncyuszów, Garampiego i Archettiego, z kardynałem sekretarzem stanu Pallavicinim oraz prefektami kongregacyi *de Propaganda fide*, t. j. kardynałami Castellim i Antonellim, dyaryusz Garampiego z nuncyatury warszawskiej; korespondencya obu nuncyuszów z biskopatem polskim.

MACIEJ LORET.

WROGOWIE KOBIECY.

(Nietzsche — Przybyszewski — Strindberg — Weininger).

Ruch kobiecy, który jest jedną ze znamiennych cech naszych czasów, zasługuje na uwagę nie tylko ze względu na swe znaczenie społeczne, ale, i w wyższym stopniu nawet, ze względu na swą treść duchową. Że w dualizmie „kobieta—mężczyzna“ zawarte jest jedno z najgłębszych zagadnień bytu, o tem, zda się, zapomniano na pewien czas zupełnie, usuwając wszelkie pytania tego rodzaju na drugi plan, w dziedzinę marzeń romantycznych lub fizjologii. Posiadano dla nich, albo: uśmiech pobłażliwy politywania, jaki się ma dla objawów nieszkodliwego, ale zupełnie płonnego marzycielstwa; albo: ową suchą przedmiotowość, która rejestruje tylko rzeczy „namacalne,“ tworząc powierzchowne kombinacje, posiadające w najlepszym razie wartość katalogów. Jedną z takich prac, należących do grupy płaskich i płytkich elukubracji, na których czele stoi niezrównane w swej poziomości dzieło Lombrosa: „Geniusz i Obłąkanie,“ — jest np. znana „Fizjologia Miłości“ Mantegazzy.

Ruch kobiecy obudził cały szereg zapamiętałych walk. Robiono bolesne doświadczenia, pełne starć, szamotań się, zawodów, bezwzględnej rywalizacji i nieporozumień, zanim znów wzrok skierował się ku owym odwiecznym zagadnieniom bytu, które zawarte są w mitach o miłości i kobiecie. A przecież fantazja narodów zajmowała się już niemi w zamierzchłej przeszłości. Już przed tysiącami lat szukano tam czegoś więcej, niż chwilowego zadowolenia zmysłów, czegoś więcej, niż szalu miłosnego, czegoś trwalszego, niż ów bardziej lub mniej pożądaný łącznik, jakim jest dziecko.

Już wówczas miłość była zagadnieniem, nie epizodem.

I dziś znów, po wielu metamorfozach staje się ona tem zagadnieniem — wybitni poeci i myśliciele poświęcają jej nowe pieśni i nowe ofiary na jej ołtarzach składają.

Zajrzyjmy do księgi odwiecznych mitów.

W półmierzchu ukażą się nam postacie bogiń i demonów. Ewa, matka rodu ludzkiego, pramatka grzechu, obok niej niemiłosierna Astarte o złowrogo gorejącym wzroku, w którym palą się płomienie miłości i śmierci, — tam tysiącopierśna *Cybele*, matka i karmicielka bogów i ludzi, tu znów nieskazitelnie piękna, bezmyślna Afrodyte, Erda, bogini wszechwiedząca, na wzór owych pramatek z Fausta, Brunhilda, dziewica-prorokini, walcząca o swą niepodległość, złotowłosa Pandora, niosąca ludziom swe dary zdradliwe. — Wszystko symbole kobiecości, owej kobiecości, która wabi w gaje czarodziejskie zachwyty miłosnych, strąca w otchłanie mąk piekielnych, kojącą, miękką dłoń matki na rozpalone skronie kładzie, tysiące nowych objawień w duszy budzi i jako orędowniczka przed tronem Przedwiecznego, za nami się ujmuje.

Salome i Beatrice, Małgorzata i Kundry!

Plato w swej „Biesiadzie“ przytacza opowieść Arystofanesa o miłości i pokrewieństwie dusz od wieków przeznaczonych dla siebie, a będących częściami jednej całości — Androgyne.

Stare podania babilońskie opowiadają o świątyni Mylitty, gdzie każda kobieta musiała choć raz w życiu oddać się rozpucie. Mit o Brunhildzie ukazuje nam dziewicę-kapłankę, tracącą wraz z przepaską panięską swe siły nadprzyrodzone i zdolność czytania w tajemnicach znaków runicznych... Od wieków mgliste ręce tęsknoty starały się rozsunąć szkarłatną zasłonę, która ukrywała przed wzrokiem duszy zagadnienia miłości i kobiety.

Szczególnie sztuce, owej najdoskonalszej mowie duszy, many pod tym względem wiele do zawdzięczenia. Artyści byli prawie wszyscy bez wyjątku piewcami miłości. Jedni widzieli ją, jako apoteozę bytu i hymny dziękczynne na cześć jej śpiewali, drudzy cierpieli dla niej męczeństwa i, ginąc u stóp jej ołtarzy, zlorzeczyli lub żalili się. Ale nawet z ich przekleństw, bluźnierstw i skarg buchały płomienie wielkich uwielbień. Miłości trzeba — albo wiecznie szukać, błakając się jak żyd wieczny tułacz po świecie, z rozpaczliwą pogardą Byrona lub cynizmem Heinego na ustach, albo też, znalazłszy ją, trzeba jej składać ofiary dziękczynne, jak to Dante i Goethe czynili. Te dwa typy zasadnicze stanowią dwie główne odmiany kapłanów miłości na ziemi. Jedni są pełni wiary bez względu na pokusy dnia, zawody i bóle, któ-

remi gęsto usiana jest droga żywota. Takimi wierzącymi byli: Dante, Goethe, Ryszard Wagner, Plato, Beethoven. — Czy i dla nich życie twarde nie skąpiło zawodów, czy i oni nie wyciągają napróżno ramion tęsknych ku błękitom miłości, która marzeń ich urzeczywistnić nie chciała? Czy objawiająca się w snach wiecznych Venus Urania rzeczywiście stąpiła ku nim na ziemię?... Bądź co bądź nie przestali wierzyć w jej istnienie. Goethe w ostatnich latach długiego żywota, po różnorodnych przygodach swej burzliwej młodości, po nieszczęśliwym rozerwaniu stosunku do Szarlotty von Stein, który trwał przeszło 10 lat, po 20-to let-niem pożyciu małżeńskim z Krystyną Vulpius, ową głupiutką robotnicą fabryki kwiatów Bertuch'a, która nie miała najmniejszego zrozumienia dla jego orlich wzlotów, kończy dzieło swego życia, „Fausta,“ znanym dwuwierszem:

Das Ewig-Weibliche
Zieht uns hinan.

Dante na wygnaniu, w ciężkich bardzo warunkach życia, pisze swą „Komedję.“ Kto był ową Beatrice? — Z pewnością nie żona jego, ani Beatrice Postinari, na co zresztą krytyka posiada niezbite dowody. Beatrice „Komedji Boskiej“ nie istniała nigdy na ziemi. — W duszy Danta był jej był absolutną realnością.

A czyż można znaleźć w muzyce tkliwszy, czystszy i świętszy wyraz miłości, niż w „*adagio*“ IX symfonii Beethovena? Tego Beethovena, który w samotności skromnej izdebki pędził ponure dni swego wielkiego, bolesnego żywota? Napróżno będziemy szukali, interpretowali i odgadywali, czy bohaterki poezji Wagnerowskiej, Brunhilda, Elżbieta, Senta, Izolda są wcieleniami rzeczywistości!...

Miłość jest chimera, fatamorgana zdradliwą, męką, przekleństwem wiecznem, a kobieta — demonem, zmiją, potworem, wampirzem, nicością! — Tak wołają ci, którym miłość wielka, niespożyta nigdy się nie objawiła. I dla tego właśnie, że się im ta miłość nigdy nie objawiła, zaprzeczają jej istnienia. Brak im wiary, a jednak nie przestają jej szukać. W tem leży tragedia ich bytu, to czyni nam ich sympatycznymi, wbrew ich negacyom i bliźnierstwom, w tem szukaniu bez końca leży źdźbło prawdziwej wiary,—tak małeńkie, że sami sobie z niego sprawy zdać nie potrafią, tak zatracone, jak ziarko w stercie słomy. A jednak ster-ta zgnije, przepadnie, a ziarko plon wydać może.

Od poglądu na miłość zależy sąd o kobiecie.

Jedni szukają promieni słonecznych, tęczowych barw z zaświatów, ażeby obraz jej otoczyć aureolą, ubierają ją w kwiaty swych tęsknot, czynią z niej orędowniczkę, pocieszycielkę, — królową. Oczywiście są to idealisci. Obraz ich jest „ideał platoniczną,“ gwiazdą Betleemską, która stoi ponad życiem i drogę wskazuje. Drudzy starają się ten „puch marny,“ tę „wietrzną istotę“ porwać ku niebiosom swych zachwyty, zbawić, ocalić od pozimości życia, jak Parsival Wagnera, jedno z najpiękniejszych wcieleń wielkiej, czystej miłości... Inni jeszcze patrzą w życie z pogardą lub rozpaczą na ową Ewę-Salome złocistowłosą pramatkę grzechu, która

„Wyprężwszy swe rozpustne ciało,
Nieugaszonem oddycha pragnieniem.
Na łonie jej spoczęła czarna, lśniąca broda
Rozpalonego szatana,
Co świat umierający okrył swoim cieniem;
A ona,
W zbrodniczych pieszczot rozdawaniu szczodra,
Zamknęła w drżące go biodra,
W nabiegłe żądzą ramiona.“

(Jan Kasprzewicz).

Ona przeklęta, „wieczyście żarta płomienistą żądzą winy i grzechu!“

Ci ostatni jedynie mogą, jako, że się tak wyrażę, wrogowie rodu kobiecego, zasługiwać na uwzględnienie, gdyż argumenty ich nie są pozbawione pewnej słuszności. Pominąć muszę naturalnie wszystkich tych przeciętnych oskarżycieli, którzy na podstawie biologii lub statystyki, owej najślabszej i najzdradliwszej ze wszystkich służebnic rozumu, starają się sformułować akt oskarżenia. Tacy nie wychodzą zazwyczaj po za granice higieny, normalności... no i banalnej przeciętności, jak to klasyczny ich reprezentant lipski, profesor Juliusz Moebius, swą sławetną broszurą „Vom physiologischen Schwachsinn des Weibes“ aż nadto dobitnie zadokumentował. Tam, gdzie chodzi o pytania zasadnicze, można tylko i należy słuchać głosu duszy; ale dla tych panów „dusza“ nie istnieje; skądżeżby w zagadnieniach duchowych mieli być kompetentni? Pozostawmy ich konsekwencyom własnych ich teoryj.

Przy wyborze materiału chodziło mi wyłącznie o takie typowe objawy antyfeminizmu, które sięgają głębiej i, jako takie, posiadają znaczenie nietylko chwilowe. W licznym zastępie pisarzy nowoczesnych, którzy kwestyę tę poruszają, zasługują z tego

punktu widzenia na specjalną uwagę cztery niezwykle charakterystyczne i odrębne jednostki: Nietzsche, Przybyszewski, Strindberg i Weininger. W ich pismach, sędzę, zawarte są wszystkie odcienie antyfeminizmu w najgłębszym tego słowa znaczeniu, dlatego też są one w stanie dać nietylko bardzo dokładny obraz obecnego status quo, ale, i to jest rzeczą daleko ważniejszą, ułatwić zrozumienie owych uczuć męskich, które zwykliśmy uważać za objawy wrogiędość względem rodu kobiecego usposobienia.

*

*

*

Powszechnie znane są słowa Zarathustry: „Du gehst zu Frauen? Vergiss die Peitsche nicht!“ Błędem byłoby jednakże z tego zdania, bądź co bądź niezwykle charakterystycznego, wyciągać rozstrzygające wnioski, co do stanowiska Nietzschego względem kobiety. Może żaden z filozofów nie przeobrażał się tylekroć, jak Nietzsche. Sam wspominając żartobliwie o tej właściwości swego charakteru, porównywał się z wężem, który co kilka lat skórę zmieniać musi. W szalonym tempie jego ciągłych przeobrażeń duchowych, w kalejdoskopie jego nieustannie ścigających się objawień i coraz to nowych przeczuć, trudno jest w samej rzeczy znaleźć stały punkt oparcia. Spotykamy się często z wprost sprzecznymi aforyzmami, które się wzajemnie łączą. Najłatwiej będzie dwuznaczności te usunąć, jeżeli podzielimy twórczość jego na trzy okresy. W pierwszym, który przypada na czas niepodzielnego wpływu Wagnera i Schopenhauera, widzimy jeszcze Nietzschego, jako szczerę wielbiciela rodu kobiecego. Pisząc o Wagnerze (Wagner in Beyreuth) wspomina z uznaniem o rolach, jakie tenże przeznaczył w swych utworach Sencie, Elżbiecie i Brunhildzie. Kobieta-wybawicielka, po Getowsku pojęta, zdaje się być mu normą. O tem świadczy zresztą również aforyzm 377 z 2-go tomu, już do innego okresu należącego dzieła: „Ludzkie, nazbyt ludzkie“ (Menschliches, Allzumenschliches), gdzie pod tytułem „doskonała kobieta“ pisze następujące słowa: „Doskonała kobieta jest wyższym typem, niż doskonały mężczyzna, pozatem też o wiele rzadszym.“

W innym znów aforyzmie, zatytułowanym „przyjaźń i małżeństwo,“ utrzymuje, że człowiek, zdolny do przyjaźni, posiada

najlepsze szanse otrzymania dobrej żony, „ponieważ szczęśliwe małżeństwo polega na talencie do przyjaźni.“ Toż samo wysokie mniemanie Nietzschego o kobiecie i wzajemnym stosunku obojga płci, ilustrują następujące dwa aforyzmy. (№ 384, Ludzkie, nazbyt ludzkie). „Najskuteczniejszym lekarstwem przeciwko chorobie mężczyzny pogardzie względem samego siebie, jest — być kochanym przez rozumną kobietę.“ Tutaj czuć, oczywiście, osobiste życzenia i nadzieje autora. W aforyzmie № 390 pisze Nietzsche: „Kobieta jest w stanie zawrzeć przyjaźń z mężczyzną. Dla zachowania tej przyjaźni konieczna jest jednakże niewielka doza antypatii fizycznej.“ Równocześnie w liście do przyjaciółki swej, pani Luizy O. w Paryżu, z którą zapoznał się i zaprzyjaźnił podczas pierwszego wystawienia Niebelungów w Beyreucie w r. 1876, pisze następujące znamienne słowa, przypominające tęsknem swem brzmieniem wierzenia platońskie: „Przed kilkoma dniami ujrzałem naraz w ciemności oczy Pani. Dlaczego nikt nie patrzy na mnie takimi oczyma! wykrzyknętem z goryczą. Oh, to straszne! Czy Pani wie, że dotychczas żaden głos kobiecy nie wywarł na mnie wrażenia, pomimo, że już słyszałem tyle znakomitości różnego rodzaju. Wierzę jednak, że głos taki istnieje dla mnie gdzieś na świecie. Szukam go. Gdzie go znaleźć?“

Do tego okresu należą też jego zażyłe stosunki z kilkoma utalentowanymi kobietami, jak z Malwidą von Meysenburg, panią Baumgarten (która później tłómaczyła dzieła jego na język francuski), i z panną Lou Andréas-Salome, jedyną jego uczennicą.

Zagłębianie się w studia nauk przyrodzonych, wywołało przewrót w świecie duchowym Nietzschego. Stał się pozytywistą. Okres ten, który trwał 10 lat prawie, odznacza się na początku pewną jałowością, czego dowodem jest np. dzieło jego „Ludzkie, nazbyt ludzkie.“ W dziele tem poświęca Nietzsche cały rozdział kobiecie i dziecku. Odrazu można zauważyć, że stanowisko jego względem kobiety się zmieniło, jest w niem jednakże jeszcze wiele niezdecydowanego. Jedno uderza: — Nietzsche rozpatruje teraz wszystko, a więc i kobietę, i miłość z punktu widzenia przyrodnika-ewolucjonisty.

W aforyzmie № 415 (Ludzkie, nazbyt ludzkie) w podobny sposób wyraża się o miłości. „Bałwochwalstwo kobiet względem miłości było początkowo wynalazkiem mądrości kobiecej, głównie dlatego, że wszelkie idealizacye miłości powiększają potęgę kobiety, czynią ją coraz bardziej godną pożądania w oczach mężczyzny. Stało się jednak, że w ciągu wiekowego nawyknięcia do przesady oceny miłości, kobiety złapały się we własną sieć i zapomniały

o owym początku. Dziś, bardziej nawet niż mężczyźni, cierpią one z powodu tego złudzenia i zawód czeka każdą, która posiada dość żywej wyobraźni i rozumu, ażeby się łudzić i zostać zawiedziona.“ Emancypacja kobiet przedstawia mu się teraz z innego punktu widzenia: „W ciągu kilku stuleci, pisze (Ludzkie, nazbyt ludzkie, Af. 425, „Sturm Drangperiode der Frauen“), można przez wychowanie uczynić z kobiet w naszych kilku ucywilizowanych krajach Europy wszystko, co się zechce — nawet mężczyzn, naturalnie nie pod względem płciowym, ale zato pod wszystkimi innymi względami. W takim razie przyswoją one sobie wszystkie cnoty i zalety męskie, nie wyłączając naturalnie wad i występków męskich. Tyle można będzie zawsze osiągnąć. Ale jak zdołamy wytrzymać ten stan przejściowy, który może trwać kilka wieków, w ciągu których nierozsądek i niesprawiedliwości kobiece, ich odwieczna spuścizna, posiadać będą przewagę nad wszystkim nowo zdobytym i przyuczonem? Będzie to czas, w którym gniew stanie się rzeczywiście męskim afektem. Gniew na to, że wszystkie sztuki piękne i nauki zostały zalane i zamulone przez niesłychany dyletantyzm, że filozofię zakrzyczano na śmierć odurzającą paplaniną, że polityka stała się partyjną i fantastyczną, jak nigdy dotychczas, że społeczeństwo ogarnął rozstrój, ponieważ zachowawczy nie starych obyczajów ośmieszyły się we własnych oczach i szukają pod każdym względem stanowiska poza obyczajnością. Jeżeli bowiem w obyczajach leżała największa potęga kobiety, to po co, pytam, wyciągną kobiety ręce, ażeby zyskać ekwiwalent tej potęgi, jeżeli porzucą obyczaje?“

Podobne niejasne obawy, które nie wychodzą poza granice przypuszczeń, trapią Nietzschego ze względu na przyszłość małżeństwa. „Szlachetne wolnomyślnie kobiety, pisze (Af. 424), które postawiły sobie za zadanie wychowanie i wyzwolenie rodu żeńskiego, nie powinny zapomnieć o jednej rzeczy: małżeństwo w owym wyższym pojęciu, jako przyjaźń duchowa dwojga ludzi różnych płci — t. j. takie małżeństwo, jakiego od przyszłości oczekujemy, którego celem jest powołanie do życia i wychowanie nowych generacji, małżeństwo, dla którego myśły są tylko rzadkim, przypadkowym środkiem do osiągnięcia wyższego celu, potrzebuje prawdopodobnie, ażeby mózdz egzystować, naturalnej pomocy konkubinatu... Kto wie, może przyszłość dostarczy nam tego absolutnego kontrastu czasów Periklesowych...“ Wszystkie te wywody odznaczają się wielką niepewnością. „Nichts ist wahr, alles ist erlaubt,“ owa późniejsza dewiza Zarathustry, nieśmiało zda się, wychyla łeb Gorgony z pomiędzy linii pism pozytywisty.

Pismom tym destrukcyjnym brak wiary, brak kręgosłupa, dlatego wszystkie kontrasty ich są jeszcze niejasne, zatarte.

Ale już w „Zorzy porannej“ (Morgenröte) widzimy zwiastunów nowego dnia. Nietzsche stał się na zasadzie swych badań zapalonym ewolucjonistą. Prawo silniejszego jest dlań naczelnym postulatem życia, pożądanie władzy (Wille zur Macht) główną pobudką ludzkich czynów, a doskonalenie się rasy — jedynym ideałem. Widzimy naraz owe przesadne uwielbienie dla wyidealizowanych olbrzymów renesansu, owe bicie czołem przed wszelką bezwzględnością rudowłosej bestyi, co zadziwia i uderza w tak szlachetnym i niezmiernie subtelnym człowieku, nad czem sam zresztą Nietzsche najbardziej cierpiał. Stanowisko jego względem kobiety musiało się stosownie do tych nowych wierzeń zmienić. Patrząc na życie okiem przyrodnika-hodowcy, w którym już grają pierwsze blaski ekstazy i uwielbienia dla „nadczołowieka,“ musiał kobiecie wyznaczyć skromne miejsce „matki,“ której jedynym zadaniem i celem ma być wydawanie na świat nowych, „ulepszonych“ pokoleń. Wszystko, co mogłoby zadaniu temu kobiety stanąć na przeszkodzie, uważa za niebezpieczeństwo, za zwyrodnienie, dla którego posiada jedynie słowa najwyższej pogardy. O małżeństwie w owym wyższym pojęciu, jako przyjaźni dusz dwojga ludzi różnych płci, o czem pisał poprzednio w Aforyzmie 424 (Ludzkie, nazbyt ludzkie)—mowy teraz być nie może.

„Mamy naturalnie, pisze w „Poza obrębem dobrego i złego“ (Af. 239), dość jeszcze owych przyjaciół niewiast i zagubców niewiast pomiędzy uczonymi osłami rodzaju męskiego, którzy doradzają kobiecie, ażeby wyzbyła się swej kobiecości i naśladowała wszystkie głupstwa mężczyzny w Europie, które są oznakami europejskiej degeneracyi „męskości...“ rozstrajając jej nerwy najbardziej chorobliwą i niebezpieczną muzyką (najnowszą muzyką niemiecką), robiąc ją z dnia na dzień coraz bardziej historyczną i coraz mniej zdolną do swego najpierwszego i ostatniego zadania—wydawania na świat zdrowego potomstwa...“

Temu przeciwstawia Nietzsche mądrość wschodu: „Każdy mężczyzna, posiadający w swym umyśle i w swych żądzeniach głębie, nie pomijając nawet tej głębi życzliwości, która zdobyć się potrafi na surowość i twardość i dlatego łatwo za takowe brana bywa, może mieć jedynie wschodnie pojęcia co do kobiety, t. j. musi pojmować kobietę, jako swe mienie, własność, którą się trzyma pod kluczem, jako coś przeznaczonego do służebnictwa i w zależności tylko doskonalącego się... Pod tym względem należy stać

na stanowisku olbrzymiej mądrości azyatyckiej i jej wyższości instynktów...“ (Poza obrębem dobrego i złego. Af. 238).

Co za olbrzymia zmiana! Jaka moc spowodowała tak wielki przewrót?

Widzieliśmy Nietzschgo w okresie pozytywizmu, jak nieubłagane wylewa trawiące kwasy analizy chemicznej na barwne obrazy życia. Niewiele ostało się w końcu. Runęły gmachy etyki, piękna i prawdy. Nichts ist wahr, alles ist erlaubt!

A jednak... „kategorischer Imperativ...“

Kant miał rację po wiek wieków!

Rozwalaj, człowiecze, i niszczyj, wal taranem o twardej mur konieczności, równaj z ziemią pałace wyniosłe i niebotyczne kościoły, odzieraj z piękności ogrody kwitnące, pal święte gaje i złote niwy spopielaaj — a budować jednakże musisz! Bo żyć, to znaczy tworzyć, nadawać nowej świadomości nowe kształty, nowe piękności wytwarzać — bo żyć... znaczy potwierdzać byt!

I Nietzsche zaczął budować. Stał się prorokiem jedynej wiary, jaka jeszcze była dla niego możliwa, wiary w „nadczołowieka.“ Zaratustra zaintonował swe hymny na przełęczach gór.

„Człowiek jest czemś, co musi być przewyciężone!“ a więc nietylko ty, córko złotowłosa, ale i twój brat i pan...

Na to, ażeby nadczołowiek mógł żyć!

Z tego punktu widzenia, z tych szczytów nowego zakonu okrucieństwo Nietzschego ma dla nas coś wzruszającego. Och, ileż jest w niem podobieństwa do owych nabożeństw biczowników, którzy ku chwale Bożej własne ciało rwą na strzępy! Bo i on serce swe na strzępy darł, ku chwale swej tęsknoty, ów samotny prorok z Sils Maria, który ochrzcił się smutnem mianem „der sich auf ewig Abhandengekommene“ (ten, który na wieki utracił siebie).

Słowa Zaratustry nie posiadają już tej goryczy i pogardy względem kobiety, jaką czuć było w poprzednich pismach Nietzschego. Co prawda, mówi on o kobiecie, jako o „igraszce“ mężczyzny, ale ma to być igraszka na wzór drogocennego kamienia, który mieni się blaskiem nowych światów. A miłość, miłość mężczyzny dla kobiety i kobiety dla mężczyzny ma być współczuciem dla cierpiących, ukrytych bogów... pochodnią, która ma drogę ku wyższym istotom wskazywać!“ Z krwawej pożogi nowego dnia wyłania się obraz „matki,“ rodzicielki nadczołowieka. Tej kobiecie Nietzsche oddaje pokłon, ponieważ... człowiek jest czemś, co

musi być przezwyjęzione. Cóż dziwnego, że najnowsze orędowniczki ruchu kobiecego, które marzą o „stuleciu dziecka,“ powołują się na wzór Ellen Key, na słowa Zaratustry?

*

*

*

Piękny musi być widok rodziny, gdy ojciec, po trudach dnia zasiadłszy do wieczerzy, spogląda z dumą na swą kochaną gromadkę, czytając w błyszczących oczach swoich chłopaków zapowiedź przyszłych czynów, lubując się pięknym widokiem świeżych twarzątek swych dziewcząt, — gdy matka z owym wzruszającym wyrazem twarzy, który jest obrazem bezmiernego oddania się, nieustannej pieczołowitości, krząta się pamiętając o usposobieniach i odrębności każdego. Pragnęłoby się otoczyć te głowy i główki aureolą promieni słonecznych i słyszeć w ich rozmowach symfonię szczęścia człowieczego. Ale rzeczywistość nie odpowiada zazwyczaj tym marzeniom. Rzeczywistość jest ponura i bolesna.

Niegdyś... niegdyś było może inaczej. Ha, cóż robić!... Życie... rzeczywistość.... dzieci.... obowiązki.... rezygnacya!... Pozostały tylko dysonanse, których krótki szal ślepej miłości zatrzeć nie potrafił. Dysonanse, które burzą i fermentują krew potomstwa, smutna spuścizna, która jad w żyły sączy i wolę rozstrzępia.

A wszakżeż jest napisane: „gdybyś cały świat zdobył, a duszę zatracił...“

Dusza! — O duszy zapomniano.

Ani śmiałe marzenia ewolucjonistów, ani chętliwie obietnice pozytywizmu nie były w stanie zadowolnić tęsknoty duszy ludzkiej. Bo i czemuż były wszystkie zapowiedzi o przyjsciu nadczłowieka, jeżeli w piersi ludzkiej wyły orkany niezaspokojonej tęsknoty i huczały bunty nieużytych sił, o których istnieniu na próżno starano się zapomnieć.

I przyszedł czas wielkich rozczarowań i wielkiego smutku.

Nowy mężczyzna, który z manowców i wąwozów zaślepienia przedarł się na drogi duszy, zaczął szukać jej objawień. Powstała niezem nie dająca się stłumić tęsknota za duszą kobiety, poczęła się wielka, bolesna wędrówka na Kalwaryę serc. Z chwilą, gdy zaczęto sobie uświadamiać przyczyny nowoczesnych rozdzwięków, odkryto zagadnienia, których rozwiązanie jest głównem

zadaniem dnia dzisiejszego. Pomijając wszystko, co nie odnosi się wprost do celu niniejszego rozbioru, zwracam się znów do zagadnienia miłości. W księdze zagadnień ducha, problemat miłości odgrywa, jak to już widzieliśmy, rolę pierwszorzędną. Rolę tę wyznaczają mu znów nowocześni poeci i myśliciele, przynajmniej najwybitniejsi z nich: Ibsen, Wagner, Weininger. Kwestya kobieca w tem nowem oświeceniu, nowe przybiera kształty.

Do umysłó w tych nowoczesnych, które, odrzuciwszy na bok wszelkie utylitarne, praktyczne, higieniczne i t. p. powierzchowne względy, zwracają się do zasadniczych zagadnień duchowych—należy Stanisław Przybyszewski. Nikt może w całej Europie nowoczesnej nie znalazł równie płomiennego wyrazu tęsknoty miłosnej. Pod tym względem zajmuje Przybyszewski miejsce, które dotychczas nie zostało jeszcze należycie ocenione przez krytykę europejską. Nikt też może poza Weiningerem nie rzuca kobiecie z taką mocą i z taką boleścią tak ciężkich oskarżeń. Jego zbyt subiektywnie skonstruowane, niezawsze trafne poglądy filozoficzne, odgrywają wobec tego znamienitego stanowiska poety, rolę drugorzędną i mogą bez uszczerbku dla naszych badań pozostać na drugim planie.

Pełne sił są Przybyszewskiego litanie tęsknoty miłosnej:

„Zaczem cię ujrzałem, już byłaś we mnie. Zaczem cię do serca tuliłem, drżałaś w mych piersiach, płonąłaś w blaskach mych barw, a jak zorza wieczorna łagodziłaś kojąc smutek mej duszy, koiłaś i wświecałaś we mnie twe źrenice, a z życia mego splatałaś jaśniejącymi rękami szerokie dumy mych pól rodzinnych.“

Ten obraz kochanki odwiecznej, która „z czarnych mgławic jego początku wyrosła w chmurne nieb stropy i w słabej muszli perłowej jego bytu płynie w głuche bezkresy,“ tej kochanki, o której było napisane: „oddasz się w moc moją, dasz się ująć ślubną obręczą mego słowa, rozświetlisz mi dźwięki, co z pod mych rąk wypłyną, rozświetnisz barwy moje tą siłą i życiem, jakim drga wiosna w wiecznych porodach,“ tej kochanki, „która wzejść miała krwawem słońcem i nigdy już nie zapadać,“ obraz ten kreśli Przybyszewski z nieporównanem mistrzostwem.

Miłość jego jest potęgą kosmiczną. Wszystkie zagadnienia bytu w niej mają swój początek.

„Dotrzeć do ostatnich celów sztuki, rozwiązać ostatnie zagadki bytu przez stopienie dwóch istot w jedno kosmiczne: „Ja Ty,“ Androgyne, owa wola do syntezy bytu, do zlania się płci w prajedność—wszystko odwieczne tęsknoty duszy męskiej, które tutaj znów tak wymowny wyraz znalazły! Tęsknota owa prze go

naprzód, ku „godzinie cudu,“ w której ma się spełnić „wola wielkiego bóstwa,“ ma być dopełniony „zakon, który nas stworzył.“

Dla tych wielkich misteryj bytu posiada Przybyszewski słowa największej tklivości i najczystsze nabożeństwa, jak kapłan, który najwyższemu Bóstwu ofiary składa.

„Przyjdź, jasna, przyjdź, połóż twe białe miękkie ręce na mem sercu! Patrz, jestem chory i samotny, potrzebuję ciepła i miłości, przyjdź, jasna, weź w twe dobre ciche dłonie me serce. A otóż jestem w kościele.

Tantum ergo Sacramentum!“

Ale to wszystko sen tylko. Niedoścignionym snem były „jasne noce“ marzeń, złudzeniem płomienne przecucia duszy, manidłem tęczowe obrazy tęsknoty. „Syn słońca“ napróżno starał się pograć w świat zmierzchów swej białej niewolnicy.

A całe to szczęście miłości... to szczęście robaków, które słońce na śmieciach wyległo! I otóż ze wszystkich tych wizyj wyłoniła się „samica, wola wszechświata, pra-łono — pani, Mylitta, nierządnica babilońska, która nigdy pragnień nie gasiła, a ulubieńców swych w ogień piekła rzucała.“

Kobieta jest dla Przybyszewskiego narzędziem jakichś nieubłaganych, strasznych potęg, które wbrew woli naszej ciskają nas tam, gdzie nas mieć chcą.

I nie móż nigdy zrzucić tego jarzma kobiety!?

Tutaj styka się Przybyszewski z owymi przedstawicielami pesymizmu płciowego, jak Felicien Rops, Gustaw Wiegeland, Edward Munch, którzy widzą w kobiecie straszliwą siłę, pobudzającą zmysły, co nieustannie świat w otchłań brudu i zgnilizny strąca, a w miłości — wiecznie kolący ból, niemiłosierną męczarnię bytu.

W tych potwornych oskarżeniach, jakie Przybyszewski ciska w twarz kobiecie, a wobec których wszelkie argumenty toczącej się walki przeciwko emancypacji kobiet są błahostką, czuć ogromną dozę rozpaczy. Rozpacz ta, w związku z jego beznadziejnym fatalizmem i niemożnością opanowania wampira kobiety, stanowi rysy problematyczne indywidualności Przybyszewskiego.

Do pewnego stopnia mogą mieć tutaj rację krytycy, którzy na wzór Wilhelma Feldmana, widzą w tem objawy niewolnictwa krwi, zdaje mi się jednak, że przedewszystkiem należałoby w danym razie zwrócić uwagę na te oznaki wewnętrznej dysharmonii duszy nowoczesnej, którą sam Przybyszewski odtworzył w swej „mszy żałobnej.“ Ta dusza nowoczesna wije się w strasznych konwulsyjnych zapasach ze swem dzieckiem — rozumem. Cóż

dziwnego, że wobec chwiejących się twierdz rozumu i rozpadłych w gruzy świątyn wiary, nie sposób znaleźć punktu oparcia.

To beznadziejne, chaotyczne szamotanie się, które objawia się w ten lub inny sposób we wszystkich prawie znamienych umysłach współczesnych, przybierając częstokroć kształty spotęgowanej zmysłowości (zmysłowość ich jest środkiem ochronnym przeciwko rozpaczce), jest zresztą problematem, który postaram się bliżej określić, mówiąc o Strindbergu i Weiningerze.

Ale Przybyszewski nie poprzestaje na swem grzmiącym „j'accuse.“ Nad tym padołem płaczu, którego łzawym jest piewca, nad kobietą, która stała się jego męką, Gehenną, pochyla smutne oblicze i duma: „czemby cię odkupić można?“

Ta myśl jest przebłyskiem wielkiej miłości, jest zwiastowaniem nowej nadziei, pierwszym brzaskiem nowego dnia!

Niestety, nadaremnie! Na ten krok zbawczy Przybyszewski zdobyć się nie może. „Ten akord, to słowo, co świąty z ich torów postrąca, akord, co się jednym olbrzymiem słońcem, jedną olbrzymią pożogą słońca od jednego krańca do drugiego na niebie rozleje,“ akord ten, słowo to zamiera mu na ustach.

„Jak robak toczyłaś mój tron królewski, żali się, toczyłaś bezustannie, toczyłaś, aż chwiać się począł, zadygotała na mej głowie królewska korona, a razem z mym tronem Cezarów runęłam na ziemię: strzępy i łachmany, to moja purpura!...“

.... Powiedły róże.... w urnach ich kielichów spoczęła śmierć.

Oto epilog tych nowych walk i szamotań się serca męskiego.

Gorzej skończyły się wycieczki rozumu.

*

*

*

Nowy dyktator i pan wszechwładny, rozum, rozsiadł się na swoim tronie wiedzy, ufny w potęgę nauk ścisłych, przekonany, że wszystko da się wyjaśnić w jego laboratoryach i uniwersytetach. Dekrety jego, pisane ręką śmiałą, zakreślały granice bytu. Dokąd sięga potęga moja, co pozatem istnieje lub nie istnieje, nie mnie nie obchodzi. Co mi po waszem „skąd“ i „dokąd,“ dopóki jestem panem swego „teraz.“ „Dzisiaj“ jest moje, z prawa tego chcę korzystać. Co z przeszłości do życia powołam, to żyć będzie, co wykreślę, jako błąd i głupstwo, to zniknie.

Tak myślał rozum, a niewidzialne nici przeszłości i przyszłości snuły się wkoło jego tronu, tworząc tkaninę bytu, na której terażniejszość jego dyktatury była niczem innym, tylko małą arabeską, podporządkowującą się całości. Aż pewnego dnia rozum spostrzegł się, że nie jest wszechwładnym panem terażniejszości. Jakieś dziwne, mgliste ręce wyciągały się ku niemu, czuwały ponad jego tronem, kierowały jego piórem i tuliły się do skroni, suggestywnie różnorodnie myśląc. Rozum nie chciał najprzód wierzyć, ale ani analizy chemiczne, ani badania porównawcze na zasadzie najbardziej skomplikowanych wyciągów statystycznych, nie były w stanie rozwiązać jego podejrzeń. Przestał ufać sobie, zaczął się szpiegować, podsłuchiwać bełkotanie zmysłów i owe tajemnicze podszepty, które nazywano mową duszy. Zachwiany w najgłębszej swej wierze, stracił grunt pod nogami, stając się igraszką mamideł, zabobonów, obłądu.

Historia tych nowożytnych walk rozumu i jego przekształcań się, od bezwyznaniowego liberalizmu aż do chwiejnego dekadentyzmu—uwidacznia się w utworach Augusta Strindberga. Zobaczmy, jak w umyśle tego typowego europejczyka-mózgowca przedstawia się zagadnienie miłości.

„Byłem ślepy, pisze Strindberg w swej „Spowiedzi Głupca“¹⁾, miłość uliczna napełniała mnie wstrętem, a samotność mego poddasza nudziła.“ Bóg został zdetronizowany, natomiast zjawiała się kobieta: matka i dziewica w jednej osobie. Tę kobietę pragnie Strindberg uwielbiać, jako coś świętego, wielkiego, czystego, jako Madonnę, słońce promienne, mające zajaśnieć nad brudem i nudą jestestwa. Dlatego inspektor w „Nad morzem“ nie chce, aby narzeczona usługiwała mu, ponieważ sprawia mu to ból, widzieć ją, jako służebnicę, „ją, którą chciał wynieść wysoko ponad siebie, aby mogła ku niemu spoglądać z wdzięcznością za to, że jej taką moc nad sobą dał;“ dlatego młody uczonec zadawał się początkowo miłością platoniczną względem baronowej w „Spowiedzi głupca“ i pełen jest wdzięczności za tę czystość, którą napełnia go otaczająca ją atmosfera matki dwojga ślicznych dzieciaków, która jednakże posiada w sobie coś dziewiczego.

Ale to wszystko są marzenia dziecinne, słodka nieznanomość natury kobiecej, tego zagadnienia, które trudniej rozwiązać, niż się nie żonatemu wydawać może.“

¹⁾ Nadmienić należy, iż większa część utworów Strindberga pisana jest w formie osobistej, z utworów tych, będących jedynie dokumentem uczuć Strindberga, nie można jednakże zawsze wyciągać analogij biograficznych.

Poznając życie traci się wiarę „w owe naiwne ideały liberalizmu młodości, który stawia sobie za zadanie podnoszenie wszystkiego co upadłe, ochranianie wszystkiego co słabe, zwyrodniałe i chorobliwe.“ (Nad morzem).

Dopiero w pożyciu małżeńskim, „w tej wiecznej wojnie na śmierć i życie dwojga płci“ można się przekonać o tem, co to jest miłość. We wszystkich prawie utworach swoich przedstawia Strindberg z nieubłaganą otwartością smutne konsekwencje tej walki mężczyzny i kobiety. W „historiach małżeńskich“ zapoznaje nas w dość brutalny sposób ze swoją fizyologią miłości, która, zgodnie z wynikami nauk przyrodzonych, traktuje wyłącznie o samcu i samicy. Najbardziej jednakże lubuje się Strindberg w niemiłosierdnym nicowaniu uczuć i charakterystyce wzajemnego stosunku obojga płci w pożyciu małżeńskim. Powieści „Nad morzem,“ „Spowiedź Głupca“ dramaty „Ojciec,“ „Taniec śmierci,“ „Wierzyciel“ są różnorodnemi wariacyami tejże samej melodi: walka płci na śmierć i życie! Mężczyzna, Aria, pan, doskonalsze stworzenie, uzbrojony w silniejszy mózg, większe zdolności, wykształcenie, kulturę i rozum—winien i chce panować. Kobieta, której szuka, „powinna posiadać dość rozumu, ażeby pojąć, że należy skłonić głowę przed mężczyzną.“ Wówczas on sam wzniesie ją na piedestał, we wszystkie marzenia swe ją ustroi i modlić się do niej będzie, jak artysta do swego arcydzieła. — Ale kobiet takich nie ma. Te, które najbardziej jeszcze zbliżone są do ideału Strindberga, to kobiety-krowy, owe istoty bez żadnej inicjatywy i bez żadnego zrozumienia roli, którą Strindberg pragnie im wyznaczyć. Cóż więc pozostaje mężczyźnie?

„Ponieważ miłość z otwartemi oczami jest rzeczą niemożliwą, ponieważ zbliżenie się do kobiety z podniesioną głową i prawdą na ustach byłoby równoznaczne z odepchnięciem jej od siebie (patrz „Nad morzem“), ponieważ niepodobna z niej zrobić mężczyzny, uwolnić jej od nieposkromionych żądz, które są właściwością jej płci, ponieważ niepodobna podarować jej swoich doświadczeń, zdobyczy naukowych, na które potrzeba było długich lat,— więc trzeba się do niej zniżyć. Ale zniżenie to męczy bardziej niż najgorsze zło. Cóż gdybyśmy się sami znów cofnąć musieli? znów zacząć wszystko od początku? Nie, to jest niepodobieństwem! Dlatego nie pozostaje nic innego, tylko zdwoić się, rozszepić swoje „ja“ na dwie części, z jednej zrobić istotę, którąby kobieta była w stanie pojąć, odgrywać rolę oszukiwanego kochanka, nauczyć się podziwiać jej niższość, przyzwyczajając się do tej

roli, pozatem jednak milcząc żyć swem drugim życiem, w ukryciu, dla siebie samego, jednym okiem spać a drugim patrzeć.“

„Ponieważ miłość jest wzajemnem oszukiwaniem się, dla czegoż więc nie dać się oszukiwać? Nic za nic! A ponieważ doskonałe szczęście nie jest możliwe — dlaczego nie poprzestać na niedoskonałem?“

Na tem kłamstwie zbudowane gmachy, trwałe być nie mogą. Jest to znamienną cechą każdego bezwyznaniowca, każdego człowieka „bez dogmatu,“ że skłonny jest do liberalizmu, do wszelkiego rodzaju koncesyi, byleby egoizm jego na tem nie cierpiał. Indyferentyzm jest znamienną cechą niewiary. Robiąc jednakże ustępstwa, zamiast zwalczać, stwarza się stosunek zależności od ludzi częstokroć nawet niższych, którzy pomimo swej niższości posiadają jednak tę prawdę, że działają jednolicie. Dlatego też prawie wszyscy bohaterowie Strindberga zostają, pomimo swej wiedzy i swego rozumu na placu, jako zwyciężeni. Inspektor w powieści „Nad morzem“ staje się ofiarą Maryi i prostych rybaków małej wysepki, których byt pragnął samowolnie polepszyć (nie z miłości, ale ot tak, z liberalizmu), rotmistrz w dramacie „Ojciec“ umiera w sieciach, zastawionych mu przez żonę — Omfale, komendant w „Tańcu śmierci“ ulega podobnemu losowi, profesor w „Czandali“ ratuje się jedynie chytrą od zagłady w walce z cyganem i nierządnicą. W „Legendach,“ „Inferno“ i „Spowiedzi głupca“ — wszędzie też tame koncesyie i wszędzie też sama niudolność i bezsilność mózgowca w walce o swoje „ja.“

Ale Strindberg daleki jest od uznania tej bezsilności i całą winę spokojnie zwała na barki kobiety.

„Kobieta tryumfuje nad każdym zakochanym mężczyzną, który jest człowiekiem honoru. Ponieważ kobieta jest chytra, nie przebiera nigdy w środkach, żyje kłamstwem, podłością, w zawziętości swej jest nieubłaganą, nie posiada żadnej etyki, w głupocie swej i zarozumiałości nie jest zdolna do żadnych wewnętrznych konfliktów, do ustępstw, miłosierdzia i wspaniałości, ponieważ zawsze gotowa jest do zdrady, ponieważ jest wampirem, Omfale, Dallilą, Pandorą — istotą stworzoną na to, ażeby oszukiwać i zwodzić.

W „Legendach“ św. Jan Chryzostom, wróg kobiet, objawia się Strindbergowi i w następujący sposób opisuje kobietę:

„Czemżeż jest kobieta? Wrogiem przyjaźni, nieuniknioną karą, koniecznem złem, naturalnem pokuszeniem, utęsknionem nie-szczęściem, źródłem nigdy nie wysychających łez, złem arcydziełem stworzenia w lśniącym białym kształcie. Ponieważ już pierwsza

kobieta zawarła pakt z dyabłem, dlaczegoż córki jej nie miałyby postąpić podobnie? „Stworzona z krzywego zebra, jest w całym swym usposobieniu krzywa, kręta, skłonna ku złemu.“

Znakomicie, Złotousty! woła z zachwytem Strindberg. Strindberg jest też naturalnie wrogiem emancypacji kobiet.

Zdaniem jego emancypacja ta ma jedynie na celu „detronizację mężczyzny, rzeczywistego pana stworzenia, który stworzył dobrodziejstwa kultury, wielką myśl sztuki, rzemiosła — słowem wszystko.“ I na co? „Ażeby wywyżżyć głupie niewiasty, które nie brały nigdy udziału w pracy cywilizacyjnej, pominawszy kilka wyjątków?“

Kobieta, według niego, nie jest właściwie „drugą połową“ rodu ludzkiego; w stosunku do wartości mężczyzny można ją co najmniej nazwać zaledwie „szóstą częścią ludzkości.“ „Pozostawcie przeto pole pracy mężczyźnie, woła, (Spowiedź Głupca), dopóki ten obowiązany jest pracować na utrzymanie rodziny, i pamiętać o tem, że każda okazja zarobkowania, którą odbieracie mężczyźnie, oznacza jedną starą pannę i jedną prostytutkę więcej.“

A to co kobiety przez wyraz wolność pojmują, jest niczem innym, tylko dążeniem do przewagi despoty, który depce szczęście i honor innych (Spowiedź Głupca). — Jedyń sposob zbliżenia się do kobiety, jest na czworakach! — (Nad Morzem).

Ruch kobiecy nazywa Strindberg wielką błagą, szalem niewolniczych istot, który ogarnął wszystkie zniewieściałe umysły, a chęć zrównania płci *zbrodnią względem natury*, wstrzymaniem i cofnięciem rozwoju ludzkiego. „Kobieta bowiem jest stadium przejściowem pomiędzy dzieckiem a mężczyzną. Mózg jej o zupełnie innym mechanizmie, niż mózg mężczyzny, zupełnie inaczej funkcjonuje. Mężczyzna nie jest w stanie bez szkody dla swego życia umysłowego zastosować się choćby przejściowo do mechanizmu umysłu kobiecego, dlatego bohater ze „Spowiedzi Głupca“ i Adolf w „Dłużniku“ skarżą się na to, że kobieta im siły wysssała.

Jak wyciśniętą cytrynę rzuci ich później na ulicę, zabrawszy wszystko: życie, mózg, wyssawszy mlecz pacierzowy i krew w zamian za ich miłość (Spowiedź Głupca). Bo kobieta jest naczyniem, w które dopiero mężczyzna wartość wlewa, a z chwilą gdy przestanie naczynie to wypełniać, traci prawo do posiadania go. Inny silniejszy, świeższy, zasobniejszy w siły przyjdzie, aby mu ją wydrzeć, gdyż przeznaczeniem kobiety jest być zdobyczą zwycięzcy.

I na co to wszystko?

Na to, aby silniejszy instynkt płciowy nie znalazł przeszkód w swym chwalebny egoizmie przekazania najlepszych cząstek „swego ja“ nowym pokoleniom.“ (Nad morzem).

Więc na co te wszystkie bóle, te walki, ta straszliwa przepaść pomiędzy mężczyzną i kobietą? — Natura stworzyła tę olbrzymią nierówność płci, aby ludzkości pracy zaoszczędzić, powiada Strindberg.

Gehenna mąk, dla osiągnięcia perpetuum mobile wiecznych porodów! Gdybyż rozum przynajmniej wytłumaczył nam potrzebę ich, konieczność mąk i cel. Cóż słyszymy natomiast? Credo quia absurdum.

Razem w swym szale destrukcyjnym dosięgnął ostatecznych granic. Strindberg zwraca się ku mistycznym spekulacyom.

„Porzuciwszy w zasadzie w r. 1894 sceptycyzm, który groził mi zniszczeniem całego mego życia intelektualnego i skłaniając się ku stanowisku wierzącego, miałem objawienie nowego życia, które przedstawiłem w *Inferno* i *Legendach*. Następnie jednakże, gdy zaniechawszy wszelkiego oporu, znalazłem się pod władzą wpływów i potęg, które groziły mi zagładą, chwyciłem się wobec niebezpieczeństwa zatonięcia kilku lżejszych przedmiotów, które mnie trzymały na powierzchni, ale i one poczęły się usuwać i kwestyą czasu było tylko jeszcze, kiedy nastąpić miało ostateczne pogrążenie. W takich chwilach żdźbło słomy wydaje się przerażonemu oku drągiem i tak wymuszona wiara podnosi tonącego ponad fale i daje mu możność chodzenia po wodzie“...

Naturalnie całe to „nawrócenie“ Strindberga nosi jedynie cechy absolutnego bankructwa. Myśli i czyny młodości zostają w czambuł potępione, jak gdyby w tęsknotach młodości, która ponad poziomy wylata, nie było nic godnego pamięci.

„Wszystko, co młodzież jest w stanie wykonać, nie posiada żadnej wartości. Brak w tem wszystkim oryginalności. Jej twórczość — to myśli poprzedników, przyjęte przez młode pokolenia i kolportowane z wielkim krzykiem.“

W „*Legendach*“ jesteśmy świadkami niesmacznego widowiska rwania szat. „Starałem się wyzwolić kobiety, pisze Strindberg, z tym rezultatem, iż żony stały się prostytutkami i zwróciły się przeciwko swemu oswobodzicielowi, biczując go rozerwaniami łańcuchami; wyzwalałem nędznych i uciśnionych — społeczeństwo jęczy pod tyranią tych dorobkowiczów. Szukałem możliwości oswobodzenia młodzieży od wyrzutów sumienia i wszeteczeństwa — młodzież, pogrążona w grzechach i nałogach, obwinia mnie dziś, jako *Katylinę*. Ojcowie i matki wypisali imię me na

indeksie. A więc, winno się zaprzestać oswabadzenia innych, ponieważ życie jest domem poprawy...“

Rozum, pozbawiony podpory, czepia się każdej słomki, pogrąża się w zmierzch mistyczny wierzeń Swedenborga, w wyrafinowaniu artystycznym szuka ucieczki przed trywialnością bezdusznego dnia, pada czołem przed zamierzchłą przeszłością.

„Coś się dzieje w świecie, ludzie czekają na coś nowego. co tu i tam zaczyna przeblyskiwać. Średnie wieki, wiek wiary i religii, znów się zbliża we Francyi,“ pisze Strindberg w „Legendach.“

W końcu widzimy go u stóp ołtarzy katolicyzmu, gdzie czyni wrażenie modlącego się Franciszka Moora ze Zbójców. Nie, modlić się nie podobna! Credo quia absurdum.

*

*

*

W Lipcu 1903 r. pisał Strindberg w liście do Emila Scheringa, tłumacza dzieł swych w Berlinie następujące słowa. „D-r Otto Weininger, w Wiedniu przesłał mi dzieło swoje „Płeć i charakter“ (Geschlecht und Charakter). Straszna książka, która jednakże prawdopodobnie rozwiązała jedno z najtrudniejszych zagadnień. Ja sylabizowałem tylko, on buduje. Voilà un homme!“

D-r Otto Weininger, o którym w liście tym mowa, miał wówczas zaledwie lat 23 $\frac{1}{2}$. W kilka miesięcy później genialny ten młodzieniec—odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru.

Dzieło Weininger „Płeć i charakter,“ które jest zarazem pierwszym jego utworem ¹⁾ można śmiało nazwać najwybitniejszą pracą filozoficzną ostatnich czasów w Europie. W dziele tem systematyzuje Weininger zagadnienia płci i daje zadziwiające, nowe perspektywy i rozwiązania. „Płeć i charakter“ jest równocześnie wyrazem bardzo głębokiego światopoglądu. Zadziwiające jest niezwykłe odczytanie tego młodego filozofa, który w dziele swem jednoczy rezultaty najróżnorodniejszych badań z dziedziny filozofii, sztuki, psychologii, charakterologii, biologii i fizyologicznej psy-

¹⁾ Pozatem zostało jeszcze ogłoszone drukiem dzieło „Ueber die letzten Dinge,“ które składa się z aforyzmów i kilku znakomitych traktatów.

chologii. Są to zdobycze wielkiej doniosłości, które niewątpliwie przyczynią się do uwiecznienia imienia Weiningera w dziejach rozwoju ducha ludzkiego. Na specjalną uwagę zasługuje przede wszystkim stanowisko Weiningera w dziedzinie etyki.

Dziwny wiek niespodzianek! Po etyce pozytywistów i Nietzschego, po filozofowaniu na temat: po za obrębem dobrego i złego, po „moralności panów“ i „moralności niewolników, po usiłowaniacli wyprowadzenia zasad moralności z pierwiastków rozkoszy i wstrętu, pożytku i szkody—znajdujemy się naraz wobec absolutnej etyki, która dobro i zło uważa za dwa zasadnicze pierwiastki bytu.

Weininger jest bezpośrednim następcą i kontynuatorem etyki Kanta. Zasługą jego jest zastosowanie jej do dziedziny psychologii i charakterologii.

Filozofia Weiningera różni się zasadniczo od wszystkich spekulacyj. czysto rozumowych. swym pierwiastkiem wiary. Stosunek wiary do rozumu przedstawiony jest w znakomitym traktacie Weiningera „O wiedzy i kulturze“ (Ueber die letzten Dinge). Filozof, ów filozof, który nie tylko bada i analizuje, ale zarazem wierzy, zestawia i buduje, poznawszy, że wiara stoi ponad rozumem, ów ośnieszony filozof, którego wraz z poetą niewolnicy rozumu uważali za wcielenie zdziecinniałego mózgu, objawia się nam w całym swoim majestacie. Zrozumienie swego stosunku do wszechbytu, pojęcie granic rozumu i wsłuchiwanie się w odgłosy wieczności—to wszystko razem wzięte daje nam dopiero możność pojęcia prawdy. Dlatego mózgowiec, który wyzbył się tych własności, trzyma się zawsze tylko powierzchni, nigdy w głąb bytu nie sięga, ponieważ w nią nie wierzy. Różnicę tę możemy widzieć porównyując twórczość Strindberga i Przybyszewskiego.—Wiek XIX możnaby nazwać historią bankructwa racjonalizmu. Strindberg, jako przedstawiciel racjonalizmu, nie jest w stanie rozwiązać kwestyi kobiecej. Cała argumentacya jego ślizga się po powierzchni, zagadnienia przybierają kształty i znaczenie formulek fizyologicznych, których ostateczną treścią jest: „credo quia absurdum.“ Przybyszewski w swym pesymizmie płciowym posiada na pozór wiele podobieństwa do Strindberga, różni się jednak zasadniczo pod tym względem, że przewyciężył racjonalizm (patrz „Na drogach duszy“ i „Msza żałobna“). Dlatego Przybyszewski dociera rzeczywiście do ostatnich zagadnień bytu i porusza pytania zasadnicze. Doniosłości tego czynu nie zmniejsza okoliczność, że Przybyszewski zagadnień tych rozwiązać nie potrafił.

Dualizm: mężczyzna-kobieta, jest podstawą filozofii Weininger. Na tych dwóch odrębnościach płciowych wznosi się gmach jego dualistycznej filozofii.

Mężczyzna i Kobieta, jako dwa odrębne typy. — Ileż o tych kontrastach pisano i rozmyślano! Tak jasno, jak Weininger, nikt odrębności tych nie sformułował. Weininger konstruuje idealne typy mężczyzny i kobiety, że tak powiem, platoniczne idee mężczyzny i kobiety, M. i W. (pochodzące od Mann i Weib) i analizując charakterystyczne ich cechy, oraz wzajemny ich stosunek, określa ich stanowisko we wszechświecie. M. i W., tak jak je Weininger przedstawia, nie są naturalnie odzwierciedleniem rzeczywistych, przeciętnych mężczyzn i kobiet. Jak nie ma nigdzie w naturze absolutnie czystej wody, ziemi, powietrza, tak też nigdzie nie spotykamy pomiędzy ludźmi absolutnego M. lub W. Pomimo tego pojęcia te absolutne są nam niezbędne, dla lepszego zrozumienia odrębności zasadniczych. Czyste M. i W. nie istnieje. Każdy człowiek posiada za to w sobie pewien procent M. i pewien procent W., każdy jest do pewnego stopnia kobietą i do pewnego stopnia mężczyzną; przeważający procent M. lub W. stanowi o jego „kobiecości“ lub „mężkości.“ Na podstawie biologicznych danych wyprowadza Weininger teorię komórek męskich i komórek żeńskich: Arrhenoplasma i Thelyplasma, komórki te posiadają swe odrębności płciowe. Człowiek, którego ciało składałoby się wyłącznie z komórek męskich (Arrhenoplasma), byłby idealnym typem męskim = M., a taki, którego ciało składałoby się wyłącznie z komórek żeńskich (Thelyplasma), byłby idealnym typem kobiecym = W. ¹⁾.

Charakter płciowy każdego człowieka zależny jest od procentu W. i M., który posiada. Główne prawo doboru płciowego brzmi następująco: „do połączenia się płciowego dąży zawsze cały mężczyzna (M) i cała kobieta (W.)“ Mężczyzna więc, posiadający naprzykład $\frac{3}{4}$ M i $\frac{1}{4}$ W, będzie szukał swego płciowego uzupełnienia w kobiecie składającej się z $\frac{1}{4}$ M i $\frac{3}{4}$ W. Razem tworzyć będą całość M + W. Naturalnie schemat ten przedstawia tylko grube zarysy teorii doboru płciowego, bez uwzględnienia strony duchowej. Pomimo tego pobieżny rzut oka wystarcza,

¹⁾ Niezmiernie ciekawy jest rozdział II-gi w „Geschlecht i Charakter“ uzasadniający naukowo słuszność tego podziału na komórki męskie i żeńskie, ale ze względu na zakres mojej rozprawy, mogę tylko zwrócić nań uwagę czytelników.

ażebym zrozumieć jego doniosłość. Na dziedzinę patologii płciowej naprzykład powyższa teoria Weiningera rzuca jasne snopy światła. Predylekcyja mężczyzn o cechach kobiecych (np. Szopen i Musset) dla kobiet o cechach męskich (George Sand) i na odwrót, dzięki Weiningerowi znajduje bardzo prawdopodobne i naturalne wyjaśnienie. Taż sama potęga, która stwarza chemiczne syntezy, panuje w świecie organicznym. Myśl Goethego z „Wahlverwandschaften“ znalazła w filozofii Weiningera teoretyczne uzasadnienie.

Czemżeż jest M. i czym W.? Zagadnienie sympatyj płciowych rozwiązuje Weininger na podstawie fizjologii. Teraz zwraca się ku charakterologii. Poznanie doniosłości charakterologii dla psychologicznych badań jest zasługą Weiningera.

Badając zasadnicze różnice pomiędzy M. i W., przychodzi Weininger do przekonania, że wszystkie wybitne cechy wyższego człowieczeństwa i świadomość, pamięć, wiara w nieśmiertelność duszy, indywidualizm, geniusz — słowem wszystko, co nadaje człowiekowi wartość, wszystko co jest wyrazem pożądania wartości (Wille zum Wert)¹⁾ objawia się jedynie w M. — W. zalet tych nie posiada.

Czemżeż jest W? Jakie jedynie cechy charakterystyczne natury męskiej zasługują na uznanie? Jakie jest stanowisko kobiety we wszechświecie? W gruncie rzeczy człowiek może być jedynie, albo mężczyzną albo kobietą, powiada Weininger.

Czemżeż jest kobieta?

Weininger analizuje dwa zasadnicze typy kobiece: Typ matki i typ hetery.

Wszelkie zarzuty, jakie czyniono kobiecie, rozbijały się zazwyczaj o jedną replikę: kobieta-matka. Kobieta-matka, pisze Weininger, jest przeciwieństwem kobiety-hetery. Wszelkie odcienia kobiecości znajdują się pomiędzy temi dwoma biegunami.

Celem matki jest dziecko, celem hetery rozkosz. Dla obojga jest mężczyzna tylko środkiem do osiągnięcia danego celu. Absolutna matka nie jest wybredną co do wyboru mężczyzny, i stawszy się matką nie dba o innych mężczyzn. Absolutna hetera stara się zawsze podobać każdemu mężczyźnie, dzieci są dla niej ohydą. Pomimo tego łączy matkę i heterę jedna cecha wspólna. Ohydliwe są w swym wyborze mężczyzny nie wybredne. Matka

¹⁾ W „Wille zum Wert“ znalazł Weininger uzupełnienie teorii Nietzschego o „Wille zur Macht.“

pragnie mieć dziecko, bez względu na to, kto będzie ojcem, hetera pragnie mężczyzny bez względu na to, kim on jest.

Tenże sam stosunek objawia się w miłości macierzyńskiej. Matka kocha swe dziecko, bez względu na to, kim to dziecko jest. Miłość jej objawia się w jednakowy sposób, czy dzieckiem tem jest zbrodniarz, czy też święty. Stosunek matki do dziecka jest instynktem i niczem więcej. Jest on jedynie objawem płciowym, nie moralnym. Ci, którzy nadali miłości macierzyńskiej przydomek „święta,“ musieli to prawdopodobnie uczynić z punktu widzenia gatunku, widząc w matce na wzór Zoli „wielką ideę“ nieśmiertelności rodu ludzkiego. Macierzyństwo jest niewątpliwie przyjaznym życiu pierwiastkiem, gdy nierząd jest jego zaprzeczeniem, ale pomimo tego niepodobna nadawać macierzyństwu cech moralnych, których nie posiada. Macierzyństwo jest uczuciem nawskroś seksualnem, instynktownem, czego zresztą dowodzi analogia ze światem zwierzęcym i o czem można się przekonać z dzieł tak wybitnych uczonych, jak Bain (Emotions and Will), Horwicz (Psychologische Analysen auf physiologischer Grundlage), Espinas (Les sociétés animales), Ribot (La Psychologie des sentiments), Spencer (Principles of Psychology), Schneider (Der menschliche Wille), Höffding (Psychologie in Umrissen) i w. i.

Reasunując te pobieżne wyciągi z filozofii Weininger widzimy, że są jedynie wyliczeniem negatywnych przymiotów W. Czemżeż jest W. w ostateczności? Z samych negacyj niepodobna stworzyć pojęcia. — Jedyłą pozytywną, ogólnokobiecą cechą, pisze Weininger, jest kuplerstwo¹⁾ t. j. missya w imię uniwersalnej zmysłowości. „Jedynie ten fenomen, powiada Weininger, daje nam możliwość poznania rzeczywistej natury kobiecej.“

Przypominam tutaj, że wszystkie powyższe zarzuty odnoszą się *nie do kobiet, ale do kobiety*, do W. Każda kobieta posiada pewną cząstkę M. Weininger rozpatrując wybitne charaktery kobiece wszystkich czasów, wykazał, że każda niepospolita kobieta odznaczała się cechami męskimi. Błędem byłoby przeto przypuszczać, że Weininger jest wrogiem emancypacji kobiet.

¹⁾ Zdaje mi się że Weininger wybrał tutaj na określenie swej myśli nie zupełnie odpowiedni wyraz. Czy nie lepiej byłoby powiedzieć „swatanie.“ Co prawda słownik niemiecki nie posiada wyrazu odpowiadającego naszemu „swataniu.“ Trzeba było w takim razie odpowiednie określenie stworzyć. Słowo „kuplerstwo“ nie nadaje się dla tego, ponieważ leży w niem ocena moralna, która w stosunku do W., jako bezdusznej materji, będącej poza obrębem moralności, nie ma racji bytu.

Każda kobieta, która czuje prawdziwą potrzebę emancypacji, ma do niej zupełne prawo. Stawiać jej pod tym względem za-pory, byłoby zupełnie nieużytecznym okrucieństwem.

Na tem jednakże Weininger nie poprzestaje. Ujmując swe powyższe spostrzeżenia w system, daje im następujące zaokrąglenie metafizyczne.

Zagadnienie: Kobieta - mężczyzna nie da się rozwiązać, jeżeli będziemy rozpatrywać kobietę i mężczyznę poszczególnie. Dopiero w zrozumieniu ich wzajemnego stosunku leży rozwiązanie, klucz do ich prawdziwej natury (Wesen). W związku z nauką Platona o bycie i niebycie, z metafizyką Arystotelesa o bezczynnej, leniwej materji i czynnym kształcie, przychodzi Weininger do przekonania, że mężczyzna jest kształtem, kobieta zaś — materją. Materja chce otrzymać kształt, dlatego stara się nieustannie i pod każdym pozorem połączyć się z nim — to tłumaczy fenomen kuplerstwa. Absolutny mężczyzna (M), stworzony na podobieństwo Boskie, jest absolutnym bytem, kobieta absolutna (W), nie wyłączając kobiety w mężczyźnie, jest symbolem nicości. Zła wola mężczyzny jest przekleństwem, które ciąży na kobiecie. Mężczyzna, stając się zmysłowym, stworzył kobietę (Stworzenie Ewy z żebra Adamowego). Istnienie kobiety jest przeto niczem innym, tylko dowodem na to, że mężczyzna uznaje zmysłowość. Kobieta jest rezultatem tej aprobaty, jest wcieloną zmysłowością.

Kobieta jest winą mężczyzny. Winę tę chce mężczyzna zmyć przez miłość. To co zawinił, zmysłowość, stwarzając kobietę, stara się przebłagać w miłości. Wszystko co można zarzucić kobiecie, jest jedynie winą mężczyzny. Miłość zastania tę winę, zamiast ją przewyciężyć; miłość wynosi kobietę, zamiast ją unicestwić.

Jeżeli W jest nicością, grzechem, błędem — to musi zostać przewyciężone bez względu na to, czy kobieta się temu sprzeciwia i zamiast domagać się wolności, prosi o bicz.

Dlatego Pytagoras, Plato, Chrystianizm, Tertulian, Swift, Wagner, Ibsen — są za wyzwoleniem, zbawieniem kobiety.

Żądanie Weiningerera brzmi następująco:

„Nicht die Emanzipation des Weibes vom Manne, sondern die Emanzipation des Weibes vom Weibe!“ gdyż kobieta jest największym wrogiem emancypacji kobiecej.

Mężczyzna nie jest w stanie rozwiązać zagadnienia swego bytu jeżeli, używając kobiety za środek do zadowolenia swoich żądz, neguje w niej ideę ludzkości. Dlatego też mężczyzna nie może się wyzwolić bez kobiety.

Kobiety są ludźmi. Należy je jako ludzi traktować, nawet wtedy gdy się temu sprzeciwiają. Mężczyzna i kobieta posiadają równe prawa ludzkie!

Teoretycznie niepodobna zaprzeczyć, ażeby ta cząstka M, którą *każda kobieta* posiada, nie była w stanie rozwinąć się. Kobieta musi przestać być kobietą i musi się stać mężczyzną. Wstręt mężczyzny do kobiety o cechach męskich musi zostać przewyżczony.

W ten sposób zwraca Weininger kwestyę antyfeminizmu na zupełnie nowe tory.

Zagadnienie płci zajmowało umysły ludzkie od niepamiętnych czasów. Dotychczas starano się zawsze, szukając wyjaśnienia dla genezy grzechu, zwać ciężar to na jedną, to na drugą połowę rodu ludzkiego. Kto był winien? Czy Ewa, która idąc za głosem węża zerwała owoc zakazany, czy Adam, który dał się uwieść? — Jedni, a liczba ich przeważa niewątpliwie, miotają bezwzględne oskarżenia na kobietę. Z charakterem i różnemi odcieniami tych oskarżeń, mieliśmy sposobność zapoznać się bliżej w ciągu niniejszego rozbioru. Dopiero Weininger utożsamiając W. z materją, niebytem, nicością w swej bezwzględnej, ale słusznej krytyce tego, co nazywa absolutną kobiecością, wykazał, że absolutna kobieta (W) zgrzeszyć nie mogła, ponieważ nie posiada ani świadomości pełnej, ani pamięci, ani indywidualnej odrębności, ponieważ nie jest ani dyabłem, ani aniołem, ale czemś zupełnie bezkształtnem, amoralnem (będącym poza obrębem moralności) słowem — li tylko materją.

Kształt tylko, byt tylko mógł zgrzeszyć. Dlatego nie absolutna kobieta, ale absolutny mężczyzna (M) jest rzeczywistym winowajcą. Co jednak byt ten skłoniło do połączenia się z niebytem, co popchnęło kształt ku materji, wieczność ku czasowości, duszę ku ciału, M ku W — tego wyjaśnić niepodobna. Jest to, powiada Weininger, pra-zagadką bytu. „Człowiek nie jest w stanie pojąć tego stosunku Boga do dyabła, nie jest w stanie zrozumieć, jak z pra-czystości brud mógł powstać, jak doskonałość mogła породzić grzech.“

Znajdujemy się tutaj wobec ostatecznych konsekwencyj krańcowego dualizmu, który dla nas szczególnie zasługuje na specjalną uwagę, ponieważ w literaturze naszej doby dzisiejszej dualizm ten znalazł takich rzeczników, jak Przybyszewski, Zeromski, Kasprowicz.

„Jesteśmy niewolnikami materji, a ta bezmyślna, obojętna tratuje nasze uczucia, nasze pojęcia; potężna, tryumfalna, nieśmier-

telna, gdy duch jest mały i znikomy!“ Czyż tak mamy się bez końca zalić wraz z Żeromskim? Czy mamy wykrzyknąć za Kasprowiczem.

„Bo złe wieczne, bo złe... Bóg stworzył?“

Pytania te nie znają kompromisów, niepodobna wymknąć się z pod śpiżowej obręczy ich piekielnego uścisku. Trzeba na nie znaleźć odpowiedź, Weininger nie mógł rozwiązać tej zagadki ostatecznej i wybrał śmierć:

Ale są jeszcze inne drogi.

Masz li Ty grom
 Masz li Ty chmurę w ten południa skwar,
 aby z niej piorun padł
 i od Szatana uwolnił ten świat?
 Wal błyskawicą, wal!
 Niechaj się łamie,
 niech się rozkruszy zdrada,
 która nad życiem i nad śmiercią włada!

(Jan Kasprowicz „Święty Boże“).

Czyż nie wolno tak wołać, patrząc w oblicze Wszelchodobra? W wołaniu tem, choćby je nawet gorycz i zwątpienie podyktowały, leży pierwsza iskra tego proroczego zapалу, który wypędził Jana Chrzciciela na puszcze, kazał mu rzucać gromy przekleństw i łamać się w tęsknocie za przyjściem Zbawiciela.

Złe nie jest wieczne! — Złe może być rozkruszone, gdyż złe jest złudzeniem, fatamorganą, która przybiera wówczas tylko kształt realny, gdy w nią zaczynamy wierzyć, gdy ją ubieramy w kształt. Złe jest dyssonansem, który stanowi przejście od jednej harmonii do drugiej. Winą naszą, naszym grzechem jest, że dyssonans ten zatrzymujemy, zamiast go rozwiązać.

Dualizm dni dzisiejszych jest również stadium przejściowem. Jest on rozbudzeniem dusz do szukania tej wszechjedności bytu, tej jedynej niespożytej potęgi, jaką jest wielka, niezachwiana wiara w czystą miłość, co świat od końca do końca przenika. Dla tego dualizm ten można powitać, jako jutrzenkę nowego dnia.

Otóż dokąd nas zaprowadziło zagadnienie: kobieta-mężczyzna!

Można być przyjacielem lub wrogiem sprawy kobiet, można żądać wyzwolenia lub ujarznienia kobiety — nikt jednakże nie jest w stanie zaprzeczyć faktu, że filozofia Weininger, pomimo swej bezwzględności, a raczej dzięki swej bezwzględności dla kobiety, emancypację kobiet wprowadza na nowe, szerokie tory.

Weininger, największy *wróg kobiety*, jest rzeczywistym *przyjacielem kobiet!*

Słoneczna cisza pól.

I.

Na wzgórzu pełnem stoję
W południa złoty czas.

Podemną łany drzemia;
Na żółkłych pasach niw
Święci się praca żniw;
Sinieje w dali las.

O złote słońce moje!
O ukojona ziemi!

Łagodna, święta wieść
Na pełnym skier błękiecie
W powietrzu cicho stoi.

O złudo złud! o życie!
O miłowani moi!

Daleko tak, daleko
Pozostał wszelki ból...
Gdzie łzy, płynące rzeką?

O święta ciszo pól!

II.

To było dawno już
I dawno już przebrzmiało:
Pomruki przeszłych burz,
Co nie wybuchły w grom,
Zwalony cichy dom
Moich dziecinnych lat,
Spłoniony uśmiech zórz
I białych lilij kwiat
Świecący gwiazdą białą...
To było dawno już.

Na wzgórzu pełnem stoję
W południa złoty czas...

O miłowani moi,
Tak dzisiaj żal mi was!

Chciałabym moje słowo
Wykapać w złotem słońcu,
A potem rzucić wam,
Jak roje złotych płam!
Przez drżące liście drzew...

Chciałabym moje słowo
Wykapać w woni pola,
By wam powiało w skroń,
Jak koniczyny woń,
Jak dech kwitnących gryk...

Chciałabym moje słowo
Wykapać w czystej wodzie,
I rzucić wam jak deszcz,
Jak łez kojący chrzest
Na rozpaloną twarz...

O miłowani moi,
Tak dzisiaj żal mi was!

Ja chciałabym wam nieść
Tę dobrą świętą wieść,
Co na błękiecie stoi,
Tę wieść od słońca bram,
Chciałabym ponieść wam,
O miłowani moi!

III.

Od mrowiej nędzy miast,
Od krwawych walk bez końca,
Gdzie cię spopiela ból,

Wyrwij się, wyrwij, duszo,
Pod niebo pełne gwiazd,
Skąd srebrne blaski pruszą,
Pod złoty uśmiech słońca,
Pod wielką ciszą pól...

Niech ucho twe dosłyszcy
Cud owej świętej wieści,
Co śpiewa w polnej ciszy,
Co w słońcu gra pod niebem,
Co jest słonecznym chlebem
I kresem wszechboleści.

Niech dojrzy oko twoje
W zachodnich chmur pożodze,
Na słońcem litej drodze,
Płynącą w zórz podwoje
Charoną cichą łódź:

Z życiem się, duszo, zgódź,
Z śmiercią się, duszo, zgódź,
I w łono matki wróć!

IV.

Kochanie ci się śni,
Dziewczyno oszalała,
Którym cię ludzi świat,
A śmierć skrzydłami płoszy?

Lecz wiedz, na twojej mogile
Wśród skwaru letnich dni
Wyrośnie lilja biała —
Twojego serca kwiat.
W kielicha jego pyłe

Wykąpią się motyle
I będą mrzeć z rozkoszy...
Kochanie ci się śni?

Zawczasie schodzisz w grób,
Płomienooki bracie?
Nie wyżywiłeś rzesz
Serdecznym ducha chlebem?
Śmierć kuma woła na cię
Na pogrobowy ślub?

O bracie, ty mi wierz!
Mogła twa pod niebem
W łan złoty się rozścieli,
I będą sny twe żęli!
Twój lud, twój, bracie, lud
Zbierze twych marzeń cud,
Zakłęty w ziarno zbóż...

A wszystkie te mogiły,
Zmęczonych życiem dusz!...

Nad miętą i lawendą
Przewiewać wiatry będą
I będą grać im pieśni...
A groby będą śniły —
I każdy sen ich wskrześnie
Wietrzanym bujnym tchem,
Lub dziką ziela wonią, —
I każdy znajdzie głos.

Wieczną jest ducha praca:
Umarłe sny popłyną,
Jesienną pajęczyną
Nad ziemią się rozdzwonią,
Rozbłysną w tęczach ros,
I cichych zórz godziną
Będą żyjącym nieść
Ukojnej ciszy wieść,
Że duch pod śmierci snem
Na łono matki wraca.

BRONISŁAWA OSTROWSKA.

Miasta ogrodowe.

W życiu człowieka, fizycznym, czy duchowym, w przyrodzie czy gospodarstwie społecznym, istnieje cały szereg kwestyj, które jakkolwiek są zazwyczaj uważane za nierozwiązalne, mimo to jednak zawsze na nowo powracają, jakby jaka fala powrotna. To ustawiczne dążenie ducha ludzkiego do coraz to dalej idącego postępu, nietrudno wytłómaczyć. Energia człowieka i zdolność do działania, wielu rzeczy już dokonały, tak, że obecnie nic już niewydaje się dlań niemożliwym do osiągnięcia. A przecież społeczne zwłaszcza zagadnienia na niepokonane, zdaje się, w swem praktycznym rozwiązaniu napotykają trudności. Widać, że z ludźmi i z ludzkimi urządzeniami, ludziom walczyć najtrudniej.

Ludzkim urządzeniem bezwątpienia jest także ludzkie mieszkanie, konsekwencyą naturalną tych ludzkich urządzeń są również niewłaściwości i szkody społeczne, połączone z aglomeracją wielkich mas ludności w centrach kulturalnych i gospodarczych. A podobnie, jak wielką jest aglomeracja ludności w tych centrach, podobnie wielką jest liczba najrozmaitszych ludzkich interesów i sfer interesów, które się w takich mrowiskach ludzi ujawniają. Równie wielką jest wreszcie liczba prób, dla rozwiązania tych szkód społecznych, dla rozwiązania t. zw. kwestyi mieszkań.

Nowożytna kwestya mieszkań, w bardzo wielu ujawnia się kierunkach, ujawnia się ona przedewszystkiem w tem, że czynsze mieszkalne niestosunkowo szybko wzrastają, głównie wskutek wzrostu renty gruntowej, więc wskutek wzrostu samychże miast, a kwestya ta obejmuje i dotyczy wszystkich warstw społecznych o tyle, że czynsze mieszkalne wzrastają szybciej. Ale i w tym kierunku nie dotyka ona wszystkich warstw społecznych w równym stopniu, bo wedle prawa *Schwabe'go* czynsze, obejmują tem

większą część dochodu, im mniejszym jest ten dochód, dotyczy więc ta kwestya w stopniu znacznie wyższym, warstw niższych, niż wyższych. Ten niestosunkowo silny wzrost czynszów mieszkalnych, to ta strona kwestyi mieszkań, która się najsilniej może rzuca w oczy, która w każdym razie jest odczuwaną najpowszechniej. Mniej powszechnie, ale również bardzo dotkliwie, odczuwane są inne jeszcze szkody mieszkaniowe, zwłaszcza znów przez niższe warstwy społeczne, bo te mieszkania, za które tak drogo i coraz drożej trzeba płacić, są bardzo lichy i nieodpowiednie, nieodpowiednie nietylko ze względów estetycznych może, ale także ze względów etycznych, a nadewszystko higienicznych. Tu już nawet życie i istnienie ludzkie narażone jest na szwank i niebezpieczeństwo, pomijając okoliczność, że robotnik wogóle nader często nieznajdzie mieszkania, choć jako tako odpowiadającego jego dochodom.⁴⁾ Ale i tu nie można powiedzieć, by ten brak higieny, był jedynie, jak sądzi Fuchs, właściwy mieszkaniom uboższymi. Przeciwnie, podobnie jak w kwestyi niestosunkowo szybkiego wzrostu czynszów mieszkalnych, różnica między warstwami uboższymi, a warstwami zamożniejszymi nie jest natury zasadniczej, lecz polega raczej na stopniu i stosunku wzrostu, tak jest i tutaj. Brak światła i powietrza nie tak silnie, ale przecież choćby w pewnych, nie zbyt wielkich rozmiarach, ujawnia się i w mieszkaniach warstw zamożniejszych. Czy pałace na eleganckich bulwarach paryskich czy na wiedeńskich „ringach“ istotnie opływają w powietrze? W światło, być może, ale czysta atmosfera nie jest zależną tylko od wielkich okien, tu raczej całe środowisko, musi być odpowiednie.

Tak brak powietrza, powietrza czystego i mieszkalnego, jest też niewątpliwie w poważnej mierze przyczyną czasowej emigracyi całych miast w lecie na wieś, na „łono“ natury. Skoro trzeba dopiero wyjechać z miasta na wieś, by tam wypocząć, by uczestniczyć w cudownych darach przyrody, to widoczna, że brak jej w mieście, że natura z miasta wygnana.

A równocześnie z tendencją wiejską, w mieście tak silnie się objawiającą, występuje, tamtej dążności zupełnie odpowiadająca tendencya na wsi, zwrot ku miastu, tym siedliskom kultury i życia, miejscom intensywnej pracy i zabawy, siedliskom nowych dążności społecznych, politycznych i kulturalnych. W tem przeciw-

⁴⁾ C. J. Fuchs. *Zur Wohnungsfrage*. Leipzig 1904 str. 27. Por. też *Schriften des Vereins für Socialpolitik* T. 98 Leipzig 1901.

stawieniu do miast, wieś przedstawia wprawdzie istotnie wielką masę sił przyrodzonych, ale sił nie zawsze należyście spożytkowanych. Wieś jest siedzibą konserwatywnego społecznego, politycznego, życiowego i obyczajowego, wieś choruje na brak intensywnej kultury duchowej, mało wprawdzie z reguły zużywa nerwów duchowych, ale też mało daje sposobności do życia i zabawy.

Z tych przesłanek wychodzi też nowożytny ruch angielski, usiłujący połączyć dodatnie strony miast, z dodatniemi stronami wsi, w formie t. zw. miast ogrodowych.

Jako raj, jako ogród bez końca, jako ogród w pełni rozkwitu, jako ogród pełen głębokiego spokoju i niezamąconej szczęśliwości dla mieszkańców—tak fantazyja ludów oddawna wyobrażała sobie ziemię w jej ostatecznej doskonałości.¹⁾ Niegdyś wielkie miasto było jedyną ostoją przed napadami hord nieprzyjacielskich. Tego celu miasto dziś już nie spełnia, ono wogóle w dzisiejszych stosunkach nie ma już racjonalnego celu, takiego, któryby się nie dał osiągnąć w jakiś inny sposób, przytem większy jakiś pożytek przynoszący. Wszak dziś nie jest już chyba niemożliwe, by cały kraj, przy pomocy intensywnej kultury ziemi, został zamieniony w jeden wielki ogród, by mimo to, ten kraj wydawał się, przy pomocy nowożytnych środków komunikacyjnych, jako jedno olbrzymie miasto.

Miasto ogrodowe ma właśnie połączyć dodatnie strony wsi i miasta, neutralizując równocześnie o ile możności wzajemne niekorzyści. Twórca tego ruchu Ebenezer Howard cytuje w swej książce p. t. „To Morrow“ (później zatytułowanej: „Garden Cities of to Morrow“) szereg głosów najrozmaitszych stronnictw i uczonych na dowód, że wobec wyludnienia wsi a przeludnienia miast, wraz ze wszystkimi ujemnymi, ekonomicznymi, sanitarnymi i moralnymi konsekwencyami, istnieje szczególna jednogodność opinii i poglądów. A uczeń niemiecki Howarda, Bernard Kampffmeyer dowodzi na podstawie urzędowej pruskiej statystyki, jak olbrzymie rozmiary przybrała emigracya ze wsi, ile w wielkich miastach znajduje się rodzin, które jakkolwiek są zdolne do zapłacenia czynszu za mieszkanie, to jednak mieszkania takiego znaleźć nie mogą, wskutek czego zarząd miasta zmuszony jest wyszukać dla nich przytułek. A obok trudności, powstających dla osób prywatnych, w zakresie kwestyi mieszkań właściwych, bardzo

¹⁾ H. Hart w przedmowie do *B. Kampffmeyera: Die englische Gartenstadtbewegung*. Berlin 1903.

poważne są też trudności, w dziedzinie warsztatów. Czynsz za lokal na warsztaty jest stosunkowo znacznie wyższy, niż czynsz za mieszkania. Tak gdy metr kwadratowy za mieszkania w podwórzu wynosi w Berlinie 8 marek przeciętnie, to czynsz za lokal na warsztaty wynosi przeciętnie 9 marek, niekiedy zaś nawet 10 lub 12 marek. Te ceny są tem dziwniejsze, że budowa fabryk jest wogóle tańsza, niż budowa mieszkań. Bardzo częste są też wypadki, że na każdego robotnika, zatrudnianego w fabryce wypada czynsz za lokal rocznie 150—200 m. a stare przedsiębiorstwa muszą niekiedy zużywać 40% swego czystego zysku na opłacenie czynszu za lokal. ¹⁾ Wogóle obliczył Freese, że musi dla swej fabryki berlińskiej opłacać 10,000 m. rocznego czynszu, 65 osób, zatrudnionych w jego przedsiębiorstwie płaciło rocznie 15,000 m., łączna zaś suma, opłacana przez przedsiębiorcę i pracowników dla umożliwienia życia i produkcji, wynosi 25,000 m. Gdy zaś stosownie do wartości gruntów w Berlinie trzeba liczyć 60% na wartość budynku, 40% na sam grunt, wynika, że 10,000 m. przypada na opłacenie samego czynszu, czyli że każda z tych 65 osób, opłaca rocznie 153 m. za samo prawo do życia. Jest to oczywiście znaczne umniejszenie zdolności konsumcyjnej, innemi słowy zmniejszenie wewnętrznego targu dla płodów przemysłowych. ²⁾ Emigracja przemysłu (fabrycznego) z miasta na wieś, jest obecnie możliwą tylko dla wielkich przedsiębiorstw, nie zaś dla drobnych i średnich i to z bardzo różnych powodów. Raz dlatego, że na wsi wogóle trudno o robotników kwalifikowanych, robotnik kwalifikowany z miasta niechętnie pójdzie na wieś, gdzie i brak wyższej kultury i podaż pracy znacznie mniejsza. Trudnem jest też wogóle izolowanie produkcji, zwłaszcza wobec nowożytnego podziału pracy i różnorodnych przedsiębiorstw specjalnych. Przedsiębiorca na wsi, musi sam zbudować domy robotnicze, połączenie kolejowe, drogi przewozowe i t. p., co wszystko oczywiście wymaga znacznego kapitału. To wszystko w miastach ogrodowych, wspólnemi siłami zbudować się mających, przedstawia się w świetle zgoła oddmiennem, ³⁾ bo dla takiej akcji planowej, łatwiej się z jednej strony znajdują kapitały, z drugiej zaś

¹⁾ H. Freese. *Wohnungsnoth und Absatzkrise. Jahrbücher f. Nationalökonomien Statistik* 1893.

²⁾ *Der Zug der Industrie aufs Land. Eine Innen Kolonisation.* (Deutsche Gartenstadtgesellschaft. *Flugschrift* 5).

³⁾ *Avenrin Williams Genossenschaften und Genossenschaftsstädte* Berlin 1904.

zarządy kolejowe o wiele chętniej i łatwiej zgodzą się na utworzenie jakiejś odnogi kolejowej, łączącej główną linię z miastem ogrodowym, niż gdyby to połączenie dotyczyć miało pojedynczego, odosobnionego przedsiębiorstwa przemysłowego.

Tu sztuka techniczna żadnych zgoda nie doznałaby ograniczeń w swym swobodnym rozwoju, tu architektura istotnie mogłaby okazać co potrafi. Zarówno ze stanowiska estetycznego, jak i ze stanowiska higienicznego lub ściśle utylitarne były to postępy nielada. Ani granice posiadania, ani wysokie ceny ziemi, ani wreszcie względ na jakieś przestarzałe urządzenia, nie stanowiłyby w tym wypadku przeszkody, dla swobodnego rozwoju sztuki technicznej. Wskutek tego, że miasto byłoby zupełnie nowem, możnaby dla fabryk swobodnie zupełnie wybrać położenie najkorzystniejsze, więc między innymi w ten sposób, by wiatry trzymały dym zdala od miasta. Dzielnicę handlową wraz ze sklepami i składami, możnaby tak wybrać i skonstruować, by łatwo było ją osiągnąć ze wszystkich stron miasta.¹⁾ Oczywiście, że tu nigdy nie można stawiać szematów i że każdy wypadek trzeba indywidualizować, albo dostosować do jakości rodzaju terenu, na jakim całe miasto ma być zbudowane. To też tylko w znaczeniu przykładu, można przyjąć szemat, ułożony przez Howarda.

Miasto takie, ściśle koncentryczne, w małym stopniu tylko odpowiadałoby oczywiście ideałom estetycznym, zbyt daleko idąca symetria jest bowiem zbyt daleko idącym pogwałceniem natury, której istotna piękność polega nie na symetrii, nie na ściśle określonym ordynku, jeno na różnaitości. Pagórki, stawy, czy jeziora i gaje, mogą być nieraz istotną ozdobą miasta ogrodowego nawet, a choć teren zbyt uogólniony stanowiłby niewątpliwie pewną przeszkodę w tym względzie, to jednak brak wszelki takiego urozmaicenia przyrodzonego miastu, uniemożliwiłby wszechstronne zaspokojenie potrzeb estetycznych tego miasta. Istotą w tym szemacie Howarda, jest chyba tylko to, że samo centrum miasta, stanowi wielki park, który wszędzie naokół, rozlewa światło i powietrze, że całe miasto jest jakby ogrodami przetkanymi, że hale targowe (pałac kryształowy) są wszędzie łatwo dostępne, że miejsca produkcji (fabryki, warsztaty i t. p.) stanowią ostatni krąg ściśle miejski, że te miejsca produkcji, mają dobrą

¹⁾ Hans Kampffmeyer. *Gartenstadt und aesthetische Kultur Kunstwart*. 1904 zeszyt 16. *Flugschriften der Deutschen Gartenstallgesellschaft* 8.

komunikację dla zbytu swych wytworów i że w końcu ściśle z miejską częścią miasta ogrodowego, łączy się jego część ściśle wiejska. Ale gdy chodzi o rzeczywiste wykonanie planu, nikt nie może oczywiście narzucać jednego i tego samego planu dla wszystkich możliwych sytuacji, że raczej w każdym konkretnym wypadku, plan miasta musi być inaczej skonstruowany. W każdym razie, co się tyczy planu Howarda, to nie uważam za szczególnie korzystne, takie wyraźne oddzielenie w łonie samego miasta ogrodowego części wiejskiej miasta od jego części miejskiej. Bo przecież te części miasta, w których przeważają role i łąki z natury rzeczy trzeba nazwać wiejskimi, w przeciwstawieniu do innych, w których w jednej masie prawie są nagromadzone mieszkania prywatne, budynki publiczne, hale targowe — fabryki i t. p. Prawda, że to wszystko przetkane jest ogrodami, ale jeżeli chodzi o ideały, to niechże te ideały będą rzeczywiście idealnemi.

Jak wspomniałem, rzeczywistość ma swoje prawa i czyni niemożliwem utworzenie jednolitego szematu dla wszelkich możliwych sytuacji. Atoli to pewna, że obmyślenie całego planu miasta już z góry, choć oczywiście w każdym indywidualnym wypadku z osobna, powoduje, że miasto, będzie mogło odpowiadać znacznie wyższym wymaganiom estetycznym, higienicznym, i utylitarnym, niż to się dzieje obecnie. Oczywiście, że świadczyłoby to również o bardzo złym smaku, gdyby chciano utworzyć jakiś szablon estetyczny, nie dostosowany do całego położenia, do całej konfiguracji terenu, do stylu wreszcie, panującego w całej okolicy. Ale szkodliwem dla rozwoju estetycznego miasta, byłoby ustanowienie komisji, decydującej stanowczo o sposobie budowy i wyborze jakiegoś stylu. W zakresie budownictwa, można wprowadzić przymus, ale gdy granice tego przymusu są bardzo ciasne, niema mowy o swobodnym rozwoju sztuki. A swoboda, tak bardzo sztuce potrzebna. Inna kwestya oczywiście, utworzenie komisji z charakterem doradczym.

Istotą tego całego nowego ruchu, to utworzenie miasta nowego i to bezwarunkowo nowego, odpowiadającego nowożytnym pojęciom i wymaganiom. Tu grzechy wiekowej tradycji i przyzwyczajenia, nieświadomości, ba może nawet zabobonu, innych wymagań i potrzeb, nie stoją na przeszkodzie rozwojowi tych miast. To jest moment techniczny w tej kwestyi. Moment prawny, dla społecznej oceny eksperymentu nierównie ważniejszy, to zasada własności gminnej i dzierżawy dziedzicznej. Dzierżawa

dziedziczna jest osobistym stosunkiem prawnym, stoi w każdym razie pod tym względem o wiele wyżej niż nowożytnie dziedziczne prawo budowlane, tyle teraz omawiane i sławione. W każdym razie to ostatnie prawo nie ma chyba tego epokowego znaczenia, jakie mu przypisuje *Paweł Oertmann* ¹⁾ z wyjątkiem tych wypadków chyba, w których zostało ustanowione na własności gminnej. Na placach budowlanych, które się znajdują we władaniu prywatnym, dziedziczne prawo budowlane, już choćby dlatego nie ma tak daleko idącego znaczenia, ponieważ praktycznie rzecz biorąc, jest rzeczą mało prawdopodobną, by czynsz został ustanowiony na jakiś dłuższy okres czasu (na 99 lat) ponieważ właściciele gruntów także chcieliby uczestniczyć w przyroście renty, zwłaszcza, że w przeciwnym razie, ich prawo własności stałoby się rzeczywiście prawem bez treści.

Zupełnie inaczej rzecz się ma wówczas, gdy chodzi o place budowlane, stanowiące przedmiot prawa własności gminy. Tutaj wchodzi mianowicie w rachubę interes publiczny, interes ten jednak tylko wówczas będzie należycie uwzględniony, jeśli umowy o czynsz, zostaną zawarte na jakiś krótszy okres czasu. Umowa o czynsz, zawarta na dłuższy okres czasu, doprowadzi mianowicie do tych samych niewłaściwości i niedogodności, które stanowią punkt wyjścia całej kwestyi mieszkań, mianowicie sprowadzi spekulacye, wprowadzi nie gruntami budowlanymi, ale za to dziedzicznymi prawami budowlanymi. Umowa o czynsz, zawarta na krótszy okres czasu, ograniczyłaby znowu silnie swobodne prawo dyspozycyi osoby, posiadającej dziedziczne prawo budowlane, a przecież jeżeli umowa nie zostanie zawarta na czas dłuższy, to brak będzie należytej podniety do zabudowania przestrzeni ²⁾ a że przelanie własności budynków na gminę, nie uwzględniałoby należycie przyrodzonych egoistycznych popędów natury ludzkiej—zbytecznie doprowadzić. Zupełnie inaczej natomiast kwestya przedstawia się wówczas, gdy zostanie ustanowioną dzierżawa dziedziczna. Wobec dzierżawy czasowej ma ona tę wyższość, jak *Paasche* ³⁾ słusznie udowodnił, że posiadacze tylko wówczas będą gospodarować ce-

¹⁾ *Paul Oertmann. Die sociale Bedeutung des Erbbaurechts Sociale Streitfragen.* Zeszyt XI.

²⁾ *A. Wagner. Grundbesitz (Bodenrechtsordnung). Handwörterbuch der Staatswissenschaften.* Wyd. 2. T. IV str. 807.

³⁾ *Paasche. Pacht. (Handwörterbuch der Staatswissenschaften).* Wyd. 2 T. VI str. 2 i n.

lowo, jeśli będą wiedzieć, że ziemia będzie w ich dziedzicznym posiadaniu, że nie nastąpi żadne podwyższenie dzierżaw, któreby ich pozbawiło owoców ich pracy, co oczywiście dotyczy także zysków z konjunktury.

Wobec sprzedaży zupełnej t. j. na zupełną wolną własność, ma dzierżawa dziedziczna tę wyższość znowu, że przy posiadłościach rolnych, posiadacz ma i nadal możność, utrzymać się w posiadaniu osad przez siebie wytworzonych, z drugiej zaś strony nie narażać się na niebezpieczeństwo, że gospodarstwo, którego wytworzenie licznych może wymagało ofiar, w ten lub ów sposób znowu zaniknie (np. w drodze parcelacji lub skupu). Przy placach budowlanych ma znów dzierżawa dziedziczna tę wyższość, że właściciel z łatwością może zapobiedz dzikim wprost nieraz spekulacyom gruntowym. A uczyni on to także faktycznie, jeśli jedyną gwiazdą przewodnią jego działalności będzie interes publiczny, jeśli właścicielem gruntu będzie gmina. Naturalnie, iż wszystko to być może pod tym jeno warunkiem, że do umowy o dzierżawę dziedziczną wejdzie postanowienie, że bez zezwolenia wydzierżawiającego, żadne zmiany prawne w stosunku prawnym dzierżawcy do wydzierżawiającego, nie mogą nastąpić.¹⁾ Zapewne, że dzierżawca jest wówczas niejako do ziemi przywiązany a jego gospodarcza wolno-przesiedlność jest silnie ograniczona. Miasto ogrodowe ma właśnie uosabiać ideał gospodarstwa, ściśle w sobie zamkniętego. Przemysł i rolnictwo mają być głównie na siebie nawzajem obliczone, a ustrój ten, pragnąłby uczynić zbędną wszelką politykę cłową i handlową.

¹⁾ *Wagner* j. w. proponuje również peryodyczne ustanowienie czynszu najmu za grunt (canon) ze względu na to, że dzierżawcy (właściciele domów) wobec lokatorów domów znajdowałiby się w podobnej sytuacji, jak obecnie, gmina więc powinna by korzystać z ewentualnych wzrostów wartości gruntów. Czy istotnie alternatywa, przewidywana przez Wagnera, zostałaby w praktyce zrealizowaną, zależy oczywiście w znacznej części od sposobu budowania domów. W systemie wил i domów, dla jednej lub, jak to się dzieje np. w mieście ogrodowem Cadbury'ego Bournville pod Birmingham, dla dwóch partyj, ewentualne korzyści dla osób prywatnych byłyby bardzo niewielkie. Oczywiście, zawsze jednak, trzeba się liczyć z rzeczywistością i w tym stanie rzeczy, bardzo często rzeczywistość grubo może odbiegać od ideałów, więc też często domy dla dwóch partyj pierwotnie przeznaczone, w dalszym rozwoju mogą służyć za pomieszczenie dla większej liczby partyj (choćby np. tylko mieszkających kątem), stąd też i alternatywa, przez Wagnera przewidywana, może stać się rzeczywistością.

Zwolennicy i szermierze tego ruchu, uznają to zresztą w całej pełni, że w razie silniejszego rozwoju przemysłowego w mieście ogrodowym, miasto to z trudem tylko mogłoby się ograniczyć na wewnętrznym targu i projektują w tym celu utworzenie grupy miast ogrodowych więc większej gospodarczej jednostki, któraby jednak mimo to zawierała w sobie wszystkie znamiona miasta ogrodowego.

Cała ta kwestya streszcza się więc w gruncie rzeczy w postulatcie utworzenia terytoryów gospodarczych, ściśle w sobie zamkniętych, w kwestyi utworzenia silnego wewnętrznego targu. Jest to w gruncie rzeczy to samo zagadnienie, które podniósł Adolf Wagner, w swej słynnej książce *Agrar und Industriestaat*. Zapewne, że zdobycie coraz to nowych rynków zbytu, staje się z czasem coraz trudniejszym i podobnie jak dziś zdobywanie takich rynków zbytu jest o wiele trudniejsze niż w XVII i XVIII w. a nawet w pierwszej połowie XIX w. ponieważ i nowe narody, które dopiero co się tworzą i stale naprzód postępują, starając się o zdobywanie takich nowych rynków zbytu, w każdym razie nie zapominają o zapewnieniu dla siebie targu wewnętrznego. ¹⁾ To ostatnie jest niewątpliwie w pełnej swej rozciągłości muzyką przyszłości, bo świat jeszcze nie podzielony, cywilizacya europejska do wielu krajów jeszcze nie dotarła, a idea gospodarczego usamodzielnienia w wielu wypadkach jeszcze się nie zrealizowała. Ale ruch ten jest niewątpliwie w ciągłym rozwoju, a wraz z jego rozszerzeniem i pogłębieniem nastanie bezwątpienia chwila odpowiednia dla zrealizowania ideałów ruchu miast ogrodowych.

W Anglii zresztą, ojczyźnie ruchu, ruch ten przechodzi już w fazę czynów. I tak, przedewszystkiem z inicjatywy Cadbury'ego, właściciela firmy kakaowej w Birmingham, powstała pod Birmingham kolonia Bournville, dokąd też Cadbury przeniósł swój zakład. Kolonia ta obejmuje 3000 mieszkańców, a istnieje ku powszechnemu zadowoleniu przedsiębiorcy i robotników. Cadbury, który na utworzenie tej kolonii wyłożył kwotę 5 milionów koron, utworzył z niej obecnie osobną fundacyę. Ta fundacya jest właścicielką całego gruntu.

Na większą skalę tworzy się takie miasto w drodze asocjacyjnej. Po trzyletniej propagandzie Garden City Association, utworzyła się w r. 1902 Garden City Pioneer Company, prze-

¹⁾ Por. też Gargas: *Rolnictwo i jego funkcje w gospodarstwie społecznem*. Kraków 1904 str. 12 i n.

kształcona następnie na Frist Garden City Limtd. Spółka ta obliczona na kapitał przeszło 6 milionów kor., z których do lutego 1905 subskrybowano już 2,200,000 kor., zakupiła 60 km. na północ od Londynu, teren 1600 h. W sfinansowaniu planu bierze udział między innymi kilka stowarzyszeń konsumcyjnych, tudzież (jak do czerwca r. b.) 8 przedsiębiorstw przemysłowych, a mianowicie fabryka wód mineralnych, fabryka asfaltu, fabryka maszyn, fabryka towarów introligatorskich i papierowych, drukarnia (stowarzyszenie wytwórcze), fabryka przyrządów metalicznych i fabryka aparatów do ogrzewania wody. Cały szereg tych przedsiębiorstw rozpoczął już na miejscu swe czynności, a znów dalszy szereg stoi ze spółką w pertraktacjach, celem wydzierżawienia dalszych kompleksów gruntu. Obok wielu korzyści takich, jak ułatwienia przewozowe za pomocą torów przytykających, jak dostarczanie taniej siły, wydzierżawia bowiem spółka swoje tereny za bardzo niskim czynszem dzierżawnym, wynoszącym około $\frac{1}{10}$ części ceny dzierżawnej, z reguły w innych miastach angielskich przyjętej. Zwłaszcza olbrzymie są różnice w porównaniu z Londynem. Znacznie wyższe jeszcze oszczędności, powstają ze znacznie niższych podatków i danin publicznych wogóle. O wiele żywszym jeszcze jest ruch w kierunku wydzierżawiania parcel poszczególnych w celu zabudowania ich domami mieszkalnymi. Obecnie wybudowano już, względnie budują się domy mieszkalne dla 50 dzierżawców, a dla dalszych 50 dzierżawców ma rozpocząć się budowa w kilku dalszych miesiącach. Wielu kupców i przemysłowców z Londynu buduje tu swoje domy. Spółka zwraca również baczną uwagę, na zagadnienie rolnicze, z kwestyą miasta ogrodowego związane.¹⁾ Dwie trzecie całego obszaru, t. j. ponad 4000 morgów ma być poddanych rolniczej uprawie. Uczyniono już przygotowania, celem energicznego popierania drobnych gospodarstw rolnych, zwłaszcza zaś produkcji owocowej i ogrodowej, jak i stowarzyszeń i szkół rolniczych. Dla poparcia tego ruchu, odbyła się w mieście ogrodowym „The Small Holdings Conference“ zakończona utworzeniem „Small Holdings and Allotments Society,“ jak i „Industrial Bank,“ dla finansowego popierania tego ruchu w obrębie miasta ogrodowego.

Jak wspomniano, ruch ten, który znalazł również naśladowców w Niemczech—na razie w formie propagandy przez Deutsche

¹⁾ O tem Adams: *Garden City in relation to Agriculture*. London. 1904.

Gartenstadtgesellschaft w Berlinie (Schlachtensee)—opierał się w Anglii wyłącznie na zasadzie asocyacyjnej. A zasadzie tej muszą przyznać bezwarunkowo wyższość nad zasadą, podniesioną w Niemczech przez *Alfreda Abendrotha* ¹⁾ Abendroth przemawia mianowicie energicznie za tem, by piastunem idei miast ogrodowych była gmina i to przede wszystkim gmina wielkomijska. W ten sposób, mogłyby wielkie miasta rozwinąć energiczną politykę w kwestyi gruntów, mieszkań i powiększenia miasta. Gminy wielkomijskie powinnyby zakupywać na dalszych swych krańcach większe obszary ziemi i tworzyć na nich kolonie przemysłowe za pomocą odpowiedniej komunikacji kolejowej i wodnej. Zasadniczo podobne poglądy wypowiada w ostatnim czasie higienista *Ludwik Bauer*, ²⁾ który nawet przemawia wprost za umiastowieniem gruntów budowlanych. Ale jakkolwiek na pierwszy rzut oka, reformy tego rodzaju mogą się wydawać bardzo pożądane, bo odrazu niejako przecinają węzeł gordyjski, to jednak przy bliższej analizie, rzecz się ma wprost odwrotnie. Jak w wielu innych wypadkach, tak i tutaj pozorny radykalizm tamuje realną reformę społeczną. ³⁾ Umiastowienie gruntów budowlanych naruszyłoby zbyt wiele prywatnych interesów i w rezultacie w nader nielicznych wypadkach dałoby się dziś przeprowadzić. Natomiast oparcie tej idei na zasadzie asocyacyjnej, nietylko, że przeprowadza reformę społeczną bez jakichkolwiek wstrząśnień i w drodze ewolucyi, ale ma także i tę wyższość, że o ile tylko zdoła trafić do umysłów, obejmie niewątpliwie większe kręgi i wywrze w rezultacie skutek o wiele realniejszy. Inaczej cokolwiek, co prawda, przedstawia się czysto finansowe oparcie idei o gminę (wielkomijską, jak chce Abendroth). Ale i tu zasada asocyacyjna ma niewątpliwą wyższość moralną, a tej wyższości moralnej bynajmniej nie należy lekceważyć, bo jest ona wszędzie i zawsze najpewniejszą rękojmią danego stanu rzeczy.

DR. ZYGMUNT GARGAS.

¹⁾ *A. Abendroth. Die Grosstadt als Städtegründerin (Städtebau 1905 Berlin).*

²⁾ *L. Bauer. Der Zug nach der Stadt und die Stadterweiterung eine rassenhygienische Studie. Stuttgart. 1905.*

³⁾ O stosunku obu tych sposobów myślenia por. znakomite uwagi na ten temat u *M. Czajkowskiego: Socjalizm a państwo. Lwów. Polskie Tow. nakładowe 1904.* Por. też *A. Krzyżanowski: Socjalizm i anarchizm w świetle najnowszej literatury polskiej. 1905.*

Na scenie i na estradzie.

I.

Niepokojący stan teatrów warszawskich, zachwianych finansowo i dotkniętych artystyczną niemocą, zwrócił nareszcie uwagę sfer decydujących. Do składu komisji teatralnej, od szeregu lat rozpatrującej coraz gorszą sytuację scen tutejszych i szukającej bez skutku sposobu uzdrowienia—który, nawiasem mówiąc, tuż, pod ręką znaleźć można—wszedł ostatniemi czasy Dyrektor Kancelaryi Warszawskiego Jenerał-Gubernatora, J. E. Szambelan Jaczewski. Może ten dopływ dobrej woli do organu, zmartwiałego już w kancelaryjnej rutynie, wywoła w komisji jakąś ratunkową inicjatywę; tymczasem na tle zastarzałych w bezruchu stosunków krążą, jak zwykle w takich razach, przeróżne pogłoski. Wspomniano tu i owdzie o wydzierżawieniu teatrów, nie określając granic tej dzierżawy ani kwalifikacyi na dzierżawcę; a przecież cała wartość kombinacyi od tego właśnie zawisła—*co i kto weźmie warendę*; czy przedmiotem pachtu będą wszystkie gałęzie produkcji teatralnej, czy też tylko dramat i komedia, z wyłączeniem opery i baletu; czy wreszcie, przy wyborze płacącego czynsz antreprenera, rozstrzygać będzie pieniąż czy sztuka?

Pytania te były już na tem miejscu niedawno stawiane i dostarczyły materiału do obszerniejszego całej sprawy rozbiór; obecnie wypadaloby może baczeniejszą zwrócić uwagę na inny projekt, związany ze spodziewanem wprowadzeniem u nas samorządu miejskiego: na oddanie teatru w zawiadywanie miasta. I tu wprawdzie brakuje konkretnych danych, na których możnaby oprzeć solidniejsze wywody—trudno bowiem przewidywać jak prowadziłoby teatr miasto, kiedy niewiadomo jeszcze na jakich zasa-

dach samo rządzić się będzie. Jedno w każdym razie twierdzić wolno: że umiastowienie teatru pozwoliłoby mu w szczupłych czy też szerszych granicach urządzić się autonomicznie i że mniej lub więcej samorządną byłaby w nim sztuka, wyswobodzona z urzędowej opieki, w której marnieje obecnie, albo z więzów spekulacji, w której szamotałaby się pod kierunkiem prywatnego pachciarza.

Nie znaczy to bynajmniej, że objęcie teatru przez miasto wolne jest od wszelkich szkopułów: nie pozwala na takie złudzenie, choćby przykład z blizkiego sąsiedztwa, gdzie szanowni edyle krakowscy potrafili zatruwać życie dyrektorom teatru miejskiego. Nie brakuje też i nie brakowało gdzieindziej takich przykładów, które wyrobiły typowy do pewnego stopnia pogląd na udział municypalności w rządach teatralnych. Już stary Gottschall sceptycznie zapatrywał się na opiekę rozciąganą nad sceną przez ojców miasta. „Teatry miejskie — pisał niegdyś królewiecki dramaturg — podlegają zwykłemu prawom konkurencji, której sprężyną jest interes. Budynki teatralne należą albo do gmin, albo do towarzystw akcyjnych, i wdzierżawiane bywają za znaczne częstokroć opłaty czynszowe, podniesione jeszcze kosztami oświetlenia i innymi wydatkami, tak, że dzierżawa teatru z natury rzeczy połączona jest zwykle ze sporym nakładem kapitału. Jeżeli weźmiemy nadto w rachubę rosnącą z każdym rokiem skalę uposażeń aktorskich i potęgujące się ustawicznie wymagania publiczności, której szybkie komunikacje kolejowe ułatwiają porównania i zestawienia z pierwszorzędnymi scenami — dojdziemy do wniosku, że objęcie dzierżawy teatru miejskiego jest po prostu ryzykowną spekulacją prywatną.“

Słowa te nakreślone były przed dwudziestu kilku laty; czas nietylko nie odjął im aktualności, ale finansową ich doniosłość coraz silniej akcentuje. „Stwórzcie wzorowy teatr, a potem powiedzcie mi, co to będzie kosztować!“ — powtarzają dotąd z ironią za Hardenbergiem przedstawiciele różnych municypiów; zwłaszcza kiedy przychodzi sięgnąć do funduszków miejskich. A sięgnąć trzeba, bo przybytek sztuki stanąć może tylko na trwałych materialnych podstawach.

Czy i w jakim stopniu miasto obowiązane jest troszczyć się o dobry teatr — o tem oczywiście ze stanowiska prawnopaństwowego trudno coś pewnego powiedzieć. Rzecz naturalna, że domagać się tego od municypalności nie można na tych samych zasadach, z jakich wypływa obowiązek jej zakładania szkół i czuwania nad pomyślnym ich rozwojem. Wszelkie absolutne pod tym względem

pretensye więcej zwykle szkodziły sprawie, aniżeli dopomódz jej mogły. W miarę jednakże, jak działalność miast, życiem zmuszana, wybiega w różnych kierunkach po za granice tego, co uznane zostało za niezbędne, fundując nietylko wyższe zakłady naukowe, ale naprzykład miejskie muzea, galerie, biblioteki,—powinaby też municypalność, w interesie społeczności miejskiej, starać się o podniesienie poziomu teatru, o ile można z funduszków miejskich. Idzie tu przecież o pozytywne cele kulturalne, lub choćby o negatywne tylko odpieranie niekulturalnych na tę społeczność wpływów. Układ stosunków miejscowych wpływać musi oczywiście na rozmaiłość kombinacyj; najczęściej gmach teatralny dostaje się dzierżawcy za umiarkowany czynsz, rzadko bardzo bezpłatnie; właściwa zapomoga pieniężna należy do osobliwych wyjątków. A jednak bez niej dziś trudniej, niż kiedykolwiek, myśleć można o poważnem kierownictwie teatru. Tu i owdzie komitety obywatelskie, stowarzyszenia teatralne i t. p. zdobyły się na godne uznania, choć przemijające wysiłki dla podtrzymania scen miejskich; ale ilość pojedynczych obywateli, gotowych do ponoszenia w tym celu znaczniejszych dobrowolnych ofiar, jest prawie wszędzie zbyt szczupłą, ażeby na ich poparciu fundować można było trwalszą egzystencyę teatru, wyższym odpowiadającego aspiracyom.

Jedną z ważniejszych trudności, wikłających kwestyę subsydjów miejskich, jest określenie stosunku płacących zapomogę, do instytucyj, której byt tą swoją pomocą zapewniają; rozgraniczenie uprawnionego wpływu subwencyonaryuszów na finansowe sprawy teatru i fantastycznych zachcianek dyletantyzmu literacko-artystycznego, skłononego do samowładczych zapędów. Pomią słabą zwykle odporność „ojców miasta“ na pokusy świata zakulisowego i nieodłączną od natury ludzkiej chętkę wywierania władzy, tam zwłaszcza, gdzie ta władza rozstrzygać może o losach „bohaterów,“ a szczególnie „bohaterek;“ ale i kontrola ruchu repertuarowego, prowadzona pedantycznie z wyłącznego stanowiska finansów, również daje się sztuce we znaki. Zapewne, że kierując teatrem subwencyonowanym, należy liczyć się z powodzeniem finansowem i że dobrze jest mieć na uwadze to przedewszystkiem, co się da wykonać w granicach środków, jakimi się rozporządza; któż jednak rozstrzygać będzie o tem: kiedy powodzenie finansowe idzie na pożytek sztuki, a kiedy ujmę jej przynosi; kto wytknie owe granice wykonalności planów repertuarowych, wymagających ryzyka pieniężnego, jeżeli na straży przed wszelką śmielszą inicjatywą kierowniczą stać będzie dro-

biażgowa oszczędność filistrów, obliczających wydatki na sztukę, tak, jak się prowadzi rachunki z kucharką?

To też w wielu ogniskach miejskich municypalność zrzuca się bezpośredniego i czynnego wpływu na kierunek teatru i słusznie zrzuca z siebie odpowiedzialność za różne w tym kierunku niedomagania. Dość tu uprzytomnić sobie w wyobraźni wszystkie nieuniknione starcia zdań, poglądów, uprzedzeń, pretensyj i ambicij i wynikające stąd machinacje, które z konieczności paraliżują w magistratach prawidłowy bieg spraw teatralnych; dość wspomnieć o namiętnych krytykach, wymierzanych z tego powodu w stronę zarządów miejskich, żeby zrozumieć stanowisko w tej sprawie municypalności, które udzielając nawet teatrowi materialnej pomocy, poprzestają na pośrednim tylko baczeniu na jego poziom artystyczny, bez wglądania w szczegóły techniki teatralnej.

Przy takiej względnej neutralności zarządów miejskich unormowanie stosunku ich do teatru może się przedstawić w dwojakiej formie: albo sceną kierować będzie antreprenier-dzierżawca, kontrolowany ściślej lub luźniej przez municypalność; albo ster nad nią obejmie w sprawach administracyjnych, utworzona z ramienia zarządu miejskiego, z udziałem jego członków, komisya obywatelska, która od siebie postawi na czele spraw artystycznych odpowiednio wykwalifikowanego kierownika. Na niebezpieczeństwa dzierżawy, powierzonej prywatnej jednostce, zwracaliśmy już w „Bibliotece“ uwagę czytelników, interesujących się sprawami naszych teatrów; mówi się o nich wszędzie, zwłaszcza w Niemczech, gdzie, dzięki dawniejszej decentralizacyi środowisk umysłowych, historia sceny niemieckiej ściślej niż gdzieindziej związana jest z dziejami pojedynczych miejskich teatrów. Narzekań niebrak, popartych najjaskrawszymi obrazami stosunków, wśród których pieniądze lub kredyt wysuwały na pierwsze plany bliskich bankructwa kupców, komisjonerów, agentów, handlarzy koni, a zwłaszcza oberżystów i traktyerników, wprawnych w przeciąganiu na swoją korzyść nastęrczającej się spekulacyi. Dobrze jeszcze, jeżeli próżność dyletanta popychała ku teatrowi takie napółzamroczone egzystencje, jeżeli taki dyrektor powierzał właściwe kierownictwo zdolnemu reżyserowi; ale i wtedy reżyser z artystyczną inicyatywą spotykał się w zapędach swoich z brakiem środków, któremu rzadko chciał zapobiegać zmysł zarobkowy przedsiębiorcy.

Najpomysłniejszy względnie stosunek miasta do teatru mógłby zatem wytworzyć się wtedy, gdyby zainteresowany sceną komitet z zamożnych i miłujących sztukę żywiółów obywatelskich,

zapewniwszy teatrowi w porozumieniu z zarządem miejskim i przy jego pomocy, stałą subwencję, zajął się administracją popieraną instytucji, a kierunek jej artystyczny oddał w ręce fachowe. I tu wprawdzie dalecy będziemy od idealnej organizacji; i w tym ustroju teatralnym stan zupełnego zdrowia do wyjątków należy: bo gdzie kolegialność, a w niej zasada większości, decyduje o rzeczach sztuki, tam zwykle nie czyni samorzutny, twórczy—lecz kompromis rozstrzyga. Ale to już sprawa wewnętrznego ustosunkowania kompetencji komitetu i dyrektora, a to, jakkolwiek niełatwo, można jednak, przy dobrej woli z korzyścią dla sztuki osiągnąć; osiągnąwszy zaś, dojdzie się do takich mniej więcej wyników:

Władze miejskie, reprezentowane w komitecie teatralnym, oddawszy bezpłatnie do użytku gmach teatralny, z całkowitem urządzeniem oraz z wszelakim materiałem w dekoracjach, kostiumach i rekwizytach, udziela nadto z funduszków miejskich na pewien czas i pod pewnymi warunkami rocznego na poparcie sceny subsydyum, zastrzegając sobie w komitecie głos w kwestyach, dotyczących prowadzenia teatru, bez ingerencji bezpośredniej, każdorazowej w sprawy bądź artystyczne, bądź nawet administracyjne. Jako warunki przyznania subwencji postawi miasto: powierzenie kierownictwa sceny fachowo uzdolnionej osobistości (z zastrzeżeniem, że wykładnikiem tej fachowości nie jest koniecznie, ani wyłącznie aktorstwo), słowem dyrektorowi, któryby oprócz technicznych kwalifikacyj dawał rękojmię wszechstronnego wykształcenia, prawości charakteru i któryby, wytworzywszy dobry repertuar, zobowiązał się wprowadzać go na scenie w życie przez dobrych, starannie w tym celu dobranych wykonawców. Do komitetu należy czuwanie nad wypełnieniem tych zobowiązań dyrektora.

Rzucam te kilka postulatów i mam znów wrażenie, jakoby zajmował czytelników kwestją akademicką; ale niestety, wszystko, co się w tej chwili mówi o reformach w naszym kraju, nie jest że potrochu kwestją akademicką? Nie mam też ani zamiaru, ani nawet ochoty wyczerpywać tej sprawy, rozmyślnie w powyższych uwagach do losów dramatu i komedii ograniczonych, bo kiedy dla teatru polskiego krytyczne nadchodzą chwile, zawsze uprzymiennie mi się rozmowa z jednym z prezesów teatrów warszawskich (dziś już nieżyjącym):

— Występując z pretensjami o postawienie teatru Rozmaitości na europejskim poziomie, mówił ten, ruchliwy zresztą, prezes, zapominając panowie o jednej, bardzo ważnej okoliczności:

że dramat i komedia istnieje u was o tyle tylko, o ile istnieje opera i balet.

— Wyznaję panu Prezesowi, odparłem, że z trudnością zdając sobie sprawę z tej zależności.

— A jednak jest ona bardzo prostą. Warszawa — to punkt węzłowy łączący Rosyę z Europą, to — że się tak wyrażę — zwrotnica (prezes zajmował wysokie stanowisko na kolei) między Wschodem i Zachodem. Natura takiego łącznika dwóch kultur, wymaga żeby w nim sztuka na scenie rządowej miała charakter dostępny dla dwoistej publiczności: urzędowej i przejezdnej, a więc charakter kosmopolityczny, a taką cechę posiadają właśnie te gałęzie sztuki, w których język jest rzeczą obojętną: to jest muzyka i taniec. Jeżeli więc dbać mamy o europejski poziom, to tylko dla opery i baletu.

— Rozumiem teraz supremację opery i baletu; ale nie pojmuję zależności od nich dramatu i komedii, chyba wypadłoby ją odwrócić, bo przecie wiadomo panu Prezesowi, że gdyby nie pracował tak usilnie teatr Rozmaitości, to źle byłoby z teatrem Wielkim!

— Wiem o tem, i właśnie dla tego nie cofam mego poglądu, tylko go w innej formie powtarzam: teatr Rozmaitości o tyle istnieje, o ile zapracuje na podtrzymanie teatru Wielkiego...

Nie wiem, o ile ten „pogląd“ owego prezesa odzwierciedlał w danej chwili zapatrywania sfer miarodajnych; to tylko pewna, że usprawiedliwiły go w zupełności późniejsze dzieje teatrów warszawskich.

Czy te dzieje wchodzą teraz w przełomową fazę, jak chcą zwiastuni „przełomów“ we wszystkich dziedzinach życia społecznego, literackiego, artystycznego ba! nawet politycznego? Pragnąłbym w to wierzyć, a im głębiejbym wierzył, tem szerzej rozglądałbym się za... dyrektorem. Bo z podsumowania tego wszystkiego, co się powiedziało o możliwych wynikach obecnego przesilenia, wypadnie ostatecznie, że teatrowi naszemu potrzeba dyrektora, dyrektora, jeszcze raz dyrektora, może nawet więcej, niż według znanego aforyzmu: „pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy.“

Dziwnie to zapewne wygląda w zastosowaniu do bankrutujących teatrów warszawskich; na tle jednak ogólnoeuropejskich stosunków, od którego przecież oddalać się nie myślimy, niema w tem nic paradoksalnego. Na wołanie bowiem „pieniędzy!“ odpowie zawsze spekulant, rzadko odezwie się dy-

rektor artystyczny, bez którego sztuka nie ostoi się w żadnym teatrze, ani w rządowym, ani w wydzierżawionym, ani w umiastowionym. I sztuka cofa się istotnie na coraz dalsze plany; stwierdzają to z różnych stron dochodzące poważne głosy, wśród których odznaczył się niedawno dzielny kierownik teatru w Düsseldorfie. W artykule „Teatr spekulacyjny i interes teatralny“ (*Geschäftstheater und Theatergeschäft*) oburza się p. Herbert Eulenberg na wytwarzaną przez spekulantów dla usprawiedliwienia handlarstwa w teatrze, specjalną filozofię, według której, obecny stan teatrów, współzawodniczących przemysłem z cyrkami i tinglami, ma być historycznie uzasadnionym produktem zupełnie naturalnej ewolucyi, przeciw której walczyć mogą tylko śmieszni, zapóźnieni idealisci i wszelkiego gatunku gazeciarskie głuptasy. Teatr,—zdaniem tych giełdziarskich historyzozofów—jest przedsiębiorstwem, opartem na interesie, i jako taki winien przedewszystkiem myśleć o dochodzie kasowym. Smak szerokiej publiczności domaga się więcej rozrywki niż sztuki i tej przeważającej potrzebie kierownik sceny obowiązany jest zadość uczynić. Po zaspokojeniu jej można też przygodnie, o ile się da, uwzględnić życzenia wykształcześniejszej publiczności, pożądającej *jeszcze* sztuki.

To *jeszcze*, jako rodzaj horoskopu na przyszłość, najsilniej rozdrażniło Düsseldorfskiego dyrektora. Staje więc w obronie publiczności, dowodząc, że smak ogółu w sprawach estetycznych jest nadzwyczaj giętki i podatny do kształcenia, gardlują zaś przeciwko temu najgłośniej ci właśnie dyrektorowie, którzy z psucia gustu żyją dostatnio, suto i na znieprawianiu go roztyli się. Owo „domaganie się rozrywki“ jest dla nich tak wygodną wymówką, że żaden z nich nie myśli o uszlachetnieniu treści tej rozrywki. W Berlinie, na przykład, poluje się corocznie przy pomocy przemysłowych agencji teatralnych na „sztukę kasową“, którą można by zagrać sto lub więcej razy, a prowincya, bez względu na inny zupełnie skład publiczności, małpuje stolicę. Gdzież tu przy takim polowaniu myśleć o repertuarze!

To też rozluźnia się coraz bardziej spójnia między sceną a szerszymi masami społecznymi, bo teatr nie tkwi w ich życiu i staje się klasową instytucją, zaspokajającą wymagania pieniężnej publiczności, znudzonych *viceur'ów* lub rozsławianej ciżby. Wszystko w dzisiejszych teatrach pracuje nad wyjąłowieniem ducha; aktorzy zmechanizowani powtarzaniem „sztuki kasowej“ wdrażają się do gry automatycznej; a już najcięższą krzywdę wyrządza teatralny *business* literaturze. Większość pisarzy, którzy rozpoczęli twórczość sceniczną, jako wybitne indywidualności, staczała

się z wolna, ale bez przerwy, po pochyłości tantemowego zarobku. Każde nowe dzieło zjawiało się z coraz mniejszym nakładem talentu, dopóki nie stało się „utworem kasowym,“ który, jak mówi Hartleben, „tak jest głupi, że może przynieść milion.“ Zwykle wraz z zanikiem talentu wzrasta u takiego dostawcy techniczna zręczność, najwięcej ceniona, bo dużo ruchu robi na scenie, a mało myśli od publiczności wymaga. W tych kompromisach z kasą każdy talent grubieje, pospolicieje; ale za to zdobywa na scenie monopol. I czyż nie czas już, kończy oburzony kierownik, zawołać: „tylko dotąd, dalej ani kroku!“

Przytoczywszy tę przestrożę, miejmy nadzieję, że u nas spekulacja nawet „dotąd“ dopuszczoną nie będzie; że w jakichkolwiek stosunkach kierowniczych znajdzie się nasz teatr: czy nadal pozostanie pod dyrekcją rządową, czy drogą antreprzyzy przejdzie w ręce prywatne, czy też komitet obywatelski rządzący z udziałem miasta postawi na czele teatru wybranego przez siebie dyrektora — kierownik, w ten lub ów sposób wyznaczony do przewodniczenia polskiej scenie, nie zapomni, że właśnie w chwili, stanowiącej o jej przyszłości, odrodzenie tej sceny winno być jedyną jego myślą, a spełnić się ono może tylko pod tchnieniem szlachetnej, czystej sztuki.

II.

To przyszłość — a tymczasem terażniejszość, niepewna wy-czekiwanego jutra, zwraca się po ukojenie do przeszłości i ma słuszość, skoro tej przeszłości na imię... Szekspir. Zwraca się i patrzy zdumiona, jak wobec genialnego twórcy nikną warunki czasu i przestrzeni, jak w przywołanym przezeń do życia człowieka dusza, wynurzywszy się z jakiejś prabytowej mgławicy, wskrós stuleci odzywa się do nas naszą mową; jak w niej jednocześnie wre chaos kosmiczny i z oddźwięków wspólnych nam wszystkim uczuć i myśli, układają się, z nowoczesnym prawie kunsztem, psychologiczne akordy.

Jeden z angielskich krytyków nazwał Szekspira „głosem natury.“ Może to najtrafniejsza dla wszechludzkiego poety definicya. Twórczość Szekspira niema w sobie nic lokalnego, ani osobistego; nie ogranicza jej żadna poetyka; nie zacieśnia żaden sy-

stemat; ogarnia ona wszystkie narody, wszystkie wieki; skupia w sobie wszystkie życia objawy. Barbarzyństwo i wykwit cywilizacyi spotykają się tam w typach najosobliwszych. Miranda, — to niby wizerunek Sakuntali, odbity w zwierciadle pięknego jeziora; przed Kalibanem cofnąłby się trwożliwie dziki Kafr, gdyby mu lustro pokazano. Zamaszysty śmiech Falstaffa, odpowiada zdaleka na wytworne *concelli* Benedykta i Merkucya. Nawet klimaty występują ze swemi najcharakterystyczniejszymi wytworami. Na jednym z krańców wszechświatowej sceny, Otello przeraża tygrysiemi rykami w dramacie, ziejącym podzwrotnikowemi żarami; u przeciwległego bieguna Hamlet rozsnuwa swoją hyperbojską melancholię na drgającym tle zorzy północnej. Niema takiej namiętności, której nie malowałyby wielki poeta-psycholog; niema charakteru, którego by nie wcielił w kreacyach tak skończonych, że imiona swoje nadały przedstawianym uczuciom. Zazdrość przywdziała raz na zawsze tragiczną maskę murzyna z Weneeyi. Miłość staje posągowo na balkonie werońskim, niby na nieśmiertelnym piedestale, dźwigającym grupę Julii i Romea, z różowioną brzaskiem jutrzeńki. Zwątpienie ściga myśl nowoczesną w postaci królewicza duńskiego z trupią czaszką w ręku: cześć córki dla ojca przybiera na siebie nieskalane kształty Kordeylii; wyrzuty sumienia błędzą po nocy z lampką Lady Macbeth.

I kiedy zalęknione takim ogromem oczy na przemian wznoszą się ku tym olśniewającym szczytom, to znów toną w tych mrocznych głębiach; kiedy tak Szekspir rozświetlił wszystkie arkana duszy i wydobywa z niej wszystkie drgające w nas samych dźwięki, doznajemy jakiegoś dziwnego wrażenia bliskości tego, co zdawało się być setkami lat od nas odległe, a zarazem dalekości tego, co niby powinno nas łączyć ze współczesnością. I marnie wtedy wyglądają wszystkie pretensye „nowożytnej duszy“ do niezgłębionych komplikacyj; i śmiesznie brzmią wszystkie „bezdnie“, „bezkresy“ i „niebosiężne absoluty“, przedrzeźniające nieskończoność w próżni frazesów, o których zapewne myślał Hamlet: powtarzając „słowa, słowa, słowa!“ Szekspir brata nas z duszą wieczną, z duszą, która zawsze i wszędzie mówi do wszystkich „ja jestem, która jestem“—i dla tego trafia do każdej publiczności; dla tego nieprawdą jest to, co o nim głoszą spekulujący na „rozrywkę“ handlarze: „że czytanie sztuk szekspirowskich w zacisznym pokoju, przy łagodnie świecącej lampie, większej dostarcza rozkoszy, aniżeli najlepsze przedstawienie teatralne.“ Temu podstępnemu aforyzmowi zadaje fałsz publiczność nawet w warszawskim teatrze, gdzie oddawna już o „najlepszem przedstawie-

niu“ Szekspira mowy być nie może: wszak „Otello“ i „Król Lear“ gromadzili niedawno w teatrze Wielkim pokaźne zastępy widzów.

Obu grał p. Leszczyński i obie kreacje przypomniły publiczności świetne momenty w dziejach talentu sędziwego artysty. Od tych czasów nie zmieniło się w tym talencie nic; zawsze zdumiewają w nim niespodzianki wytwornego artyzmu, przebłyskujące wskrósł namiętnych wybuchów temperamentu; zawsze samorzutna improwizacya splata się z żywiołowych odruchów i estetycznych przeczuć; a dusze obu bohaterów są dla p. Leszczyńskiego instrumentami, na których lubi wygrywać swobodnie swoje improwizacye.

Jest dwóch ludzi w Otellu. Dusza jego należy do ognistych stref; z weneckim strojem murzyn przywdział na się cechy wykwińskiej cywilizacyi, królewską uprzejmość, wspaniałośćomyślność szlachetną, miłość rycerską. Ale niech go musnie podejrzenie, niech go ukąsi zwątpienie — a budzi się w rycerzu Afrykanin. Oblaskawiony lew jednym susem przeskakuje do drapieżnych obyczajów pustyni. Bohater szamocący się z potworem moralnym — to cała treść tragedyi. Rzeźbiarze pragnąc uplastyczyć konwulsye, któremi ból targa ciało, wybierają na model typ atletyczny, tors Herkulesowy: poeta wybrał też charakter najwrażliwszy, bo na poły dziki, i na nim studyował objawy najgwałtowniejszej z namiętności. Tę muskulaturę temperamentową bohatera uwydatnia p. Leszczyński świetnie, a intuicya artysty umie z niej wydobyc piękne, posagowe kształty.

Jako Lear usprawiedliwia p. Leszczyński porównanie z Edysem, przeniesionym ze świata klasycznego w odmęt barbarzyństwa. Tylko, że Fatum spadło na tego mocarza nie z zewnątrz, lecz wyłoniło się z jego natury, z chaosu i nawałnicy jego charakteru. Lear zawinił i sam jest za los swój odpowiedzialny: posiał wiatr, z którego zerwała się burza i wtrąciła go w otchłań obłądki i śmierci. Burza jest też istotą jego duszy i w najtragiczniejszym momencie zespała go z naturą. Zdżiczały od rozpaczyny głos błędzącego w nocną zawieruchę króla, jednodźwięcznie szaleje z huraganem i do wtóru z grzmotami zapowiada gromy. Ale przed chwilą, w zapasach z potworną niewdzięcznością córek, ten starzec wyglądał, jak Laokoon, wijący się pod ukąszeniem gadzin, które go oplotły od stóp do głów, a zaś za chwilę uwięziony w słomianą koronę waryata, z suchym w ręku budylem, będzie miał monarszy majestat. To już nie wściekły szaleniiec, porykujący w takt piorunów w owej najstraszniejszej scenie, jaką kiedykolwiek Sztuka w wizyi fantastycznej stworzyła: kiedy

spotykają się w nawałną noc obłąd Leara, udane obłąkanie Edgara i błazeństwo trefnisia, trzy waryactwa wydane na urągowisko natury; — to istotnie „król w każdym calu!“

Charakteryzując wrażenia, jakie pozostawia gra p. Leszczyńskiego, mam naturalnie na myśli nie całość kompozycji—na tę artysta rzadko zdobywał się, nawet w młodszym wieku; ale pewne motywy, których plastyka silniej utrwala się w pamięci widza. Są to chwile, częściej dziś, niżli dawniej, przerywane paroksyzmami znużenia, naturalnego w spóźnionym wieku artysty, ale dość jeszcze potężne, żeby unieść publiczność na wyżyny sztuki. Życząc scenie naszej, żeby jej tych chwil świetnych jaknajdłużej starczyło, z rzetelnem zadowoleniem patrzyłem na gościny występ p. Knake-Zawadzkiego w roli Otella. Pod względem warunków fizycznych, nie ustępuje p. Leszczyńskiemu; z postawą sztywną, gestykulacją plastyczną, z głosem dźwięczącym szlachetnym metalem — p. Zawadzki stoi zresztą w grze na przeciwnym biegunie twórczości. Ani cienia w niej improwizacji, rozmysł natomiast w dykcji, w ruchach, w pozach, w sposobach wysnuwania psychologicznej ciągłości—refleksja ujawniająca w artyście niepośledni zasób inteligencji. Twórczość z tego źródła płynąca, może nie porywać, ale da zawsze wyniki poważne, które powinnyby skłonić dyrekcję do zwrócenia uwagi na uzdolnionego i pożytecznego artystę. Na otoczeniu bohaterów znać niestety, że trudno mu oddychać w heroicznej atmosferze. Pana Szoberta, jako Jagona, na seryo brać nie można; Desdemona w interpretacji pani Przybyłko-Potockiej, wzruszająca ofiara zazdrości Otella, nie jest córką doży weneckiego. W „Learze“ znów p. Roland w roli błazna królewskiego, wygłasza wielką ironię sytuacji w tym samym tonie modernistycznego sarkazmu, w jakim „pluł w tramwaj“ społeczny, grając rozcyganionego studenta; pani Trapszo-Chodowiecka, przedstawiając Kordelię, nie utrwaliła w grze dość plastycznie idealnego wyrazu fizyognomii tej dziewiczej istoty, w której Szekspir zjednoczył wstydlivość duszy i wstydlivość piękności. Nie znaczy to bynajmniej, że lepiej jest doradzić widzom, żeby czytali Szekspira zamiast patrzeć na przedstawienie; ale znaczy, że w Szekspira powinni wczytywać się ci, co go grają, a przede wszystkim, że potrzeba w teatrze kogoś, kto by duszę Szekspira umiał tchnąć w grających.

Kazimierz Delavigne musiał żyć w poufałych stosunkach z Szekspirem, skoro pożyczył od niego tematu do swoich „Dzieci Edwarda“ i „rozwinął“ epizod z „Ryszarda III-go;“ dla czegożby więc nie postawić Delavigne'a obok Szekspira w naszym reper-

tuarze dramatycznyn? Takie pytanie zadała sobie widocznie reżyserya w swoim chronicznem ubóstwie literackiem i oto po „Otellu,” po „Learze” zobaczyliśmy... „Ludwika XI-go.”

Nie narzekajmy przecież zbyt dotkliwie, bo widzieliśmy najlepszą rolę p. Żelazowskiego; a właściwie o cóż więcej może chodzić kiedy się patrzy na „Ludwika XI-go” Delavigne’a? Niezależnie od wszelkich kompromisów literackich autora „Marino Falleri” i „Szkoly Starców,” niezależnie od psoty, którą poeta spodziewał się wyrzucić klasykom pisząc swoją pseudo-romantyczną tragedye, „Ludwik XI” stworzony był dla Talmy; a jakkolwiek śmierć wielkiego artysty popsowała szyki Delavigne’owi, postać genialnego „budownika” Francyi pozostała rolą dla aktora i temu charakterowi zawdzięcza przeważnie długie swoje życie na różnych scenach Europy.

Przeważnie — nie wyłącznie. Trudno bowiem zaprzeczyć, że Delavigne’owi udało się pochwycić i utrwalić fizyognomię duchową tego monarchy, który, jak zauważył Paweł de Saint-Victor, był najbardziej ze wszystkich królów Francyi sponiewierany przez potomność. Poeta utrudnił sobie zadanie zamykając swoją charakterystykę w ciasnej perspektywie kilkunastu dni, poprzedzających śmierć Ludwika XI. Trzeba było rysować nadzwyczajnemi „skrótaniami” i pokazać wewnętrznego, wglądającego w siebie, odtwarzającego się we własnem strwożonem sumieniu człowieka, przy nikłem, wahającym się świetle gromnicy. Tem większa zasługa, jeżeli z pośród tych mdłych, migotliwych błysków, wynurza się chwilami nietylko legendowa mięszanina Tartuffa i Tyberysza, nietylko despota igrający głowami, które kazał ścinać, ale wielki król, namiętnie kochający ideę państwa, gospodarz, zaokrąglający Francję z chciwością, z jaką chłop przygarnia do swoich zagonów zagony sąsiada. To wszystko wydobywa się tu i owdzie znamiennymi rysami ze scenicznego wizerunku Ludwika XI-go; to wszystko nabiera prawdziwej plastyki w grze inteligentnego aktora,—a taką jest niewątpliwie gra p. Żelazowskiego.

Już maska, kunsztownie skomponowana, sprawia wrażenie portretowe, niezamącone karykaturalnemi rysami, a dusza z pod niej wyziera w spojrzaniach pełnych okrucieństwa zimnego, świadomego swoich celów, w skureczach policzków, które jak błyskawice zapowiadają piorun. I piorun uderza słowem obezwładniającem, gestem druzgoczącym, a niepozorna, przygarbiona, brzydka postać, rośnie wśród tej burzy i tragiczną maokoło siebie rozpościera grozę. Niemożna tego powiedzieć o złowrogich faworytach króla: Olivierze le Daim i Tristanie l’Ermitte, których sylwetkowe

role niewłaściwie są obsadzone. Sztucznie ku wytężeniu dramatycznej akcji wplątany Nemours, ma w p. Śliwickim bardzo szlachetnego przedstawiciela. Królewiczem, pełnym zapału, jest pan Wostrowski; pani Trapszo-Chodowieckiej, przedstawiającej córkę kronikarza de Commines'a, brak niezbędnej prostoty, zwłaszcza w pierwszej połowie tragedyi. Panu Prażmowskiemu (Coictier) nie dopisuje pamięć.

Przechodząc do dzisiejszych dramaturgów, którzy wystąpili u nas w minionym kwartale, mam-że z powodu „Komandora“ nazwać sztukę Stanisława Kozłowskiego nowożytną? Definicja byłaby zgoła nie ścisłą, nie tylko ze względu na temat anegdotycznie-historyczny, ale z powodu pobudek, skłaniających autora do wyboru takich tematów. Kozłowski zdaje się nie lubić współczesnego człowieka, jak gdyby „dzisiejszy“ był dlań zbyt indywidualnym, zbyt osobistym, zabardzo rozpościerającym się wśród stosunków, od których pragnąłby odwrócić uwagę wszystkich, aby ją wyłącznie ku sobie skierować. Wyobraźnia poety, bardzo syntetyczna, nie znosi tego wyodrębnienia duszy z pomiędzy otaczających ją innych dusz, z pośród rzeczy, wypadków, sytuacji i potrzebuje oddalenia, perspektywy, w którejby jakieś momenty życiowe przedstawiały się w malowniczym całości kształcie, w którejby fizjognomia człowieka nabierała najwięcej cech ogólnych, a charakterystyczne środowisko układało się odrazu w barwny obraz. Takie oddalenie daje dramaturgom w przeszłości historia, w teraźniejszości satyra, wszędzie i zawsze poezja. Z odległości dziejowej, psychologia bohaterów, rozjaśniona późniejszymi studjami historycznemi, staje się pod piórem dramatopisarza ryczałtową poniekąd charakterystyką, troszczącą się przede wszystkim o najwydatniejsze, optycznie zaakcentowane rysy; satyryk znowu, operujący zbiorowemi typami, unika zbliżenia z dzisiejszem indywidualnem rozdrobnieniem dusz ludzkich na atomowe jednostki i uogólniając przywary i zdrożności, buduje na tem charaktery; dla poety wreszcie dusza będzie zawsze skrzydlatą Psychą, przelatującą między otchłaniami i szczytami życia, muskającą lekko skrzydłami krawędzie wyżyn i przepaści, roskołysaną według rytmów potoczyscie płynącego wiersza, w którego muzyce echemi tylko odezwie się gra namiętności ludzkich. Rozmaitemi tedy drogami chronił się Kozłowski od „współczesnego człowieka.“ Czy słusznie? czy istotnie życie otaczające poetę ze wszystkimi swemi cierpieniami, radościami, wstrząśnieniami, z całą tragedją chwiałających się, na przelomie, światów moralnych, intelektualnych, uczuciowych, społecznych, nie przemawia do niego mnogością mo-

tywów dramatycznych? — o to spierać się z nim w tej chwili nie mam zamiaru. Notuję fakt i pozwalam sobie domyślać się przyczyn; przypominam nadto, że sam fakt ma już na scenie i w książce rozmaite ilustracje.

Zaakcentujmy to wyraźnie: *w książce i na scenie*, bo wiadomo, że nie wszystkie utwory Kozłowskiego dostały się do repertuaru: najlepsze tkwią dotąd na zadrukowanych stronicach, z przyczyn, niezależnych od poety. Kiedyś, może te przyczyny miną; wtedy autor „Alberta Wójta“ i „Esterki“ wystąpi przed publicznością w charakterze dramaturga historycznego w szerszym stylu.

W „Komandorze“ pokazano nam Warszawę, a raczej zakątek Warszawy, gdzie pod koniec „oświeconego“ XVIII wieku, oczy znuzone światłem racjonalizmu, szukają mistycznych cieniów tajemnicy, bodaj w siedzibie szarlataneryi i kuglarstwa. Bohaterami są Józef Balsamo, znany w ówczesnym świecie pod nazwiskiem hrabiego Cagliostro i kochanka jego, podawana za żonę maga, Lorenza Feliciani. Rozstawiona ta para nie miała właściwie nic nowego do powiedzenia ze sceny po epickim cyklu Dumasa ojca („Pamiętniki lekarza,“ „Naszyjnik królowej,“ „Ange Pitou“ i „Hrabina Charny“); ale w awanturniczych wędrówkach swoich po kilku częściach świata, podobało jej się zawadzić o nasze miasto. Autor „Komandora“ poprzestał na zbliżeniu Balsama w zręcznie obmyślanej intrydze z stolnikiem Moszyńskim, który, poddawszy się całkowicie urokowi czarnoksiężnika, topił z wolna swoją fortunę w jego tygielkach alchemicznych i kieszeniach prestidigitatorskich, romansując przytem, ku rozpaczce pani stolnikowej, z piękną Lorenzą. Pokrzywdzona małżonka, postanawia zdemaskować awanturnicę, niedawno jeszcze, według krążących wieści, wmieszaną w tajemniczą sprawę „naszyjnika królowej“ i jakoby publicznie w Paryżu przez kątą piętnowaną; zapisuje się więc do niewieściej łoży masonskiej, ufundowanej w Warszawie przez „wielkiego Koftę“ i tam podczas posiedzenia wtajemniczonych sióstr „rózanego krzyża,“ przy pomocy ojca jezuity, śledzącego kroki Cagliostro, zmusza kochankę hrabiego do wyznania całej krwawej prawdy. Sytuacja jest efektowna i ze znajomością sceny przygotowana, zwłaszcza, gdy rozwiązuje się na tle egzotycznych, wolnomularskich obrzędów. Nie potrzebujemy kłaść na to nacisku, że tło silnie nęciło autora; odgrywa ono w „Komandorze“ podobną rolę, jak cechowe stosunki w komedyi „Pod Okrętem,“ a jeżeli ceremonia dzieciennie trochę wygląda na scenie, to wina nie autora, lecz „farmazonów,“ którzy taką maskaradą osłaniali nawet swoje poważne roboty. Dla szerokiego zastępu widzów, jest zapewne ta maskarada zupełną nowością,

podtrzymującą do pewnego stopnia tajemniczy nastrój w otoczeniu obojga bohaterów i wzmacniającą natężenie dramatycznego napięcia; nie więc dziwnego, że zawiązana z tak niezwykłych motywów akcja, musiała zaciekawić publiczność, która dotąd na przedstawieniach „Komandora“ licznie się gromadzi. Autorowi dopomagają gorliwie artyści. Pan Wostrowski, w roli Cagliostro, niedość może w obejściu ujawnia nawykłego do obcowania z wytwornymi sferami wielkoświatowego szalbierza; natomiast umie dykcją, ruchami, pozą wywołać efekty teatralnej tajemniczości; pani Trapszo-Chodowiecka jako Lorenza, zdobywa się w opowiadaniu o swych losach na szczerze dramatyczną siłę. Po za dwójgiem bohaterów lekko naszkicowane sylwetki stolnika i jego żony, mają dobrych przedstawicieli w panu Śliwickim i pani Trapszo-Krywultowej. Kanclerza, wspaniale przedstawia p. Leszczyński. Nie pomińmy pani Lüdowej, pp. Wilczyńskiego i Bednarczyka w rolach księżnej Izabelli, ojca stolnikowej i księdza jezuita.

Wystawienie „Kramarzów“ p. Artura Sliwińskiego będzie zapewne poczytane za zasługę obecnej reżyserji przez zwolenników ceł ochronnych w literaturze. Jest takich sporo, zwłaszcza między piszącymi, ale nie powinien do nich należeć poważny kierownik repertuaru. Wystawiać sztuki nie dla tego, że dobre, tylko dla tego, że oryginalne, jestto wyświadczać najgorszą przysługę polskiej literaturze scenicznej. Taki system protekcyjny, mnożąc grafomanów, dyskredytuje jednocześnie prawdziwe talenty w oczach publiczności, która, sparzona na gorącym, dmucha na zimne i z nieufnością przystępuje do każdego oryginalnego utworu. Tego oczywistego pewnika nie chciał nigdy uznać p. Ładnowski w ciągu kilkakrotnych swoich nawrotów reżyzerskich, mimo że pusty teatr po kilku, czasem po paru przedstawieniach, powinien być przekonać reżysera najwymowniejszym argumentem. Tak było z „Dostojnymi igraszkami;“ tak się stało z „Kramarzami.“

Zestawiając te dwie sztuki na gruncie frekwencji, nie chcę bynajmniej twierdzić, że pod względem wartości obie stoją na jednym poziomie; jest może więcej zacięcia, humoru, nawet dowcipu w dyalogach „Kramarzów,“ ale zmysł spostrzegawczy obu autorów, jednakowemi, zda się, chadzał drogami. Aristokraci p. Morawskiego, są dziećmi przyniesionemi scenie przez... „Bociana,“ a p. Śliwiński do odwzorowania sfery handlowej pożyczal barw z tej samej palety, którą posługują się specjaliści od malowania „opastych burżujów.“ Wynik jest tu i tam podobny. U p. Morawskiego wszyscy hrabiowie i książęta przegrywają w karty majątki, sprzedają swoje żony, polują na niewyraźnych a pieniąż-

nych zięciów; u p. Śliwińskiego wszyscy handlujący są kramarzami bez sumienia, zbijającymi grosze na tandecie i po za rachubą a interesem, nie uznającymi w życiu żadnych innych celów. Gdy więc o środowisko chodziło autorom przedewszystkiem, a środowisko obserwowane jest, że tak powiem, przez dziurkę od klucza, to obojętnem jest w obu razach, co się na tem tle dzieje. Nic też nikogo nie obchodziło, czy ostatecznie syn handlarzy perkalków, lampart, nienawidzący procedury swych rodziców i wielomównie na ten temat dowcipkujący, odwiedzie swoją siostrę, separatkę, od rzucenia się w objęcia pierwszemu subjektowi; z zupełnym również spokojem dowiedziano się, że ten młody rozpróżniaczony satyryk ożeni się w końcu z wzorową kasyerką. Po trzech czy czterech wieczorach, publiczność przeszła nad tem wszystkiem do porządku dziennego i „Kramarze“ znikli z repertuaru, naraziwszy tylko cały dość liczny komplet grających, którzy starali się poroniony utwór utrzymać przy życiu — na nie potrzebną stratę czasu. Można było doprawdy zająć czemś dla sceny pożyteczniejszem takich artystów jak pp. Roland, Wostrowski, Wojdałowicz i pani Trapszo-Chodowiecka.

III.

Szekspir na scenie — Szekspir na estradzie! Współzawodnictwo zrobiło swoje; powiedzmy jednak odrazu, że w Filharmonii poezya ani sztuka nic na tem nie zyskały. Pani Mrozowska, aspirująca do wszechstronności, grała scenę z „Romea i Julii“ — i tu dopiero pokazało się, że można być wirtuozką w modernistycznym erotyzmie, a niezdość się na najprostszy wyraz naiwnego uczucia. Miłość niby tu i tam, z jednakowym, zdawałoby się, zmysłowym podkładem, a jednak heroina „Szału“ Strindberga, dysząca żądzą w lasku Bulońskim, stanęła bezradnie na balkonie w Weronie; pod dyrekcją skandynawskiego mizogyna, nerwy pani Mrozowskiej grały demoniczną symfonię; w cudnym Szekspirowskim nokturnie, nie słyhać było ani jednego szczerzego uderzenia serca. I nie potrzeba nawet Szekspira do scharakteryzowania tych biegunowych różnic erotycznej ekspresji w grze pani Mrozowskiej. Widzieliśmy artystkę krakowską na scenie warszawskiej, jako Psyche w poemacie dramatycznym Żuławskie-

go. Jeżeli gdzie, to tam, miłość występuje w najrozmaitszych formach, stylach, nastrojach; jeżeli gdzie, to tam, przedstawicielka wędrującej przez dzieje kochanki Amora ma sposobność potraćać wszystkie struny swej lirycznej lutni. Pani Mrozowska grała na niej umiejętnie; doskonala w kolejnych metamorfozach aktorka, artystką była tylko w postaci kapłanki nowoczesnego Erosa. Cała, że się tak wyrażę, obrzędowa strona tego kultu, z bankierem, jako oficjalnym celebrantem, i z rzeszą szalejących na jego koszt korybantów, wyraziła się w interpretacji pani Mrozowskiej, jakimś niepokojącym upojeniem z dziwną przytem plastyką w dykcyi i ruchach; tylko dusza, której poeta kazał tęsknić za wyzwoleniem, nie ozwała się ani w słowie ani w geście. Oczywiście że „szał“ w ten sposób pojęty, rozwichrzył się z całą swobodą w dramacie Strindberga. Bohaterka jest *une detraquée*, jakby ją Francuzi nazwali, okaz patologiczny, który tylko z chorobliwej nienawiści do kobiet mógł się narodzić. Siostr miała przedtem dość ta heroina; do tej samej rasy należy i owa Laura w dramacie „Ojciec,“ narzucająca mężowi w walce o władzę nad dzieckiem kaftan waryata i „Panna Julia,“ zwyrodniała arystokratka, padająca w paroksyzmie zmysłowym w objęcia lokaja; ale heroina „Szału“ prześcignęła je wszystkie. To już poprostu utwór monomana; „szał“ właściwie ogarnął samego autora, który rozsznuwa przed widzem swoje hallucynacyjne wizye w szeregu scen, przerzucających go ustawicznie od najjaskrawszego naturalizmu do jakichś satańskich symbolów. Najplastyczniejszy z nich: kobieta-wampir, wpijająca się zabójczym pocałunkiem w pierś niedołęznego (jak zwykle u Strindberga) mężczyzny, jak gdyby mu z serca wszystką krew wyssać chciała, przeszedł bez wrażenia — nie z winy pani Mrozowskiej. Nie każda symbolika znosi zetknięcie ze sceną, najmniej właśnie taka, która do umysłownienia potrzebuje histerycznego paroksyzmu. To też owo *pendant* do Szekspirowskich kochanków: dzisiejszy Romeo i nowoczesna Julia, połączeni upiornym uściskiem w modernistyczną grupę, miast grozy uśmiech tylko wywołali na usta publiczności. Uśmiech był naturalnie zaadresowany do Strindberga; artystom, przedstawiającym jego chorobliwą fantazyę, oddano należną sprawiedliwość.

Rzecz dziwna, że aktorki specjalnie uzdolnione do wcielania typów patologicznej namiętności, z równą swobodą poruszają się w sferze chłopskiej. Wanda Siemaszkowa, pływająca w modernizmie, jak ryba w wodzie, jest doskonałą młynarką w „Zaczarowanym kole;“ pani Laura Pytlińska, która tak obiecująco rozpo-

częła swój zawód od dramatów Przybyszewskiego, zaciekała wszystkich rolą chłopki w teatrze „Miłośników;“ wreszcie pani Mrozowska, po „Zakochanej“ Porto-Riche'a najsutsze może okłaski zbierała jako Marysieńka w „Przełomie“ p. Kazimierza Krzyżanowskiego. Byłażby jakaś, niedość dotąd zbadana, łączność między instynktami, przyoblekającemi u góry strój prerafinowanej kultury, a psychiką żywiołowych natur u dołu?

Autor „Przełomu“ przecząco odpowiada na to pytanie — choćby jednak odpowiedź sporną być miała, to ciekawy jest w każdym razie sposób, w jaki została sformułowana. Dał ją p. Krzyżanowski na podstawie wyjątkowych wprawdzie, lecz niemniej aktualnych stosunków. Pomijam większą lub mniejszą poprawność tego rodzaju zapożyczeń z życia: jestto kwestya, co do której sprzeczać się można; dość, że idzie tu o małżeństwo artysty z chłopką.

Jerzy Wielowiejski, rzeźbiarz, zakochał się bez pamięci w córce sołtysa, Wojciecha Zareby; że zaś jest uczciwym człowiekiem, więc mimo rozsądne, acz cokolwiek interesowane ostrzeżenia miłującego Marysieńkę Walentego Grzesiaka, kowala; mimo dyskretne uwagi przyjaciela, Maryana Leśniewicza—prowadzi ukochaną do ołtarza. I następuje to, co nastąpić musi, jeżeli się nie dzieje na gruncie wyjątkowych stosunków, na które patrząc, powinien był autor dostrzedz przedewszystkiem tę właśnie wyjątkowość. Wszystko, co artystę w Marysieńce pociągało przed ślubem, inaczej mu się wydaje po ślubie; idealna szczerość, wygląda jak popolitość; wymarzona prostota, staje się w jego oczach prostactwem; wcielona w żonie natura, która miała być dlań czystem, niezamąconem źródłem natchnienia, odzywa się gminnym językiem ciemnego, w ciasnych wiejskich opłotkach zamkniętego, środowiska. I gdyby z tych artystycznie zgrupowanych przeciwstawięń wysnuła się była teza, którą może miał p. Krzyżanowski na myśli; gdyby autor przedstawił był w związkach panien „z towarzystwa“ z dobrze zbudowanymi góralami, i „inteligentów“ z urodziwemi chłopkami, to co w nich po większej części tkwi: modny motyw literacki, wprowadzony do życia, dla osłonięcia zwykłych zmysłowych bodźców, „Przełom“ mógł był stać się interesującym utworem. Niestety! p. Krzyżanowski popsuł wszystko komplikacją zdrady małżeńskiej.

Do pracowni Wielowiejskiego przychodzi pozować bardzo swobodna mężatka, pani Izabella Zieniicka, która „zagięła parol“ na artystę. Manewry jej nie uszły bystrych oczów Marysieńki i w zaniedbywanej już żonie potęgują z każdym dniem cierpienia,

dopóki nie doprowadziły do jawnego wybuchu, druzgoczącego zazdrośnemi rękami chłopki arcydzieło artysty. Wybuch, jako wyraz krzywdy, zwraca oczywiście całkowitą sympatyę widza ku pokrzywdzonej, ale rozwiewa też bez śladu samą tezę. Mniejsza, czy większa wina. męża, ani jego nawrócenie, nie mają nic wspólnego z tragedją artysty, który musiał chyba przekonać się, że wymarzone szarmonizowanie dwóch światów, nie mających ze sobą żadnego punktu zetknięcia, jest poprostu nieziszczalną utopią. Dla publiczności zupełnie jest obojętnem, jak po tem pojednaniu będą żyć mąż z żoną; pragnęłaby natomiast dowiedzieć się, co się stanie z rzeźbiarzem przy boku kochającej, ale nie rozumiejącej artysty chłopki; a tej uprawnionej zupełnie ciekawości nie zaspokoi przecież końcowa, równie gołosłowna, jak niepsychologiczna deklamacja Wielowiejskiego, o nastąpionym jakoby w nim „przełomie,” dzięki któremu miłość Marysieńki będzie dlań odtąd jedyną siłą twórczą. Utwór p. Krzyżanowskiego jest, jak widzimy, przy niezaprzeczonych zaletach w rysunku postaci charakterystycznych, chybionym w pomysle i w przeprowadzeniu tematu; nastreczył jednak sposobność takim artystom, jak pani Mrozowska, pp. Zelwerowicz i Brydziński do mniej więcej świetnych produkcji i tym sposobem utrzymał się przez pewien czas na repertuarze teatru łódzkiego.

Na inny biegum życia rodzinnego przerzuciła nas sztuka Hermana Heyermannsa p. t. „Łańcuch:“ znaleźliśmy się w środowisku przemysłowem, wśród którego śledzimy losy holenderskiego Leara. Z domu wprawdzie nie wyrzuciły Pankracego Duifa dzieci, których wyposażył, pożenił i za mąż powydawał, ale mu życie tak zatruiły pod jego własnym dachem, gdzie odsunięty przez syna od zetknięcia z ufundowaną z własnej krwawicy fabryką, pędzi życie prawie bezczynne, że możnaby usprawiedliwić zalecanki długoletniego wdowca do młodej i ponętnej, a trzymającej się odpornie gospodyni. Możliwość—gdyby nam Pankracy nie motywował swoich matrymonialnych zamiarów tak bardzo po holendersku i w treści i w formie. Kiedy się bratu spowiada ze swoich projektów, nie oszczędza nam ani wyrzeknięć na samotnie po śmierci żony spędzone noce, ani nawet wzmianki o rozpaczliwych wycieczkach do pewnych domów z czerwonymi latarniami— a wszystko ze szczegółami i drobiazgami, widocznie ze szkoły malarskiej zapamiętaniami. Ach te holenderskie drobiazgi i szczegóły!—jak one szkodzą „Łańcuchowi,” posiadającemu na prawdę tegie i do-
brze odrobione ogniwa!

Bo niema wątpliwości że owe, jak je autor nazwał „sceny z życia rodzinnego,” są utworem bystrego obserwatora. Jest tam w akcie trzecim moment, kiedy cała familijka zgromadzona patriarchalnie około lampy, pasy drze z ojca *in effigie* i nie cofa się przed potwornym pomysłem zakwalifikowania człowieka, któremu wszystko zawdzięcza, do domu waryatów. Niepodobna z krwawszą ironią sięgnąć do głębin, niedość może jeszcze zbadanego „egoizmu rodzinnego.“ Ten „łańcuch“ — to nietylko nazwa fabryki, to symbol żelaznych więzów, krępujących samolubstwem dzieci każde drgnienie za osobistym szczęściem takiego nawet rodzica, który je przez całe życie dla swoich najbliższych poświęcał. I tu również Hermann Heyermanns nie pominął żadnego, najdrobniejszego rysu; brzydota, nawet ohyda moralna, występuje bez maski, bodaj nawet z wykrzywieniem odrażającego cynizmu.

Rada familijna postawiła oczywiście na swoim; z ukradzionych ojcu przez najmłodszego synka papierów, dowiedziano się, że Maryanna nie jest wdową, za jaką się podała, że synek jej—to dziecię błędu; i brutalstwem względem nieszczęśliwej kobiety, która przecież po oświadczeniach Pankracego, wyznała mu sama całą prawdę, zmuszono ją do opuszczenia domu, gdzie staremu człowiekowi wniosła trochę radości. Dzieci trzymają ojca na łańcuchu „swojej“ rodziny, do własnej wyrwać mu się nie pozwolą. Gdyby nie zbytne lubowanie się w detalach środowiska, gdyby tło nie wchłaniało zbyt często konturów charakterystyki działających figur, możnaby przypomnieć sobie nieraz, że Heyermanns jest autorem „Nadziei,” która w swoim czasie cieszyła się tak szerokim rozgłosem. Bądźco bądź publiczność zapoznała się z niepospolitym talentem,—a to dziś nie tak znów często się zdarza, aby nie było warte zaznaczenia.

Z pośród grających wyróżniła się najkorzystniej para bohaterów głównych. Pan Kotarbiński traktował rolę Pankracego Duifa z dużym zasobem inteligencji; pani Natalia Pomian zwróciła znów sympatyczną uwagę widzów szczerością i prostotą, któremi pociąga odzwyczajoną już od tych kardynalnych zalet publiczność.

Filharmonia pozazdrościła teatrowi warszawskiemu incydentu z Szopenem i zdobyła się na swój własny incydent z Mickiewiczem; tym sposobem estrada zrównała się poniekąd ze sceną przed trybunałem artyzmu. Wiemy, jak w swoim czasie oburzano się na Orficego, za jego operę „Szopen;“ dostało się więc i panu Edwardowi Puchalskiemu za udramatyzowanie „Pana Tadeu-

sza.“ A tymczasem publiczność śpieszyła i śpieszy dotąd do teatru wielkiego napawać się melodyą; a sala Filharmonii nie może pomieścić widzów, spragnionych poezji. Sytuacja więc tak się oryginalnie ułożyła, że protestujący w imieniu „czystej sztuki,“ nie mają nawet na poparcie swych protestów zwykłego argumentu o zepsuciu smaku publiczności: bo w rezultacie cóż ciągnie słuchaczy na operę Oreficego? — muzyka Chopina; a co daje rozkosz widzom w Filharmonii? — poezja Mickiewicza. Pozostaje więc w rękach „protestantów“ wielki atut oburzenia na zuchwałstwo gwałcicieli arcydzieł i na sposób, w jaki się gwałtów swoich dopuścili. Na pierwszy zarzut obaj „winowajcy“ mają jedną i tę samą odpowiedź: „w całej operze, mówi muzyk, niema ani jednej nuty, która nie należałaby do Chopina;“ „w całej adaptacji, zastrzega inscenizator, niema ani jednego wiersza, któryby nie był wyjęty z „Pana Tadeusza.“ Nie może być zatem mowy o żadnem zuchwałem manipulowaniu cudzym materiałem do własnych elukubracyj, o dowolnem na tle tego materiału haftowaniu swoich pomysłów: Chopin pozostał Chopinem i Mickiewicz pozostaje Mickiewiczem. Co do sposobów „przystosowywania“ do sceny, są oczywiście znaczne różnice: Orefice jest zawodowym muzykiem, miał więc do rozporządzenia gotową, pod wielu względami mistrzowską technikę, która mu duże wyświadczyła przysługi; p. Edward Puchalski dowiódł tylko wielkiego kultu dla Mickiewicza, ale kult nie zawsze mógł mu wystarczyć.

Rzecz prosta, że w ten sposób „przerobiony“ *Pan Tadeusz* nie może dać ze sceny pojęcia o epopei tym, którzy jej nie czytali — i to jest najślabsza strona przeróbki, bo mnóstwo „nowożytnych,“ zapewne dopiero z tej inscenizacji, dowiedziało się, że „coś podobnego“ pisał „pan Mickiewicz.“ Ale za to ci, co „Pana Tadeusza“ na pamięć umieją, z jakim umiłowaniem, dośpiewując sobie wszystko w duszy, spoglądają na wypieszczone tam oddawna postacie! Wrażenie podobne do tego, jakiego doznaje się, oglądając ilustracje znanego dobrze, sercem ukochanego dzieła: z tekstu pamięta się każde słowo, a obrazy utrwalają tylko w myśli najpiękniejsze jego momenty. Kto, z góry wiedząc, że takich a nie innych ma szukać wrażeń, idzie po nie świadomie do teatru, ten je niezawodnie znajdzie i nie będzie formułował oskarżeń o obrazę majestatu sztuki, zwłaszcza, że ilustracje nie są pozbawione artyzmu. Subtelnie odczytym jest Hrabia w grze p. Tarasiewicza, który już w Krakowie zmierzył się był z innym arcydziełem Mickiewicza, z „Dziadami;“ bardzo stylowo przedstawia Telimenę panna Słubicka, artystka inteligentna i uzdolniona; p. Orliński, jako Wojski,

z kontuszową fantazją wygłasza powieść o pojedynku Dowejki z Domejką; wreszcie p. Kotarbiński w opowiadaniu o łowach i w scenie przedśmiertnej spowiedzi Robaka, jako doświadczony i wytrawny artysta, uplastycznia wszystkie epickie i dramatyczne piękności poematu. Spór o nietykalność „Pana Tadeusza“ idzie tedy swoją drogą, zaś publiczność swoją drogą spędza w Filharmonii najprzyjemniejsze może wieczory. A są w tej przyjemności szlachetne pierwiastki, wobec których można doprawdy z pewną obojętnością traktować taki lub inny wynik sporu.

WŁADYSŁAW BOGUSŁAWSKI.

Dawny Zarząd Wawelu.

Legendy oplotły w barwne powieści początki polskich dziejów, czyny tych przodków naszych, którzy wśród trudów i walk z ziemią i jej siłami, zdobywali sobie nad nią władzę, w tych zapasach doskonalili swe siły i zdolności do dalszych bojów, coraz szerszych, coraz krwawszych, bo do walk z ludźmi o byt narodu, jego rozwój i świetność. Dziś nauka stara się rozproszyć mgły, które zasłaniają pierwotne dzieje, by światłem pochodni, które zapala wiedza, rozjaśnić te epoki, takie długie wieki trwające, a tak na pozór ciche i spokojne, jakby się w nich nic nie działo. Znikł w świetle tych badań ten zamysłony Słowianin z długimi, lniącymi włosami, łagodny i gościnnie, wzór wszystkich cnót i... niedołęstwa. Ani taki potulny był, ani taki niedołączny — kształtował się jego charakter w boju, tak jak innych narodów; do pałki czy miecza miał dłoń tak sposobną, jak i jego sąsiedzi. Na walce schodzi mu życie. I lepiej odczuła go legenda, mówiąca o bitwach i zbrodniach, o smokach i z sobą walczących braciach, niż ta idylliczna historia, co brak siły u potomków tłómaczyć chciała dziedzictwem po ojcach i dziadach. A jako świadki tych krwawych zapasów, odkryła nauka na obszarach, co później Polską się zwać miały, długi szereg grodów, których początek sięga w głęboką, przeddziejową jeszcze przeszłość narodu. Wśród nich jest i ten, który miał później pierwsze między grodami zająć miejsce—Wawel.

I.

Kasztelanowie.

Jaki był zarząd Wawelu, pierwszy, najstarszy? Kto był ten, który ten gród założył? Czy jaki starosta rodu, czy może już który z książąt wiślańskich, o których głuche u historyków wieści? Czy to on zwał się Krakiem, od którego swoją nazwę wzięła ziemia, u stóp Wawelu rozpostarta? Jakiemu bogu budowano tu gontyny, składano ofiary? Daremnieby szukać odpowiedzi. Zaginęły ślady, jak zaginęli ci pierwsi władcy Wawelu, ustępując miejsca — obcemu, sąsiadowi od zachodu. Lecz nie długo było czeskich rządów nad Wisłą. Już koło Gopła i Gniezna zaczęło wzrastać nowe państwo pod Piastów rządami. Młodym władcom śpieszno, by rozszerzyć granice swej władzy. Niedługo już miał krakowski gród dostać się w ich ręce, stać się punktem oparcia ich władzy nad dużym szmatem polskiego kraju.

Rozważnie, powoli, organizują Piastowie swoje państwo, starając się zużytkować te formy, które wytworzyła przeszłość. Rozliczne grody prastare, jak Wawel, rodów lub plemion niegdyś centra, włączono do państwowej organizacyi, na nich ją oparto. Grody — to twierdze przedewszystkiem. Kto grody ma w rękę, ten włada krajem. O grody toczą się te zacięte walki, o których tak często słyhać. Coraz to nowe powstają, zwłaszcza na granicy. O grody też oparli później książęta polscy i ustrój olbrzymich swoich majątków, tak, że kto w grodzie władał, ten nie tylko go bronił, lecz także zarządzał przydzielonemi do grodu dobrami, ściągał daniny, odbierał robocizny, w grodzie gromadził w piwnicach i śpichrzach zapasy zboża, skór, piwa czy miodu.

Nie znamy pierwotnej polskiej nazwy tych, których książę po grodach osadzał jako swoich urzędników. Po łacinie zwano ich nazwą zapożyczoną: vicedomini lub vastaldiones. Lecz wkrótce zaczęli Piastowie mianować zarządcami grodów wybitnych ludzi z swego orszaku, których zdaje się wówczas: comites — po łacinie, po polsku może kmieciami lub żupanami zwano. W odróżnieniu od innych comites, dworskie spełniających funkcye, określać ich zaczęto, jako: comites castellani, a od XIII wieku, od tej ich łacińskiej nazwy, jako kasztelanów.

Do takich grodów i Wawel należy. Dostał on z ramienia Piastów zarządcę, który później zwać się zaczął krakowskim kasztelanem. Prócz obrony zamku otrzymał ten kasztelan zarząd

obszernych dóbr, których centrum stanowił Wawel, dóbr tworzących więc krakowską kasztelanię. Ale jeszcze to tylko jeden z licznych grodów, nie ważniejszy od innych. Jeszcze punkt ciężkości państwa leży na wielkopolskich równinach, to znów na Mazowsze się nawet przenosi. Ale książę nie ma stałej stolicy. Z miejsca na miejsce jeździ, z grodu do grodu, wraz z licznym dworem, by osobiście nadzorować zarząd państwa, blaskiem potęgi i świetności utrzymywać powagę swej władzy, świetnemi uczciami, hojnymi darami, z zapasów po grodach zebranych, nagradzać wiernych sobie, zyskiwać innych. Od upodobania władcy, od potrzeby zależy, w której stronie państwa dłużej przebywa. Coraz częściej zaczyna spotykać się go w Krakowie — coraz wybitniejsze zaczyna sobie zdobywać stanowisko krakowska siedziba — Wawel.

Kiedy przyszło po Krzywoustym do podziału kraju, który Polskę rozbił na dzielnice, krakowska ziemia zyskała już stanowczą przewagę, jako ta, którą miał władać zawsze „senior,” głowa dynastji, zwierzchnik innych dzielnic. O seniorat długo toczy się walka, nim wreszcie o nim zapomniano w ciągu XIII stulecia. A ta walka — to walka o posiadanie Wawelu. Kto Wawel miał, ten był księciem krakowskiej ziemi, ten mógł sobie rościć pretensje do praw seniora. Rosła wskutek tego powaga krakowskiego kasztelana. On był stróżem zamku, gdzie siedział senior, od niego najczęściej zależało, kto tu władać będzie, bo on mógł wydać gród temu, kogo uznał za pana. A gdy o seniorat przestano toczyć boje, krakowska dzielnica pozostała i tak na długo celem zabiegów książąt, którzy o nią często krwawe toczą walki. Dalej więc utrzymuje się to wybitne, rozstrzygające często znaczenie kasztelana. I kiedy w innych dzielnicach wszędzie kasztelanowie ustępowali miejsca innym urzędnikom: wojewodom, jako zastępcom książąt, w krakowskiej ziemi inaczej się stało. Za rządów Bolesława Wstydliwego kasztelan krakowski zyskał pierwszeństwo przed wojewodą, jako pierwszy z dostojników wśród urzędów dzielnicy. Kiedy zaś zaczęto łączyć dzielnice, kasztelan krakowski utrzymał to swoje naczelne stanowisko nie tylko wobec krakowskich, ale wobec wszystkich innych urzędników państwa. Gdy też ostatecznie — później znacznie — z najwyższych dostojników duchownych i świeckich: biskupów, wojewodów, kasztelanów i ministrów, wytworzył się senat, pan krakowski, jak go zwano, po duchownych pierwsze w senacie zajął miejsce, przed wojewodami nawet, jako „princeps senatus.” Kasztelania krakowska, to najwyższa godność świecka w Rzeczypospolitej,

aż po ostatni kres jej bytu. A temu to zawdzięczał kasztelan, że w jego rękach niegdyś znajdował się zarząd wawelskiego grodu.

Na tym zarządzie wyrosło jego znaczenie, choć go utracił dość wcześnie, choć tytuł mu tylko pozostał na dalsze wieki. Już w XIII wieku zaczyna zaniedbywać krakowski kasztelan, tak jak i inni, swoje obowiązki. Coraz bardziej cały zarząd grodu zdaje na tych, którzy pierwotnie są tylko jego pomocnikami: wojski, do pomocy w obronie twierdzy; wódarz do zarządu gospodarczych spraw kasztelanii; sędzia kasztelański do wykonywania sądownictwa nad ludnością, w dobrach kasztelanii osiadłą. Kasztelanów zajmować zaczynają głównie sprawy państwa — polityka, powiedzielibyśmy dzisiaj. Stają się doradcami księcia, dostojnikami z urzędników — kasztelanowie krakowscy w stopniu wyższym, niż inni. Przeżył się ten urząd. I kiedy w XIV wieku Łokietek i Kazimierz Wielki podejmują reorganizację państwa, by pchnąć je na nowe tory, jedną z pierwszych spraw, której podjąć się musieli, była reforma ustroju grodowego. Reforma ta, choć stopniowo została przeprowadzoną, była bardzo radykalna. Kasztelanowie zrzekli się zarządu grodów i dóbr z grodami związanych, zatrzymując — prócz sądownictwa w niewielkim zakresie — część tych dóbr, jako swoje już wyłącznie uposażenie. Tak stało się i w Krakowie. Krakowski pan dostał sporo ziemi — zwłaszcza późniejszy wielki klucz myślenicki; zatrzymał wybitne stanowisko w państwie, jako pierwszy doradca korony. Zrzekł się zaś zarządu grodu, ustąpił wraz z tymi, co go dotąd zastępowali. Znikł wódarz, nieco później i sędzia kasztelański; przy tytule prawie tylko ostał się wojski. Zarząd Wawelu w inne przeszedł ręce.

II.

B u r g r a b i o w i e.

Po krakowskich panach objęli spadek inni ludzie. Krakowski zamek dostał się w ręce burgrabiów i wielkorządców. Do nich należy odtąd zarząd tych murów, straż nad tą twierdzą, która była siedzibą królów; piecza o te gmachy, które w biegu dziejów rozrastają się i potężnieją, coraz dumniej i wspanialej wieńcząc szczyty Wawelu, w miarę czem większą i groźniejszą staje się gotycka Polska Kazimierzów, czem świetniejszą i błyskotliwszą za renesansu Zygmunatów. Kasztelanowi pozostał świetny

tytuł i hojne uposażenie. Następcy jego te, które on niegdyś, mieli spełniać funkcje, ale skromniejsi oni, urzędnicy, nie dostojnicy. Nie tytuł ich zdobi, lecz pamięć o tem, co zostało z ich pracy, z ich dbałości o zamek. Nie jednego imię zachowuje dziś historia. Aż gdy ta Polska do upadku chylić się zaczęła, i te urzędy, choć się utrzymały już odtąd do końca jej bytu, zamarły w nieczynności i niedbalstwie, stały się celem zabiegów tych, którzy szukali czy dochodów w zarządzie wielkorządów, czy choć skromnego tytułu w burgrabstwie krakowskiego zamku.

Burgrabiowie wzięli, jako swój udział, wojskową straż Wawelu. Już za rządów czeskich Wacławów zjawia się pierwszy burgrabia: Zbrosław (1294). Nie przetrwał jednak na razie ten urząd panowania Przemyślidów; znikł, by znów się zjawić za Kazimierza Wielkiego. Pierwszy z nich, którego imię zachowały nam dzieje, to Andrzej Wawerowski (r. 1356). I odtąd biegnie szereg burgrabiów, długi — coraz dłuższy i liczniejszy. Krakowski zamek dzielił los wszystkich grodów małopolskich;—we wszystkich pojawiają się w miejsce kasztelanów burgrabiowie. Wkrótce jednak, po śmierci Kazimierza Wielkiego, przeprowadzają królowie nową organizację Małopolski, tworząc urzędy starostów, dawniej już, jeszcze przez Łokietka, w innych ustanowione dzielnicach. Między starostami a burgrabiami małopolskich grodów rozpoczęła się walka o gród, bo i jedni i drudzy rościli sobie pretensje do wojskowego zarządu grodu; zaciasno im było koło siebie. Przy starostach pozostało zwycięstwo w tej walce; znikli małopolscy burgrabiowie już w ciągu XV stulecia, a jeżeli się gdzie po grodach ostali, to tylko, jako podwładni starostów. Lecz jest jeden wyjątek: to burgrabiowie krakowskiego zamku, którzy nie podzielili losu swoich kolegów, bieckich czy sądeckich; nie zanikli, utrzymali się i nadal w swojej godności, jako burgrabiowie przez króla mianowani, jedyni na całym obszarze rozległego, polskiego państwa. Ostali się obok starosty, niezależni od niego, choć i na Wawelu siedzi starosta już w najbliższych latach po zgonie ostatniego z Piastów (od r. 1372). Ale tu miejsca nie brakło — dla katedry i sług kościoła, czy dla królewskich pałaców, lub grodu starosty wreszcie, który stanął u wejścia do dziedzińca zamku, jako siedziba władz ziemi i powiatu. Do grodu tu tylko ograniczała się władza starosty; dopiero pod koniec rządów Zygmunta Augusta nadano mu pewną zwierzchność i nadzór nad burgrabiami, choć pozostali oni nadal, jako królewscy urzędnicy. Jak straż zamku wyniosła kasztelana na czoło dostojęństw świeckich, tak i tych burgrabiów powaga zamku, którego mieli strzedz i bro-

nić, ochroniła od zaginięcia. Zwiększa się tylko ich liczba — już w XV wieku; Kromer liczy ich dziesięciu, i ta cyfra utrzymała się aż do Stanisława Augusta, który ją zwiększył do dwunastu.

Daremnieby było szukać jakichś instrukcyj królewskich, określających obowiązki burgrabiów. Jak w tyłu innych kwestyach w życiu państwa polskiego, rozstrzygał o ich prawach i powinnościach zwyczaj, długoletnia, wiekowa praktyka. Zadaniem burgrabiów było strzedz zamku, jego bezpieczeństwo. A z tego jeden ważny wypływał obowiązek: obowiązek rezydencyi. Mieli też burgrabiowie osobne na zamku mieszkania, nieopodal od bramy wjazdowej. Wyrobił się zwyczaj, iż burgrabia, w razie swej nieobecności, pozostawiał za siebie w zamku zastępcę. Do pomocy zaś miał każdy z nich czterech pachotków. Ale rezydencya ciążyła burgrabiom; już za Zygmunta I zaniedbują się, nie dają zastępców, nie utrzymują sług, a nawet w mieszkaniach ich pełno siana i słomy, choć przecież oni powinni byli dbać i o bezpieczeństwo przed pożarem. W dwóch mandatach lat 1535 i 1540 musiał im król przypominać przepisy, grożąc najostrejszą niełaską.

Powód zaniedbania leżał niekiedy, choć pewnie rzadko, w kolizji z innymi zajęciami burgrabiów. Jako straż zamku, zwolnieni byli burgrabiowie od pospolitego ruszenia, i wyjątkowo tylko jak np. w r. 1506, w razie wojny i im iść nakazywano do boju. Z tego powodu już w XVI wieku, kiedy zaczął w szlachcie słabnąć duch rycerski, ubiegano się bardzo o ten urząd, by sobie — jak to jeden z dziejopisów naszych zaznacza — zabezpieczyć pozostanie w domu, gdy potrzeba wzywała do obrony Rzeczypospolitej. Kolizya zachodziła jednak wówczas, gdy urząd burgrabiego piastował równocześnie taki, który z mocy innego urzędu był obowiązany do czynnego udziału w wyprawie. Idąc na wojnę zaniebrywał rezydencją. Z tego to powodu przeprowadzono za Zygmunta Augusta, jako zasadę, że takie urzędy są: „incompatibiles,“ jak mówiono, że ich łączyć nie wolno. Orzekł to co do kasztelanów sejm piotrkowski z r. 1562³: „kasztelan żaden burgrabią zamku krakowskiego być nie może, gdyż na wojnie każdego kasztelana bytność dla sprawowania ludzi jest potrzebna, burgrabia zaś na zamku krakowskim obecnie być powinien.“ Na sejmie warszawskim 1563⁴ rozciągnięto ten przepis wogóle na wszystkich dygnitarzy i urzędników ziemskich, „iż oni przez powinności swe, które na nich do wojny należą, burgrabstwa się bawić nie mogą, ani ich trzymać mają.“ Rzeczywiście też te przepisy przeprowadzono, poodbierano burgrabstwa nawet kasztelanom, jak np. Mikołajowi Cikowskiemu, kasztelanowi żarnowskie-

mu. Król osobnym mandatem wezwał burgrabiów do stawienia się na zamku, gdzie im miał starosta objaśnić obowiązki rezydencyi. Ale i to nie pomogło; i nadal burgrabiowie, choć nie mieli wymówki, zaniedbywali swoje obowiązki. Znowu zajęła się tą sprawą konstytucya piotrkowska z r. 1565; staroście krakowskiemu oddano nadzór, „aby każdy burgrabia krakowski na zamku krakowskim obecnie mieszkał.“ W razie zaniedbania miał starosta donosić o tem królowi, a król pozywać na sejm. Dozwolono jednak burgrabiom, by każdy „abo na potrzebę Rzeczypospolitej, abo dla opatrzenia zdrowia swego, także potrzeb swoich, odjechać na każdy kwartał po trzy niedziele, abo razem do roku po dwanaście niedziel mógł... z wiadomością starosty krakowskiego i zasadziwszy miejsce swoje szlachcicem godnym, na którymby starosta przestał.“ Przecież i te przepisy musiał król przypominać już w r. 1571, jak i o obowiązku sług ich, że w zamku mają mieszkać, nie w mieście. Gdy zaś w r. 1586 nakazał Batory stwierdzić staroście, jak burgrabiowie spełniają przepisy, pokazało się, że z ośmiu burgrabiów jeden tylko — warto podać jego nazwisko: Stanisław Płaza — był na miejscu; co do kilku stwierdziła służba, iż nie jest ich zwyczajem, by siedzieć w burgrabstwie, a choćby w Krakowie.

Ostatnie to jednak już wzmianki o powinnościach burgrabiów. Odtąd ledwie że wspomni konstytucya, iż burgrabiowie są wolni od służby wojskowej — nie ponawiano już przepisów co do straży i rezydencyi. Bo i niedługo później opustoszał zamek krakowski, gdy król się do Warszawy przeniósł. Zmalało znaczenie straży, gdy przestała czuwać nad bezpieczeństwem władcy. Pozostało „burgrabstwo,“ które zapewne coraz rzadziej odwiedzali burgrabiowie, wyręczając się sługami, zadowoleni tytułem i wolnością od pospolitego ruszenia. Straż i opiekę nad opustoszałym gmachem pozostawiono w praktyce już zupełnie temu, który dotąd tylko gospodarcze pełnił funkcyę—krakowskiemu wielkorządcy.

III.

Wielkorządcy.

I wielkorządców władza wyrosła na gruzach krakowskiej kasztelanii. Kiedy w początkach XIV stulecia wysunęła się kwestya zarządu dóbr królewskich, które dotąd dzierżyli kasztelano-

wie, w innych prowincjach oddano dobra te w administrację starostom. Małopolska nie знаła jeszcze tego urzędu; trzeba więc było stworzyć nową władzę: rządców, zwanych po łacinie „procuratores.“ Ale już w ostatnich latach panowania Łokietka powstaje urząd naczelnny: wielkiego rządcy, czyli wielkorządcy, którego zwano krakowskim, choć objął w swoje ręce zarząd wszystkich dóbr królewskich nie tylko w krakowskiej, lecz i sandomierskiej ziemi. Jemu podlegali podrządcowie, jako jego podwładni, zarządzający poszczególnymi kluczami tych rozległych majątków. A tak rozbił się w Małopolsce skupiony dawniej w rękach kasztelanów, a i później w innych dzielnicach, gdzie byli starostowie, nierozdzielony zarząd wojskowy grodów i zarząd dóbr, dla których grody stanowiły gospodarze centra. Małopolska dla tych doniosłych funkcji zyskała osobnych urzędników w burgrabiach i wielkorządcach. A tak, jak ostali się krakowscy burgrabiowie, jako jedyni burgrabiowie królewscy w państwie, tak i wielkorządca był jedynym, który w Polsce ten nosił tytuł.

Zaszczytny i ważny był to pierwotnie urząd. Burgrabia ściągał dochody z szeregu królewskich miast i miasteczek, z licznych wsi, które do króla w Małopolsce należały, od żydów, z młynów, z dziesięciny od drzewa, które Wisłą spławiano, od przewozu na Wiśle pod Wawelem, stróży rybnej na błoniach, dochodów zwanych bramne, a mających charakter akcyzy, z poradnego czyli „królestwa“ jak długo istniało, ze „spów“ czyli danin w zbożu, które królowi składały liczne klasztory, jeszcze od wczesnego średniowiecza i t. d. Z mocy swego urzędu wywiera wielkorządca wpływ na zarząd wielu z tych miast, zwłaszcza przez wybór całej lub części rad miejskich, a gdy od XVI wieku wzmogła się władza starostów nad miastami królewskimi, i wielkorządca także, idąc w ich ślady, wytworzył nawet osobne sądy wielkorządowe, jako wyższą instancję, drugą — dla szeregu miast, jak: Kleparz, Kazimierz, Stradom (wówczas jeszcze osobne obok Krakowa gminy), Proszowice, Słomniki i Koszyczki. Ale choć władza jego z czasem się wzmogła, przecież zatracą powoli wielkorządca swoje wybitne stanowisko przez to, iż bardzo wiele dóbr wyjęto później z jego zarządu, bądź to przeznaczając je na uposażenie ustanowionych od końca wieku XIV starostw, bądź to tworząc — od XV stulecia zwłaszcza — z części tych dóbr osobne starostwa niegrodowe i tenuty, zastawiane przez króla w razie nagłej potrzeby, lub oddawane, jako chleb dobrze zasłużonych tym, których chciała nagrodzić Rzeczpospolita za prawdziwe, czy — zwłaszcza później — nieraz tylko urojone wobec niej zasługi. Wiel-

korządy otacza swoją opieką i społeczeństwem, nie chcąc, by król i tych pozbawiał się dochodów. Już za Warneńczyka wymogła szlachta przyrzeczenie, że król wielkorządów nie będzie zastawiał (r. 1440), a później uchodziło za przeciwne przepisom odrywanie od nich części. Nie wiele to jednak pomogło. Już w XVI wieku wielkorządy zmalały ogromnie; w wieku XVIII ledwie strzępy zostały z tych majątków i dochodów, które do nich niegdyś należały. Zmalało więc ich znaczenie, zmalała powaga wielkorządcy, który zeszedł ostatecznie na stanowisko zwykłego, niegrodowego tenutaryusza; już w końcu XVII wieku i wielkorządy są wydzierżawiane za czynszem rocznym, nie zaś oddawane do wiernych rąk, jak to dawniej było zasadą.

Taki był charakter, takie dzieje — w niewielu skreślone słowach — krakowskiego wielkorządcy. Te zarysy objaśnić nam mogą i te atrybucye, które ma wielkorządca, jako zawiadowca Wawelu—administrator królewskiego zamku. Po kasztelanach obejmując spuściznę, dostał on w swoje ręce także zarząd Wawelu, jako zarząd części dóbr królewskich, któremi dotąd władał pan krakowski. Jak gospodarczy charakter jest tego urzędu wogóle, tak gospodarczy charakter mają jego funkcye w stosunku do budowli, na Wawelu leżących, więc i do najważniejszych z nich, królewskiego zamku. On jest tu włodarzem. On prowadzi budowę nowych gmachów, on ma pieczę nad tem, by pilnować ich całości, przeprowadzać potrzebne naprawy. Stąd to dla historii krakowskiego zamku mają taką wagę lustracye i rachunki wielkorządów. W lustracyach wielkorządów, które początkowo—od pierwszej lustracyi z r. 1565 począwszy—wpisywano do ksiąg ogólnych lustracyj królewszczyzn i starostw krakowskiego województwa, a później w osobnych księgach, obejmujących tylko wielkorządy, w tych lustracyach spotykamy — choć nie we wszystkich — opisy wawelskich budowli, zwłaszcza pałacu królewskiego, nieraz drobiazgowo dokładne, nie zapominające nawet o ilości kłódek i gwoździ, wskazujące nam dokładnie, jak ten zamek powoli ogarniała pustka, wiodąca za sobą powolne zniszczenie pamiątek przeszłości. Zrządzeniem losu, czem smutniej na zamku, czem bardziej tu głucho i posepnie, tem częstsze te lustracye, jakby chciały utrwalić dla potomnych, nie czasy świetności i błasku, lecz obraz upadku. Na szczęście uzupełnić można te skrzępane opisy rachunkami wielkorządów, które zapisują każdy grosz, wydany na cegłę, lub wapno, rachunkami, które jako wzór gospodarności, troskliwego obliczania dochodów i wydatków, zachowały się w wielkiej liczbie, zwłaszcza z tych czasów, z których

niema jeszcze lustracyi, z czasów, kiedy ten zamek buduje się i powiększa, z doby Zygmunatów i ich wielkorządców, dawnych mieszczan krakowskich, a potem wielkich panów — Bonerów.

Sam zarząd Wawelu jest bardzo prosty. Wielkorządca ma do pomocy — jak w innych kluczach dóbr wielkorządowych — podrzączego. Trzeci ważniejszy urząd — to klucznikostwo, czyli wrotnictwo. I wrotnego mianuje król. Jest on już w początkach XVI stulecia. Rachunki prowadzi także przez króla mianowany pisarz, którego później zwano prowentowym. Oczywiście, iż i tych urzędów zajęcia — z wyjątkiem wrotnego — sięgały po za zamek, ogarniały wogóle cały zarząd wielkorządów. Inni, których wymieniają czy rachunki, czy lustracye, to bądź specyjni urzędnicy do pewnych funkcyj wielkorządowych, jak niernik młyński, dziesiętnik drewny, pisarz aktowy (sądów wielkorządztwa), pisarz bronny i t. d., lub służba, jak: kucharz, kalefaktor, który w piecach pali, woźnica, kominnik i t. p., jakby rodzaj załogi zamkowej — to Tatarzy, o których nieraz słyhać za Zygmunatów. Pozostały po nich ślady — jeszcze w XVII wieku oznaczają plac jeden „gdzie więzienie tatarskie bywało,“ i drugi „gdzie przystaw tatarski mieszkał.“ Ale Tatarów niema na zamku już w XVII stuleciu; gdy dwór do Warszawy się przeniósł, więcej już o nich nie słyhać.

Jak dla burgrabiów, tak i dla wielkorządów, ich urzędów i służby, nie było żadnych specyjalnych instrukcyj, żadnego bliższego określenia ich funkcyj. Wielkorządca był głową tego gospodarstwa, wielkorządca mianował, z wyjątkiem kilku, tych, którzy, czy jako urzędnicy, czy jako służba, na zamku pełnili czynności. Te tłumy pokojowych, paziów, lokajów i t. d., które się kręcały po pałacach za Jagiellonów, Henryka czy Batorego, to królewski dwór, płatny z kasy króla, podległy marszałkowi i podskarbiemu, nie wielkorządcy. Za królem przenieśli się i oni do inazowieckiej stolicy; ostali się tu tylko ci, którzy — tak nieliczni — służyli wielkorządom, i jako ich części: zamkowi.

Zapominać zaczęto o zamku. Z dochodów wielkorządów szły na zamek wydatki zwyczajne, na naprawy, jakieś drobne budowy. Na nowe, jak zwłaszcza za Zygmunatów, mógł wielkorządca wydawać pieniądze tylko na rozkaz króla. A gdy to nie wystarczało — a wystarczać nie mogło na kosztownych Włochów, na świetne ozdoby — łożył król ze skarbu, który był jeszcze wówczas skarbem króla i państwa. Kiedy w r. 1590 przeprowadzono podział skarbu na królewski i państwowy, do pierwszego zaliczono i wielkorządy. Z nich więc odtąd król miał pobierać do-

chody, ale też na skarbie króla zaciężył koszt utrzymania zamku. Przeszano dbać o tę rezydencję tak, jak dbali Jagiellonowie, odkąd stolicą stała się Warszawa. A państwo nie poczuwało się do obowiązków, bo się zrzekło wielkorządów. Nic tedy dziwnego, że zamek pustoszeje, upada. Więc przecie się nim zajęto. Myśli o naprawie zamku rada senatu w r. 1693. Sejm z r. 1726 wyznacza po 30.000 złp. przez dwa lata na naprawę dachu. Wreszcie za Stanisława Augusta sejm z r. 1768 postanawia dawać na reparację zamku, jak długo ona trwać będzie, równie po 30.000 złp. rocznie, a to „z przyzwoitości i potrzeby wielkiej“ „ponieważ zamek w Krakowie znacznej podlega ruinie i coraz by bardziej upadał, gdyby temu nie zabieżono.“ Przecież z powodu tej ruiny koronację ostatniego z królów nie w Krakowie, lecz wbrew zwyczajowi i wiekowej tradycji, w Warszawie trzeba było odprawić.

IV.

Zarząd innych części Wawelu, nie podległych wielkorządcy.

Na burgrabiach i wielkorządcach nie kończy się zarząd Wawelu. Brak jest w tym zarządzie jednolitości, tak, że poszczególne domy i budynki podlegały różnym władzom, od siebie niezależnym, z sobą zgoła nie złączonym żadnymi węzłami.

Właściwy zamek—zwany połączenie „arx Cracoviensis“—podlega wielkorządcy. To główny przedmiot jego trosk i zabiegów—stąd zwie się także wielkorządcą krakowskiego zamku. Do niego więc należy dbanie o całość i utrzymanie wszystkich części—zarówno „piwnic i dolnego mieszkania ze sklepami,“ jak „średniej“ i „górnej kondygnacji,“ według podziału, jaki podają lustracye. Zamek jednak nietylko przeznaczony jest na pałac, na królewską rezydencję i siedzibę dworu, nawet wówczas, gdy jeszcze władca zwykle w krakowskiej przebywa stolicy. W obrębie tych zabudowań znajdują się: zarówno mieszkanie wielkorządcy, podrzędczego, później klucznika i koniuszego, jak izba dla sądów wielkorządowych, dwa więzienia — z tych jedno „dorotką“ zwane, a nawet ściśle z zamkiem połączone wozownie i stajnie. I te mieszkania i zabudowania poddane były wielkorządcy. Obok zamku atoli stoi na wawelskiej górze cały szereg jeszcze zabudowań osobnych, często tylko gospodarcze mających znaczenie, które również w skład wielkorządów liczono. A więc: kamienica sepna, tak zwana od „spów,“ które klasztory na zamek oddawały, oddana przez Augusta misyonarzom; dwa domy zwane Rabsztynami—

z tych jeden Rabsztyn służył w XVI w. na pomieszczenie lwów, nad którymi miał nadzór osobny urzędnik, pobierający według mandatu Batorego z r. 1576 pensję 1 złotego tygodniowo; ten to dom oddał Batory hetmanowi Zamojskiemu na dożywotnie mieszkanie. W późniejszych czasach, kiedy dwór rzadko do Krakowa zaglądał, zaczęto wydawać pozwolenia dla osób prywatnych, by się na Wawelu mogły pobudować, tak, że w XVIII wieku jest cały szereg takich donków, wymienianych i opisywanych przez lustracje wielkorządowe. Nie brak i gospodarczych zabudowań, zapewne również późniejszych, jak: młyn konny, piekarnia, browar, pralnia, ogród drewny, gdzie składano drzewa z dzieściny drewniej i t. d.

Ale nawet w obrębie zabudowań, podległych zarządowi wielkorządcy, niektóre części były z pod jego władzy wyjęte. W zamku, zapewne już w średnich wiekach, przechowywano skarbiec koronny, zawierający „klejnoty,“ jak i archiwum państwa, składające się z dokumentów, tyczących się czy stosunku do zagranicy, czy przywilejów szlachty, dóbr państwa i t. d. Kiedy Zygmunt I nowy wznosił pałac, wyznaczył też i na skarbiec osobne pomieszczenie w dolnych sklepionych izbach. Skarbiec nie podlegał wielkorządcy. Nadzór nad nim i wstęp do niego miał podskarbi koronny; później — od Henryka — dodano mu do boku siedmiu najwybitniejszych senatorów, tak, że tylko jeśli wszyscy byli obecni — a każdy z nich od r. 1668 miał osobny klucz do skarbcza — można było skarbiec otwierać. Od czasu do czasu, czy z rozkazu króla, czy później — zwłaszcza w czasach bezkrólewia — sejm, odbywały się rewizye klejnotów Rzeczypospolitej i pergaminów. W XVII wieku utworzono nawet osobny urząd kustosa koron, który pozostawał zawsze w rękach duchownego. Nie pomogły jednak te zarządzenia; nie pomogła nawet uchwała konfederacyi warszawskiej z r. 1733, potwierdzona przez sejm z r. 1736, że skarbcza otwierać nie wolno, jak tylko za uchwałą sejmu. Ginęły te klejnoty, malał skarbiec, tak, że z bogatych jego zasobów ledwie szczątki ostały się do XVIII wieku. Archiwum już za Augusta III przewieziono do Warszawy, lecz znowu zwrócono, — aż je w r. 1764 ostatecznie zabrano do ówczesnej stolicy.

Nie tylko jednak skarbiec mieścił się w zamku, jako odrębna jego część. Tu znalazły dla siebie miejsce i inne instytucje, również z pod władzy wielkorządcy wyjęte. I uniwersytet, gdy go tworzyć i organizować zaczynał Kazimierz Wielki, pierwotnie w izbach królewskiego pałacu skupiał do nauki uczniów i profesorów; lecz to trwało tylko chwilowo. Gdy drugi jego fundator

rozniecał na nowo wygaste prawie ognisko polskiej nauki, zbudował mu świątynię już w obrębie miejskich murów Krakowa. Utrzymał się jednak na Wawelu, w obrębie zamku, inny twór wielkiego monarchy, który, choć później wiele stracił na znaczeniu, to jednak przetrwał aż prawie do końca bytu państwa, bo do reform sejmu czteroletniego. To sąd wyższy prawa niemieckiego, od pomieszczenia noszący określenie: „na zamku krakowskim.“ Wzmiankują lustracye o izbach, temu sądowi oddanych, lecz ich nie opisują, bo i one wielkorządcy nie podlegały. Tu kto inny władą—wójt prawa wyższego i siedmiu ławników, później stałe z mieszczan krakowskich wybieranych. W tych samych izbach zbierał się bezwątpienia—ściśle z tym sądem złączony—sąd sześciu miast, który jednak już w początkach XVIII stulecia zakończył swój suchotniczy żywot.

Jeśli skarbiec i sąd prawa niemieckiego wyłamywały się z pod ogólnego zarządu Wawelu, choć mieściły się w obrębie zamku, to gród stanowił już zupełnie oderwaną jednostkę, nie tylko ze względu na osobny zarząd, lecz i topograficznie. Za bardzo dziś mieszamy pojęcia grodu i zamku. Pierwotnie, to identyczne pojęcia. Od XIV wieku jednak, odkąd powstał urząd krakowskiego starosty, odróżniano je ściśle, bardzo ściśle. Zamek—to pałac królewski. Gród—to tylko jeden budynek, który stał naprzeciw katedry, tuż przy wejściu do dziedzińca zamkowego. W grodzie władą starosta krakowski. Daremnieby szukać opisu tego budynku w wielkorządowych lustracyach. Nawet słowem nie wspominają one o jego istnieniu. Za to znajdują się jego opisy bądź w osobnych lustracyach starostwa krakowskiego, bądź też w ogólnych, obejmujących wszystkie starostwa krakowskiej ziemi z wyłączeniem wielkorządów, które należały do królewskiego uposażenia, gdy starostwa—a więc i krakowskie—to część majątku rzeczypospolitej.

Na Wawelu usadowił się starosta dopiero po śmierci Kazimierza W. Czy odrazu tam, gdzie później stoi ten gród, trudno na to odpowiedzieć. W dolnej części znalazł pomieszczenie urząd grodzki, który składa podstarości i pisarz grodzki, sądzący na t. zw. roczkach skargowych, prowadzący też równocześnie dział niesporny ksiąg grodzkich. Te pokoje określają nazwą „izby grodzkiej“—a składały się z „izby sądowej“ i „suscepty.“ Górę zajmuje starosta—tu mieszka on, tu sędzi sam osobiście na roczkach sądowych. To sąd grodzki. Tę górną część określano, jako „starostwo.“ Obok urzędu i sądu grodzkiego w grodzie znalazła pomieszczenie jeszcze jedna władza: sąd ziemski. Rzadko on

się zbierał, bo już od XV stulecia tylko cztery razy na rok, a często wakuje przez czas dłuższy—raz nawet przez więcej niż całe stulecie. Nie tak prędko jednak uzyskał sąd ziemski to prawo siedziby w zabudowaniach grodzkich. Jeszcze w XV wieku tuła się ten sąd po refektarzach krakowskich klasztorów, nawet po prywatnych domach mieszczan. Dopiero więc później—nie wiemy dokładnie kiedy—przeniósł się na Wawel. Mieścił się w izbie grodzkiej. Wyjątkowo zdarzało się, że gdzieindziej te sądy obradowały. W r. 1585 skarżyli się u króla członkowie sądu ziemskiego—sędzia, podsądek i pisarz,—że izba grodzka wilgotna i zrujnowana. Złemu zaradzić nakazał Batory wielkorządcy. Ale widać nie śpieszono się z naprawą; w dwa lata dopiero później wzięto się do tego, a starosta przeniósł na ten czas urząd grodzki na górę „na starostwo.“ Powodem bezpośrednim była zaraza wśród więźniów, którzy również tam się mieścili w więzieniu, w grodzie, będącym i śmierć wielu z nich. Z powodu tej zarazy w następnym roku przeniósł nawet starosta urząd grodzki na kilka miesięcy do domu Rabsztyn. Nie zbyt zdaje się przestronno było w grodzie, w zwyczajnych warunkach. Z tego powodu zapewne znaczną ilość ksiąg, bezwątpienia tych, których rzadziej potrzebowano, przechowywano w XVIII wieku w jednej ze sklepionych sal dolnych zamku.

V.

Zarząd wojskowy.

Siedziba królów, Wawel Piastów czy Jagiellonów, nie ztracił długo tej cechy, którą miał niegdyś w początkach historii narodu—charakteru obronnej twierdzy, warowni, stawiającej nie-raz dumnie czoło wrogowi. Wkoło otaczały go mury i wały. W późniejszych czasach na Wawelu wznosi się cekauz, będący składem materiałów wojennych: prochu, ołowiu. Na Wawelu też zbudowano i ludwisarnię. Nie jasno przedstawia się kwestya, do kogo pierwotnie należy zarząd tych budynków, kto czuwa nad pracą w ludwisarni, nad zaopatrywaniem cekauzu. Czy także wielkorządca? Tak przypuszczać należy. To pewna, że o mury wielkorządca troszczyć się musiał, on pilnował ich całości, on naprawiał je w razie potrzeby. Wielkorządcy podlegała też i ta słynna „smocza jama,“ którą smok obrał pierwaj na swoją siedzi-

bę, nim jeszcze o Wawel oparła się władza Kraka i Wandy. Może jakieś podziemne wyjścia z tej smoczey jamy prowadziły do podnoża góry — mandatem bowiem z r. 1565 nakazuje Zygmunt August staroście krakowskiemu przypilnować, by pozamurowywano jaskinie, zwane „smoczemi jamami,“ a znajdujące się w domach szlachty, zbudowanych u stóp Wawelu.

W XVII wieku znów część Wawelu usunięto z pod władzy wielkorządcy. Cekauz i „wszystka armata“ została oddaną przez króla rzeczypospolitej. Zrzekł się więc król swej własności — zrzekł się też jednak i ciężaru, jaki stąd na niego spadał. Oddano zarówno cekauz, jak i złączoną z nim ludwisarnię pod zarząd temu, któremu z urzędu podlegały twierdze: generałowi artylerji. Jemu oddano także i mury zamku, rozumując, iż gdy ma pod sobą armaty, „to też i mury, które te armaty trzymają, do generała artylerji należeć mają et per consequens reparari sumptu publico powinny.“ Generałowi artylerji oddano smoczą jamę i ruremus, które włączono do fortyfikacyi.

Jakaż to jednak była załoga, która w zamku stała? Z iluż składała się ludzi? Kto nią dowodził? — Jak długo królowie na zamku rezydowali, utrzymywanie osobnej załogi było rzeczą niezbędną. Przy boku króla znajdował się zawsze nadworny hufiec; w razie potrzeby król mógł bez trudu opatrzyć Wawel w odpowiednią ilość broni i ludzi. A potem — choć twierdzą była dalej w zasadzie — traciła wawelska góra znaczenie militarne, mimo, że i później jeszcze liczono Wawel do tych kilku, tak nielicznych, twierdz w państwie, które ich brak zasłaniało szumnym frazesem, że za mury i twierdze obstoją w Polsce szlacheckie piersi. Nakazują wprawdzie konstytucye lat 1652, 1658 i 1661 zaopatrzenie załogą zamku, reparacyę fortecy. Był nawet na ten cel wyznaczony jakiś fundusz z pieniędzy łańowych, wystarczający na 100 porcyj — a więc stu ludzi. Lecz gdy minęły czasy zamętu, nie wykonano uchwał, które pozostały w drukowanych konstytucyach, jako ślad tylko dobrych chęci. Upadały w ruinę mury, nie naprawiał ich wielkorządca, który skrzętnie pilnował, by opisu murów nie wciągnano do lustracyi wielkorządów, bo na tej podstawie możeby go pociągnięto — a podobno i pociągano — do ich naprawy. Nie dawał pieniędzy skarb państwa, taki zawsze ubogi i chudy. Dopiero konstytucya z r. 1733, zatwierdzona w trzy lata później, postanawia opatrzenie zamku w stałą załogę z 300 ludzi. Lecz czy wykonano uchwałę? Przecie „smoczą jamę,“ poddaną — jako należącą do fortyfikacyi — generałowi artylerji, wydzierżawiono

w XVII wieku za czynszem, aby w niej utrzymywano propinację piwa i wódki.

Od końca też XVI wieku załoga większa zjawia się na Wawelu tylko w razie niebezpieczeństwa—stałe zaś, jedynie w razie bezkrólewia. Boć trudno za dostateczną załogę uważać dwudziestu drabów w XVI wieku, a później nieliczną piechotę węgierską, którą miał pod sobą starosta. W bezkrólewicach jednak zamek zyskiwał na znaczeniu. O Wawel dobijają się pretendenci, bo tu w zamku spoczywa królewska korona i berło, bo na Wawelu stoi katedra, gdzie króla koronują. Wiedzano, że kto u stóp ołtarza św. Stanisława na głowę koronę włoży, tego naród uzna za władcę, jako pomazańca bożego. Stąd więc troska o to, by zabezpieczyć Wawel, by tylko temu wydano zamek, kogo wolna szlachta wolnymi obierze głosami. Ale w bezkrólewicach nie było władzy, któraby z urzędu miała bronić zamku. Jedyłą władzą były kaptury = sejmiki i sejmy. Od nich też wychodzą te zarządzenia, które napełniały Wawel choć czasowo jakąś załogą. Po śmierci Zygmunta Augusta, kiedy się miało zacząć pierwsze bezkrólewie, tak trwożnie przez naród oczekiwane, postanawia rada koronna, złożona z senatorów małopolskich, oraz z zebranych razem z nimi w Krakowie deputatów krakowskiej i sandomierskiej ziemi, wśród imych uchwał dotyczących się obrony kraju, iż „ku opatrzeniu zamku krakowskiego J. M. Pan wojewoda i starosta krakowski ma przyjąć kosztem swoim (który jednak później mają zwrócić) drabów sześćset, a pan Ludwik Diecius z Wolej, wielkorządca krakowski, ma opatrować tento zamek prochy, kulami, puszkami i potrzebami do strzelby należącymi.“ Ale już po ucieczce Henryka mniej zapalu, mniej obaw o zamek; stu tylko drabów na koszt państwa nakazał sejmik krakowski osadzić ku jego obronie. Podniesiono tę liczbę do trzystu w bezkrólewiu po Stefanie, widząc bojąc się znów więcej napadu—boć przecie niedaleko była granica, którą chciał wkroczyć austriacki arcyksiążę. Ale to i ostatnia sejmikowa uchwała w czasie bezkrólewia, która zabezpiecza zamek, oddając dowództwo staroście wraz z „kollegami, urzędniki zamku,“ zobowiązując wielkorządcę do dostarczenia amunicji, podskarbiego zaś państwa do wypłaty żołdu. Czy kto się zajął tą sprawą w r. 1632? Głucho o tem jakoś. W kilku następnych bezkrólewicach (1648, 1668, 1674) obronę zamku organizuje już nie sejmik krakowski, lecz sejm konwokacyjny: trzystu ma być na zamku ludzi pod starostą; generał artylerji ma dostarczyć prochów i kul, a żołd sejm każe płacić krakowskiemu wojwództwu. Obronę zamku na Wa-

welu uważa sejm za wojewódzki tylko obowiązek. A później nikt się o to nie troszczy, czy ma kto zamku w interregnum bronić, żadnych uchwał o załodze. Krakowski zamek przestał być tą świętą twierdzą, której władanie decydowało o rządach państwa. O nich zaczęły rozstrzygać obce mocarstwa. I czyżby garstka tych ludzi potrafiła była obronić te niegdyś obronne, a już w gruzy rozsypujące się mury?

VI.

Takie są losy zarządu Wawelu. Na równi stał niegdyś z innymi grodami, pod jeden z nimi wzięty szablon. A później, choć królów został siedzibą, zarząd jego i nadal nie różnił się w zasadzie od zarządu innych dóbr króla, stanowił częśćkę tylko wielkorządów. Nie umiano ocenić już nie wartości tych wspomnień, które jedne wypełniały pustką wiejące sale, ale nawet piękności murów. Miał jednak Wawel swoich admiratorów. Byli nimi ci, którzy wlewali w budowę tych gmachów swoje poczucie piękna—byli Kazimierze i Zygmunt. Oby tę świetność—choć nie życia, lecz pamiątki tylko, wskrzesić mogło to nasze stulecie, które w sławie przodków, w odczuciu ich czynów i myśli, szuka podniety i siły na przyszłość.

STANISŁAW KUTRZEBA

WSPÓŁCZESNY PRZEDSTAWICIEL IDEALIZMU W NIEMCZECH.

(Teodor Lipps i jego psychologia.)

XII.

Wychodząc od samego pojęcia wartości, szukaliśmy ostatecznej odpowiedzi na pytanie: co dla ducha ludzkiego wartością być może? I doszliśmy do pojęcia, że on sam istotę wartości stanowi. Trzeba nam teraz jeszcze wyjaśnić sam stosunek zachodzący między duchem ludzkim, a wartością jako taką. Dotąd zajmowała nas raczej obiektywna strona kwestyi. Teraz stawiamy ją subiektywnie i pytamy, czem duch ludzki względem wartości, a więc jaki jego poprawny do niej stosunek?

Przy tem pojęciu wartości, jakie znajdujemy u Lippsa, rzecz przedstawia się niezmiernie prosto. Przemawia to niewątpliwie za ścisłością i trafnością jego rozumowania. Ale rozumowanie, póki na sobie poprzestaje i we własnej sferze się obraca, łatwo unika wielu pytań i zagadnień, które jednak natarczywie stawiają się w życiu i gwałtownie domagają się rozwiązania. A o te ostatecznie chodzić najbardziej musi, które nietylko czysto teoretycznie myśl sama sobie zadaje, lecz które są wyrazem realnych trudności i rzeczywistych konfliktów. Mimo to oczywista, że kluczem do ich rozwiązania nie mogą być łatane kompromisa, ani też czysto praktyczne przepisy, lecz, że znaleźć drogę wyjścia może tylko myśl samodzielna.

Dlatego, nie chcąc w tym wypadku poprzestać na tem, co by wystarczyło, by sam goły szkielet myśli Lippsa przed-

stawić, rozpoczynamy od przypomnienia zasadniczych i ogólnych jego teoryj, na których rozwiązanie dalszych zagadnień się opiera. Zasadniczym faktem moralności nazywa nasz myśliciel „orzeczenie wartości.“ Jest to sąd narzucony świadomości przez fakta, przez przedmiotowy stan rzeczy, a który odniesiony do woli ogólnie, wydaje bezpośrednio pojęcie tego, co być powinno, a do woli mojej w szczególności, tego, com ja powinien. Jakiż więc tu stosunek zachodzi mojej świadomości, czy mojego ja do przedmiotu, któremu wartość przyznaję, o którym orzekam, że być powinien? Moja świadomość uznaje wymagania przedmiotu, a więc sama ze swej strony staje się wyrazem tego wymagania, afirmuje je, orzeka wartość. Jest więc wartość właściwością *rzeczy*, stanu *przedmiotowego*, ale realizuje się istotnie dopiero przez subiektywną świadomość, a mówiąc dokładniej przez orzeczenie wartości. By wartość pełna doszła do skutku, by stała się czemś żywym i rzeczywistym, potrzebne są oczywiście dwa czynniki: *subiektywny* i *objektywny*.

Tak więc, jak z jednej strony tylko słuszne i prawdziwe jest zdanie, że o wartości stanowi tylko stan rzeczy, tak z drugiej równie słusznem i koniecznem tegoż uzupełnieniem jest niewątpliwy pewnik, że o wartości stanowi tylko ja. Jest to znowu wyrażenie prawdy jednej i tej samej na dwa sposoby, koniecznie i z natury rzeczy sobie przeciwne. O takim przeciwstawieniu dwu w istocie identycznych orzeczeń, była już powyżej mowa z okazji innego przykładu. Tu powiedzmy zwięźle, że tak, jak stan rzeczy stanowić może o wartości tylko pod warunkiem, że istnieje świadomość, *dla której* on o niej stanowi, tak samo świadomość rozstrzygać może o wartości tylko o tyle, o ile istnieje stan rzeczy przedmiotowy, *o którym* rozstrzygać jest jej zadaniem.

O danych, jakie są potrzebne ze strony rzeczowej, mówiliśmy dotąd. Ze wypowiedzialiśmy przytem myśli, odnoszące się także do strony podmiotowej, to jest zupełnie naturalne i nieuniknione, właśnie dlatego, że te dwie strony nierozdzielnie się siebie trzymają. Dość, że nam chodziło o wartość rzeczy i o rzeczy posiadające wartość, i że doszliśmy, rozbierając te pojęcia, do przekonania, że rzeczą posiadającą wartość *par excellence*, zupełnie, już nie odnośnie tylko ani względnie, jest duch sam, a więc też wszystko, co na niego się składa, wszystko, co w nim jest pozytywnie.

Teraz, jak już powiedzieliśmy, odwrotne pytanie postawić nam trzeba. Nie o to, co jest wartością *w świecie*, lecz właśnie o to, co jest rozpoznawaniem, uznawaniem, orzekaniem wartości

iv świadomości? Pytanie takie może się wydać trochę dziwne lub podyktowane formalistycznym względem na jakąś czysto zewnętrzną symetrię w rozumowaniu — a jednak przekonamy się, że dotyczy kwestyi równie ważnej, równie żywej, jak poprzednia.

Odpowiedź, jaką na nie u Lippsa znajdujemy, jest równie jasna, jak charakteryzująca jego metodę — do gruntu psychologiczną. Orzeczenie wartości, sąd o tem, czy coś być powinno, czy nie być, rozeznanie dobrego i złego — a jest to w gruncie rzeczy fakt psychiczny jeden i ten sam — jest... *sobą*, a jest sobą o tyle, o ile naprawdę jest *sobą*, a nie czem innym. Zdanie takie zadziwić może w pierwszej chwili każdego, ale banalnem wydać się może tylko temu, kto albo w najniesłuszniejszej pogardzie ma prawidło logiczne identyczności, albo niestęchanie fałszywie, bo czysto mechanicznie, rozumuje o życiu psychicznem.

Jedną z najprostszych, a bardzo przez Lippsa ulubioną konsekwencyą prawidła identyczności, jest zdanie, że każda rzecz pozostaje sobą — o ile sobą pozostaje. Zastosujmy je do naszego przykładu, a otrzymamy orzeczenie, pełne najdonioślejszych konsekwencyj, że etyczne rozeznanie dobrego od złego, pozostaje sobą, a więc też zachowuje swoją wartość moralną, słowem swój charakter *etyczny* — póki jest sobą, t. j. orzeczeniem *wartości przedmiotu*, a niczem więcej ani mniej.

Psychologicznie zaś jest oczywistem, że orzeczenia wartości nie zachodzą tylko w jakiejś pewnej ściśle oddzielnej sferze, lecz w pełni niezliczonych przepływów i ruchów, których *całość* stanowi psychiczne życie. Sądy nasze o wartości rzeczy najprostszych nie są nigdy jakimiś tworami o jednej tylko dymensyi, lecz wyrazami wszechstronnego życia, nie są procederami czysto formalnemi, jak rachunkowe działania, lecz wynikami całej treści naszego ducha. Przedewszystkiem nie przypisujemy niczemu wartości bez powodu, a uznanie tych, a nie innych powodów, ma znowu swą przyczynę w innych właściwościach naszej istoty — i na tej prostej drodze dochodzimy bardzo szybko do najwewnętrzniejszych i najtajemniejszych nerwów duszy.

Nie trzeba nam tutaj zbaczać na już przebytą drogę. Dlatego powiedzieć sobie musimy jasno, że oczywiście prawdziwie etycznym orzeczeniem wartości, a następnie doskonałą wolą, jest wola rzeczy obiektywnie absolutnie dobrych z bezwzględnie moralnych subiektywnych pobudek. Rzecz ta ma jeszcze dwie strony. Rozdzielić ją wypada na kwestyę *formy* i *treści*, strzegąc się oczywiście martwego pojmowania tego rozdziału. Możemy w jed-

nym i drugim wypadku pytać się tylko o treść tak pobudki, jak obiektywnego celu. Będzie nią oczywiście rzecz jedna i ta sama. Doskonałym etycznie celem naszej woli nie jest i nie może być nic innego, jak obiektywne dobro. A więc owa kwestya treści, to właśnie obiektywna strona rzeczy — to pytanie, co jest bezwzględem dobrem? I tę uważamy za już rozwiązana przez Lippsa, który niedwuznacznie nam odpowiedział: Dobro bezwzględne, to *osobistość ludzka i wszystko, co w niej jest pozytywnie*.

Pozostaje więc kwestya formalna, która jest zarazem subiektywną stroną rzeczy. Oczywiście, że ani tu, ani w żadnym innym wypadku, nie może być mowy, o jakiejś beztreściwej formie. Ale pytamy się już nie o to, co jest doskonałym celem woli, a więc bezwzględną przedmiotową wartością, lecz o to, jaka wola jest doskonałą etycznie wola, już nie ze względu na to, do czego się odnosi, lecz jaką jest w sobie. Nie chodzi tu już o pytanie: „co?“, lecz o pytanie: „jak?“ Że zaś przy tej kwestyi formy, nie chodzi o formę bez treści, wynika najdobitniej z tego, że jest to pytanie identyczne z bardzo treściwem pytaniem o *przyczynę*, bo o *pobudkę*. Nie chodzi mi już o to, *czego* chcę, lecz zasadniczo o to, *jak* chcę? Zasadnicza, a nie stopniowa tylko różnica, nie może spoczywać w akcie woli, jako takim, lecz poza nim ma swoje źródło. Jak chcę, znaczy to to samo, co dlaczego chcę tak, a nie inaczej. A że jest to zarazem kwestya subiektywna — to wynika jasno z tego, że już nie pytam o przyczynę zewnętrzną, bo tem jest zawsze *przedmiot* woli — a więc chodzi mi o wewnętrzną, o tę, która spoczywa właśnie, że już nie w rzeczach — lecz we mnie, *w subiekcie*.

Kiedy więc wola bez względu na swój przedmiot, lecz jako taka, jest wola etycznie doskonałą? Na to pytanie właśnie jest odpowiedzią owa konsekwencya z prawidła identyczności, które brzmi w tym wypadku: Wola etycznie doskonała, to wola dobrego, a ta jest sobą, póki sobą pozostaje. Zaś refleksya psychologiczna nam powiada, że to wcale nie rozumie się samo przez się — że ona pozostaje sobą. Powiedzieliśmy sobie, że przedmiot woli nam jest obojętny w tym wypadku — przypuścmy raczej, że nim jest rzeczywiście dobro. Wtedy owa wola będzie wola dobrego, ale czy przez to samo będzie wola doskonałą etycznie? W każdym razie ani tylko dlatego, ani też przez to samo nią nie będzie — bo nie wiemy, czy ona jest sobą na prawdę, t. j. zupełnie i rdzennie. Nie znamy motywu, pobudki, z której ona wynika.

A więc równie stanowczo, jak o etycznej wartości, rozstrzyga przedmiot, rozstrzyga o niej pobudka. Jak zaś rozstrzyga, to wynika bezpośrednio z tego, cośmy już powiedzieli. Wola etycznie doskonała jest sobą, o ile jest sobą — w pobudkach i przez pobudki — a przestaje być sobą, jeżeli pobudki są tego rodzaju, że sobą być przestaje. Znać to może tylko, że wola dobrego, jest sobą, t. j. wolą dobrego, kiedy pobudką, z której wynika, jest znowu tylko wola dobrego. Nie jest to żadne teoretyczne uwidzenie, lecz fakt psychologiczny. Bo na koniec, jeżeli chcę czegoś dla czegoś innego, to wcale naprawdę nie chcę tego, tylko chcę tamtego. Jeżeli więc chcę dobra, nie dla dobra, lecz dla mego osobistego szczęścia, lub ze strachu przed skutkami złego i t. p., to nic oczywistszego nad to, że nie chcę właściwie dobra, lecz chcę szczęścia, chcę świętego spokoju i t. d.

Dochodzimy więc do wniosku, że dobra i doskonała wola jest ta tylko, która chce dobra dla dobra samego, której więc dobro jest jedynym, najwyższym i wyłącznym celem. Dlaczego tak jest, to wynika bezpośrednio z tego, cośmy dopiero powiedzieli. Kto chce dobra nie dla niego samego, lecz dla czego innego, ten dobra wcale naprawdę nie chce. A czemuż nareszcie ma być wola dobra, jeżeli nie jest wolą dobrego? Lecz tu znów najgłębsza podwalina etyki Lippsa, jego nauka o wartości, jest nam przestrożą przed jednostronnem i wyłącznym, pojmowaniem tych stosunków. Dobro z pewnością tylko dla dobra być powinno i być może — ale dobro samo, to właśnie tylko dobro wszelkie, dobro wszechwzględne, summa i wypadkowa wszelkich możliwych wartości, a więc właśnie to, „co cierpliwe jest i łaskawe, co nie zajrzy, co nie szuka swego i wszystko znosi, we wszystko wierzy, wszystkiemu ufa.“ A więc też owa wyłączność dobra, to znowu tylko najsilniejszy wyraz jego właśnie istotnej niewyłączności.

Dlatego nie fałszywszego, jak przenoszenie tego, co się tylko dobru samemu, t. j. powszechnemu, zupełnemu, wszechwzględnemu należy — na dobro pojedyncze, jedno z wielu, to lub tamto. Dobro jest bezwzględny sobie celem tylko w swojej właśnie wszechwzględności do tego stopnia, że każda rzecz pojedyncza jest dobrą właśnie tylko o tyle, o ile siebie samą przekracza i żyje dla wszystkiego i we wszystkim, a zaczyna być złą wtedy, kiedy zaskorupiając się w sobie, za cel bezwzględny się ogłasza. Celem bezwzględny może być tylko to, co wszelkie cele w sobie zawarło, a więc spełna powszechność celów w wszechwzględnem dobrze.

Lecz równie fałszywym, jak stosowanie do części, do składników pojedynczych tego, co się tylko żywej i pełnej całości należy, jest chcieć całości bez części, myśli bez urzeczywistnienia, ogólnika bez szczegółnika, wymagać dobra jako takiego, dobra, że tak powiem, na czysto, a gardzić koniecznym tej myśli dopełnieniem, logicznym wynikiem, to jest konkretnym, przypadkowym, pojedynczym jego wyrazem, bez którego jednak tantego niema i być nie może. I tu wydaje mi się, że jest w teoryach Lippsa jeżeli nie przeprowadzone to przynajmniej założone już nie tylko wyjaśnienie, ale bardzo szczęśliwa poprawa jednego z systemów etycznych w dziejach filozofii najważniejszych — etyki Kanta.

Że nie słuszny jest zarzut tak często Kantowi robiony z tego, że jego najwyższe przykazanie moralne — pełnić obowiązek dla obowiązku, jest tylko formalne, to wynika najniedwuznaczniej z tego, cośmy powyżej powiedzieli. Cel zewnętrzny jest jedną stroną rzeczy, pobudka wewnętrzna drugą, zupełnie równouprawnioną, ani o włos mniej doniosłą, ani o cień mniej istotną. I jeżeli zauważymy, że chodzi tu o kwestyę ogólnej formy, to nie możemy, jak tylko przyznać, że odpowiedź Kanta jest arcytreściwa. Wola dobrego, dla dobrego, tego co być powinno, dlatego że być powinno, a dla żadnego na świecie innego powodu — jest faktem psychologicznym tak konkretnym, tak żywym i rzeczywistym, jak tylko być może. A odnośna teoria Kanta jednym z najwspanialszych dokumentów upełnoletnienia myśli.

Lecz o czem Kant zapomina, lub przynajmniej zdaje się często zapominać, a nie chodzi nam tutaj oczywiście ani trochę o historyczną kwestyę jego osobistych pod tym względem zapatrywań — to że ta ogólna forma moralności, najtrafniej przez niego uchwycona, wymaga koniecznie dopełnienia przez poszczególną treść, że zasada aby być sobą, musi się realizować w pojedynczych wypadkach i przez takowe, że, co do moralności, im bardziej człowiek miłuje dobro jako takie, im silniej pragnie i dąży do tego, co być powinno, tem też żarliwiej będzie chciał tego i owego, co za dobre uważa, tem energiczniej musi dążyć do urzeczywistnienia najróżniejszych konkretnych celów. Inaczej owa miłość dobra będzie pustym frazesem. Jedno drugiego bynajmniej nie wyklucza, lecz przeciwnie jedno z drugiego z logiczną koniecznością wynika. Tymczasem Kant z dziwną u tak potężnego umysłu jednostronnością, odtrąca z odrazą wszystko, cokolwiek jest poszczególnie, przypadkowe, zmysłowe — jako cel jedynie odpowiadający zdrożnej pożądlivosti używania.

Kant uznaje spełnienie obowiązku za jedyne dobro. I ma zupełnie rację. Czynienie tego, co się powinno, jest samym nerwem, nawet więcej, bo całą istotą moralności. Innego obowiązku, jak obowiązek, niema i być oczywiście nie może. Ale tu Kant, zdaniem naszym, popada w negację, która byłaby niegodną jego wielkości, gdyby nie to, że jest naturalnym wynikiem jego myśli, nawskróś skierowanej ku krytyce, a więc z natury rzeczy raczej anorganicznej. Obowiązek ogłasza za cel jedyne i ostateczny, spełnienie go za jedyne zadanie człowieka — i tu znowu zupełnie ma słuszność, tylko zapomina, że to spełnienie obowiązku, to nie jakaś oderwana funkcya umysłowa, odbywająca się gdzieś poza granicami rzeczywistości, lecz żywy czyn ducha, który się spełnia właśnie nie dla siebie samego, nie aby sam był spełniony, lecz aby spełnione było to, co być powinno, aby dobro się stało ciałem.

Tu najdzielniejsze oparcie znajdujemy dla sądu o Kancie w Lippsovem pojęciu „wymagania rzeczy,“ jako samej zasady etycznego poczucia, świadomości obowiązku. Spoczywa w niem głębokie zrozumienie tego, że właśnie obowiązek, który choć do naszych najwewnętrzniejszych rzeczy odnosić się może, jest zawsze postulatem narzucającym się nam z zewnątrz, wynaganiem przeciwstawiającej się nam rzeczywistości — a więc też spełnienie go zawsze odniesieniem się do rzeczy poza nami, choć to może sprawy nasze najwłaśniejsze, zawsze wyjściem z siebie samego. Jak dziwnie głęboka jest logika rzeczy! Ten rygoryzm, przykazujący spełnianie obowiązku bez żadnej myśli o skutkach złych czy dobrych, z jedynej pobudki zrobienia, co do mnie należy, ta krańcowa napozór surowość spełniona ad litteram, czyż nie wychodzi na najbardziej potępienia godną niesumienność, bo na czynienie obowiązku, „hyle go spełnić,“ a więc na obowiązkowość czysto właśnie formalną i zewnętrzną.

Błąd, który Kantowi zarzucamy, nie jest zresztą dojrzałym wynikiem jego systematu, lecz raczej usterką jego rozumowania w pojedynczych wypadkach. I on podnosi się do oznaczenia treści wartości, kiedy dochodzi do pojęcia, że człowiek nigdy nie może być środkiem, a zawsze celem być powinien. Jak blisko pokrewne jest pojęcie wartości z pojęciem odpowiadania celowi, o tem powyżej przekonał się. Co jest dopiero środkiem do celu, to wartość posiada nie samo i dla siebie, lecz dla tego i przez to, co mu jest celem. A co samo sobie jest celem, to też posiada wartość samo w sobie i przez się.

Jeżeli więc wola jest etycznie doskonałą tylko o tyle, o ile jest naprawdę wolą spełnienia tego, co się powinno, a więc też

dlatego, że się powinno, to z drugiej strony równie niewątpliwie jest ona wolą etyczną tylko wtedy, kiedy jest istotnie wolą, by dobro było, a więc nie skierowaną tylko do ogólnika, wolą treściwą, a nie pustą, odnoszącą się właśnie do każdego pojedynczego wypadku, do wszelkich rzeczy poszczególnych i przypadkowych, do których ów ogólnik się stosuje. Nie lekceważmy więc ani jednego, ani drugiego z tych dwu koniecznych czynników spełnej moralności.

A skoro właśnie o drugim, o owym czynniku subiektywnym, czy formalnym, nasz myśliciel szerzej się rozwodzi, zmierzmy jego ogromną praktyczną doniosłość. Całe życie woli, jest z natury rzeczy niczem innym, jak dążeniem do celu. Cel pojedynczy jest oczywiście zupełnie przypadkowy, dziś ten, jutro inny. U tego ten, u innego tamten. Tak jest z natury rzeczy, inaczej być nie może, a więc też być nie powinno, a przekonaliśmy się właśnie, dlaczego inaczej być nie powinno. Czego etyka wymaga, to, jak już raz powiedzieliśmy, ogólnego zharmonizowania, ogólnej integracji aktów woli. Co to ma za znaczenie co do przedmiotu tychże aktów woli, o tem przekonaliśmy się już powyżej. Co zaś subiektu, a więc nas samych się tyczy, to trzeba, aby owa harmonijna jedność przy różnolitości rzeczywistych faktów, znajdowała się w jedności moralnej pobudki, którą jest wola dobrego, dla dobrego — przy różności każdorazowego, bezpośredniego celu.

Jak Lipps rozwiązuje stare pytania o wartości dobra spełnionego w nadziei nagrody, a więc wogóle szczęścia, lub obawy przed karą—mówić tu już nie potrzeba, bo odpowiedzi są bezpośrednio dane. Wola ta po prostu nie jest moralna, bo nie jest wolą tego, co być powinno, a więc też dlatego, że być powinno. Uczynki takie są moralnie w najlepszym razie bezwartościowe: „w najlepszym razie,“ bo jeżeli gdzie, to w etyce powiedzieć trzeba, „kto nie jest za mną, jest przeciw mnie.“ Jasne jest, jak na dłoni, że etyczna bezwartościowość nie przeczy bynajmniej czysto zewnętrznemu i obiektywnemu pożytkowi, jaki z takich uczynków wynikać może. Lecz zachodzi wtedy między intencją, a zewnętrznym uczynkiem sprzeczność, która już jest niemoralna.

Kwestye te są tak jasne, gdy się raz zasadę ogólną pojęło, że nie warto długo o nich rozprawiać. Na pierwszy rzut oka mniej prosta, a więc teoretycznie ciekawsza, jest odwrotna strona rzeczy, choć i ona jest tylko zastosowaniem znanej nam już zasady. A przychodzi nam tu przytoczyć raz jeszcze korekturę Kanta, którą w etyce Lippsa znajdujemy. Jeżeli prosty wzgląd na to, czy mi coś sprawia radość, czy przykrość, jest pobudką nie

mającą nie z moralnością wspólnego, to nie wynika stąd bynajmniej, by niemoralnym był uczynek dlatego, że sprawia radość jego spełnienie. A w błąd ten popadł nie pierwszy lepszy umysł, bo sam Kant. Jeżeli chodzi o etyczną wartość, to powiedzmy z Lippsem, że prawdą jest orzeczenie wręcz przeciwne, że uczynek dobry tem jest moralniejszy, im chętniej spełniony. Bo „wszelka moralność jest skłonnością czy pochopnością do dobrego.“¹⁾

Bezpośredniej jeszcze kryje się z tem, cośmy już powiedzieli, myśl, że, jeżeli czynienie czegoś, chociażby to było coś dobrego, dla swego szczęścia, lub w obawie złego, nie jest bynajmniej zachowaniem się moralnem, lecz prostem wyrachowaniem. Ale pomimo to ulegać wątpliwości nie może, że szczęście jest czemś, co być powinno, co jest obiektywnie dobrem i pożądanem, a wszelkie zło, wszelkie cierpienie i t. p., jako takie, jużci że być nie powinno. Nie jest więc bynajmniej niemoralnem dążenie do szczęścia, a unikanie cierpienia, oczywiście, o ile cel wyższy nie wymaga wyrzeczenia się jednego, a poddania się drugiemu. Przeciwnie, jedno jak drugie może być obowiązkiem. Lecz nie zmienia to pewnika, że dobra wola, to tylko wola dobra, a nie może nią być nigdy i nigdzie, choćby upozorowane były najpiękniej, ani prosty strach, ani pożądlivość.

XIII.

Znajduje więc i w sferze moralnej wyraz swój owo uniwersalne przeciwieństwo, równie konieczne logicznie, jak prawdziwe psychologicznie — między ja a nie ja, świadomością a przedmiotem, umysłem a światem, — przeciwieństwo, które właśnie przez swoją wewnętrzną konieczność jest dowodem, że pojęcia te wywołują się wzajemnie, że są właśnie nierozdzielne, nierozzerwalnie ze sobą związane. Konieczne jest pojęcie obiektywnej poprawności, t. j. prawdziwej etyczności działania — a równie konieczny względ na wewnętrzną prawość, t. j. etyczną prawdziwość pobudki.

Istotny związek obu kierunków ulegać nie może wątpliwości. Bo samą prawdą moralności pobudki jest szukanie tego, co jest obiektywnie absolutnie etycznym, zupełnie dobrem, i zwrócenie woli w tym kierunku wyłącznie, a nawzajem owo obiektywne

¹⁾ Ethische Grundfragen str. 112.

dobro nie jest niem, jeżeli niem nie jest dla świadomości, i rzeczywiście przestaje niem być, skoro w woli i myśli nie jest sobą, t. j. dobrem, tem co być powinno, lecz tem, czego się tylko chce, pożąda — lub czego się naprawdę wcale nie chce, bo chce tylko z przymusu, strachu i t. d.

Ta nierozdzielność obu punktów widzenia niech nam będzie żywo przytomna teraz, gdy za naszym myślicielem wkraczamy na teren, który może wydać się „ślizki,” lecz jest nim oczywiście tylko dla tego, kto chodzić po nim nie umie, bo nie wspominam tu o takich, którym niebezpiecznym wydaje się wszystko, co nie jest wygodną przechadzką po ubitych cudzym trudem gościńcach. Powiedzmy z góry, że mamy na myśli kwestyę etycznej *autonomii*. Jest to znowu jedno z tych zagadnień wiele bardziej praktycznych niż teoretycznych o tyle, że wcale nie trudno wyobrazić sobie teorię etyki, gdzieby jako problemat do rozwiązania wcale nie zachodziła. Do takich teoryj śmiałym zaliczyć etykę Lippsa. Kto tak, jak on, pojął od samego założenia istotę moralnego życia, dlatego kwestya autonomii rozwiązana jest z chwilą, gdy się ją stawia, bo dla pojęcia heteronomii niema u niego miejsca. Czy to słabość, czy siła jego myśli trudno przesądzać. Nie zmienia to w każdym razie olbrzymiej doniosłości, jaką owo zagadnienie istotnie posiada, to też nasz filozof uwagi mu nie skąpi.

Na pytanie, co rozstrzyga o etycznym charakterze jakiegoś uczynku, znajdujemy w nauce Lippsa jedną odpowiedź nadzwyczaj niedwuznaczną: *stan rzeczy*. Wymaganie rzeczy stanowi o tem, jaką wartość temu faktowi przyznać powinniśmy. Ale przyznanie jej ostateczne, lub nie przyznanie, jest równie niewątpliwie rzeczą naszą i tylko naszą. Nikt inny za nas tego sądu wydać nie może, z tego prostego powodu, że w takim razie my już wcale nie wchodzimy w rachubę — wypadek, o który idzie, po prostu nie zachodzi — niema mowy o wydanym z naszej strony „orzeczeniu wartości.” Więc też owej absolutnie przedmiotowej stronie rzeczy, odpowiada równie absolutnie podmiotowa. Jest to zresztą jasne, jak na dłoni. Etyczne zachowanie się każdego z nas musi być, bo po prostu jest, zachowaniem się *naszem*, funkcją osobistego ducha — a gdzie nią nie jest, nie jest też wcale sobą.

Czyż więc indywiduum etycznie doskonałe musi być koniecznie oderwane od wszystkiego, co nie jest niem samem, czyż przedewszystkiem niedozwolone mu obcowanie z innymi istotami i korzystanie z ich postępów na drodze doskonałości, czyż niema być na tem najważniejszym polu ludzkich wysiłków, żadnych dorobków, żadnych zdobyczy, czyż naprawdę życie mo-

ralne wiecznie zaczynaniem od samego początku być musi, czyż jedynie na sobie samym każdy ma polegać? Odpowiedzmy jasno— że w orzeczeniu takim fałszywym będzie wszystko, co jest negatywne tylko—a natomiast niewątpliwie słusznemi wszelkie pierwiastki pozytywne. Samodzielność etyczna tak dalece nie jest wykluczeniem wszelkich związków i stosunków pomiędzy moralnemi istotami, że nie wiem doprawdy, czemu by być mogła jakaś samodzielność „czysta“, któraby się do nich nie odnosiła, i w nich i przez nie właśnie dopiero nie realizowała.

Zresztą jest to kwestya nie tylko oderwanego postulatu, lecz przedewszystkiem konkretnego faktu. Kto ogłasza autonomię etyczną, ten nie wypowiada tylko jakiegoś przepisu, wedle którego ma być ukształtowane życie. Życie samo się kształtuje i ciężkie, o ile nie niedorzeczne zadanie, chceć czegokolwiek dokazać jemu na przekór. Stosunki między ludźmi istnieją, wpływy jednych na drugich wywierają się nieustannie i powiedzieć można śmiało, że nie byłaby wcale etyką jakaś etyka odnosząca się nie do tej wcale rzeczywistości. To, co ma być, zawsze jest zależne według samej istoty swojej od tego, co jest. Cokolwiek „być powinno“— powinno być dla pewnych powodów, i powinno być w tych a tych okolicznościach. Coś, co powinno być bez względu na to, co jest, a więc ani gdzieś, ani kiedyś, jest pustą abstrakcją— nie jest wcale prawdą, bo nie jest prawdą *niczego*, a przykazanie moralne ma być prawem życia.

A więc nie gdzieś, poza rzeczywistością, ma być autonomia moralna, lecz w pełni stosunków ludzkich, w pełni rzeczywistości *de facto* *jest*, panuje autonomia moralna—o ile moralność w ogóle istnieje. Bo z tego zdajmy sobie sprawę, że przecież autonomia nie jest jakimś zewnętrznym dodatkiem do istoty jakiegokolwiek funkcyi ducha— lecz wręcz przeciwnie oznacza ona brak wszelkich zewnętrznych dodatków, poleganie na sobie bez względu na nic zewnętrznego. A więc dzieje się *autonomicznie*, cokolwiek naprawdę się dzieje, co nie jest tylko wyrazem jakiejś odrębnej zupełnie funkcyi. To też wypowiedzenie zasady autonomii moralnej wychodzi na owo elementarne zdanie, że moralność jest moralnością—dopóki jest sobą, dopóki jest naprawdę wolą i pełnieniem tego, co być powinno.

Oparcie jak najsiłniejsze etycznego rozumowania o obserwację psychologiczną sprawia, że nasz myśliciel nigdy nie wypowiada zasady abstrakcyjnie, to też nie wygłosi postulatu, by człowiek wyzbywszy się wszelkich wpływów, otrząsnąwszy od swego środowiska, słowem, poza życie i dane jego warunki

wyszedłszy, spoczął sam na sobie i stanął o własnych siłach. W Lippsie przemawia niestrudzony obserwator i analityk, gdy *konstatuje*, że moralny *jest*, kto w pełni rzeczywistości, właśnie podlegając wpływowi, obcując z ludźmi i ludzkością, korzystając ze wspólnych dorobków, opierając się o innych, bez czego życie ludzkie pomyśleć się nie da, kieruje się nie względami na swoje osobiste szczęście, lub wygodę i łatwość życia, ani głosami pochwały i nagany innych, lecz wypatruje i chce tego, co być powinno, a więc też, co sam powinien, wypełnia. Ten *jest moralny*, a kto postępuje inaczej, moralny nie jest. To prosta kwestya psychologicznego *faktu*.

To cośmy tu powiedzieli ogólnie, to się na poszczególnych przykładach jeszcze wyjaśni. Czyżby miało być niemoralne, uznanie w pewnym sensie etycznego autorytetu? Pytanie o radę, zasięganie zdania cudzego? Sądzę, że przeciwnie. Są to środki wskazane, by dojść do poznania tego, co być powinno — a żadnego zaniedbywać się nie godzi. Ale niemoralne jest pójście ślepo za cudzem zdaniem. Jest to chęć zrzucenia na innych odpowiedzialności, jest to właśnie wyrzeczenie się autonomii moralnej. Lecz gdy idę za cudzem zdaniem, bom je uznał za słuszne, wtedy pozostaję moralnie samodzielny, a więc moralny. Nie chodzi tu o przywidzenia żadne, lecz o najprostszy fakt, czy zasadniczy akt moralny — orzeczenie wartości — zachodzi, czy nie zachodzi. Gdzie on jest, tam eo ipso moralność jest, gdzie go braknie, tam może być wszystko na świecie, ale moralności *po prostu niema*.

To samo zupełnie tyczy się tak ważnej praktycznie sprawy *posłuszeństwa*. Posłuszeństwo przedewszystkiem ślepe, spełnienie rozkazu dlatego, że—wydany został, może mieć pewną praktyczną doniosłość, ale jako takie z moralnością nic jeszcze niema wspólnego. O posłuszeństwie z obawy przed czemkolwiek — zupełnie to samo powiedzieć należy. Jest ono o tyle wyższym wykształtem duchowego życia, że występuje tutaj moment wyrachowania, o którym w ślepem posłuszeństwie niema mowy. Wyrachowanie takie bywa czasem bardzo bystre i przebiegłe. Tem lepiej. Wyrachowanie to, może znak pewnej już *intelektualności*, ale, jako żywo, żaden jeszcze symptom *moralności*.

Czyżby więc posłuszeństwo wszelkie było niemoralne? Broń Boże. Ale moralne jest tylko wtedy, kiedy jest moralne. Kiedy więc godzi się z pełną świadomością i wolą moralną. A godzi się wtedy, kiedy z niej wynika. Aby być moralne, posłuszeństwo musi być co najmniej nie przeciwne przekonaniu. Staje się zaś niemoralnem oczywiście nietylko, kiedy lepszej świadomości się

sprzeciwia, lecz kiedy jej się nie sprzeciwia, bo jej niema, dla braku samodzielnego zastanowienia. Dobro obowiązuje nas nie tylko o tyle, o ile jego świadomi przypadkiem jesteśmy, lecz bezwzględnie; a więc mamy być jego świadomi, sprawiedliwości *szukać* nam trzeba. Posłuszeństwo jest też najoczywiściej niemoralnem, jeżeli chce *zastąpić* własną, jedynie prawdziwą świadomość moralną. Coraz bardziej nam się wyjaśnia doniosłość owego logicznego orzeczenia, że moralność jest sobą, póki sobą pozostaje. Posłuszeństwo wobec kogokolwiek i czegokolwiek jest moralne tylko, jeżeli wynika z osobistego przeświadczenia o sprawiedliwości rozkazu, bo inaczej moralności niema i być nie może. *Posłuszeństwo* z pewnością może być *obowiązkiem*, ale nigdy *obowiązkowością* tylko, *posłuszeństwem*.

Niema więc moralności bez moralnej autonomii, bo moralność, to żywa funkcyja ducha, którą duch spełnia, albo nie spełnia. Tertium non datur. Jeżeli ją spełnia, to jużci *on sam*, a nie kto inny, a jeżeli jej nie spełnia sam, to jej nie spełnia wcale. Ale owa samodzielność, owo poleganie na sobie, stanie o własnych siłach, nie jest potępieniem stosunków z bliźnimi, nie jest zaprzeczeniem społecznemu oparciu ani wiekowym dorobkom człowieczeństwa. Ona im nie przeczy, ale i one jej ograniczać nie mają prawa, bo w pierwszym wypadku ustaje życie, w drugim moralności niema. Tymczasem jedno drugiego koniecznie wymaga, bo moralność nie jest sobą, kiedy nie jest życiem; a wszystkie te życiowe zasoby, w których złożona ma być moralność, znowu sobą nie są, kiedy moralność znoszą, zamiast ją warować.

Lecz powiedzieć możemy więcej i śmieiej: *życie nie jest życiem, kiedy nie jest moralnością*. Tu dochodzimy dopiero do właściwego znaczenia *autonomii moralnej*. Zachowanie się moralne, sążenie o wartości rzeczy jest samodzielne, i samodzielne być musi — jako funkcyja ducha. W tym wypadku autonomia moralna znaczy, że ta funkcyja ducha naprawdę jest sobą, że nie jest tylko wyrazem czegoś zupełnie innego, lecz tem, czem chce być i za co się podaje. To samo tyczy się każdej innej funkcyi. Myśl wszelka nie jest sobą, gdy nie jest autonomiczna, i uczucie żadne, gdy nie jest autonomiczne, nie jest szczere, i działalność wogóle wszelka — niezawsze jest tem, czem się być zdaje, a jest tem, kiedy jest autonomiczna.

Lecz moralność nie jest pojedynczą tylko funkcyją ducha. Ona odnosi się do wszelkich faktów psychicznych i realizuje się we wszelkich ich odmianach, jest zachowaniem się *całego ja* ze wszelkimi możliwymi jego determinacyami, a więc we wszyst-

kich funkcjach i odnośnie do każdej czynności życia. Rodzaje moralności, jeżeli wolno tak się wyrazić — a właściwie nie wolno — to stany, determinacye całej istoty. A więc autonomia moralna — to autonomia par excellence. Jeżeli przy autonomii moralnej *ja* rozstrzyga, sądzi, orzeka — to powiedzieć można, że istota moralności, to właśnie ta samodzielność, udzielność, niezawisłość ludzkiego ducha. I tak, jak moralność nie jest żadną czynnością poszczególną, jedną z wielu i pomiędzy wielu — tak też jest etyczna doskonałość wszędzie, gdzie jest prawdziwa autonomia i wolność ducha — w myśli, woli czy uczuciu.

Jeżeli zasada dobra przedmiotowego jest integracja wartości, a podmiotowej moralności istotą integracja aktów woli, to właśnie ta integracja, to podniesienie się od tego, co bezpośrednio jest dane, do tego, co być powinno, nie uleganie więc rzeczom, lecz podporządkowanie ich woli i przyznanie im tylko tego, co im się według świadomości naszej należy, a więc tego tylko, co im przyznać chcemy, panowanie nad przedmiotami, do których i my sami należymy, zamiast dać się przez nich opanować, rządzenie nimi i sobą, zamiast dać się ślepo i niewolnie powodować — to i to dopiero jest *życiem ducha, jako ducha*, jako tego, co właśnie nie jest ślepą koniecznością, lecz świadomą siebie wolnością, co się odróżnia od korowodu rzeczy, co je przekracza i stoi o własnych siłach, sobą włada, więc zewnętrznym prawidłom nie ulega, lecz swoją wolą rzeczywistości nakłada.

Bo duch ludzki znowu sobą nie jest, jeżeli nie jest sobą, jeżeli sam o sobie nie stanowi, sam sobie nie panuje — lecz jest tylko wyrazem swego otoczenia, przypadkowych okoliczności, w których się znalazł, jeżeli jest tylko wykształtem rzeczy, a nie dziełem rąk własnych, jeżeli bezwolnie płynie po prądzie zewnętrznych, a nie własnych konieczności. Nie jest sobą, kiedy nie czyni tego, co sam czynić chce, lecz cokolwiek przynosi potok zewnętrznych zdarzeń, lub wewnętrznych mimowolnych i nieświadomych siebie popędów, temu się poddaje. Sobą jest duch, kiedy jest moralny, bo wtedy właśnie jest sędzią najwyższym wszystkiego, co ma z nim styczność i siebie samego zarazem.

Tu znowu trudno, przy uderzającym pokrewieństwie formy, nie porównać tej teorii Lippsa — a idzie ona wprost od Kanta — z pojęciami tych, którzy mówią właśnie zupełnie podobnie. „Człowiek najwyższym samego siebie sędzią,“ to słowa godne Zaratustry, który każe nie mówić „powiniennem,“ lecz „chcę.“ Czyż spuścizna wielkiego Kanta, to także tylko zaciekły i bezmyślny bunt przeciw temu, co jest samą królewskością człowieka? Sprawa zdaje się być bardzo jasna. Affirmacya mojego ja, jego niezalez-

ność—to cel i istota moralności. Obowiązuje mnie to, czego sam chcę, bom najwyższą instancją etyczną, a czego nie chcę, to mnie też nie obowiązuje. Niewątpliwie tylko, że stan, który z tego wyniknie, będzie samem przeciwieństwem autonomii. Bo wolność, która jest podleganiem wszystkiemu, mianuje się prawowicie niewolą, bo oddanie się na pastwę każdemu podmuchowi wiatru, nie jest afirmacją siebie. A nadewszystko, czemuż jest owa najwyższa instancja etyczna, ów najwyższy urząd sędziowski, który świadomość moralna jednostki ma sprawować — kiedy go de facto wcale nie sprawuje? Bo ten, kto oświadcza, że mu wolno wszystko, czegokolwiek mu się zachcieć może — a nie ten, kto wysiła swą wolę ku temu, co powinien — wyrzeka się swych praw sądenia, wyrzeka się zwierzchnictwa sam nad sobą. Kant i najbanalniejszy amoralizm mówią to samo — przynajmniej wyrażen mogą użyć tych samych. Lecz Kant pojmuje ową autonomię, ową niezależność ducha treściwie i pozytywnie i tem jest olbrzymem myśli. Współczesny amoralizm zadawalnia się słów dźwiękiem — to też jest „dzieckiem w rozumieniu.“

Rozumowanie amoralizmu w tym wypadku grzeszy przeciw owej logicznej zasadzie, że rzecz każda pozostaje sobą — póki sobą pozostaje. Mówić o samodzielnem sądeniu, gdy się właśnie ma na myśli nie sądenie wcale, to mniejsza o to, że nie jest uczciwie, jest to kardynalny błąd w rozumowaniu, zachowanie wyrazu bez treści — a takie zasadnicze usterki muszą myśl zaprowadzić na manowce. Taki sposób myślenia jest zupełnie dosłownie dziecinny. Dziecko póki nie rozumie, co znaczy sądzić o rzeczach, zrozumie zawsze pozwolenie samodzielnego osądenia czegoś, za pozwolenie pójścia za swoją zachcianką. Powiedzmy dziecku przed pudełkiem łakoci: „Zrób, jak sam myślisz,“ a z pewnością jeść będzie aż do najsmutniejszych skutków. Otóż na tej samej zupełnie wyżynie intelektualnej znajdują się nauczyciele nadczołowieczeństwa. Człowiek ma być samodzielny, jednostka ma się rozwijać — znaczy to dla nich tyle, co: „Hulaj dusza bez kontusza!“ Tak przynajmniej rozumieć ich trzeba. Może na myśli mają co innego. Ale zauważmy zarazem, że oczywiście równie niedorzecznie rozumują ci, którzy naukę Kanta o autonomii moralnej z amoralizmem mieszają. Mówimy o niej dlatego, że na tym punkcie Lipps bez zastrzeżeń teorię Kanta przyjmuje, więc cokolwiek o Kańcie się mówi, jego porówno dotyczy. Otóż autonomia Kanta z amoralizmem do tego stopnia nie niema wspólnego, że jest ona wyrzeczeniem o tej samej rzeczy zdania wręcz przeciwnego. Upatrywanie jakiegokolwiek pokrewieństwa między

jednem a drugim, wychodzi zupełnie na to samo, co zauważyć, że kiedy jeden mówi czarno, a drugi biało, to przecież pomimo to mówią o jednej i tej samej rzeczy, i chcieć przez to dowieść pokrewieństwa ich myśli.

Autonomia a *anomia*, to właśnie dwa najjaskrawsze przeciwieństwa, jakie pomyśleć się dadzą, bo jeżeli anomia jest zaprzeczeniem wszelkiej prawidłowości, to autonomia jest właśnie najwyższą jej afirmacją, bo orzeka, że prawo nie jest już tylko czemś zewnętrznie narzuconem, lecz we wnętrzu istoty tryskającym, a więc prawdą nie tylko o niej, ale *dla niej* i *z niej samej*. Dopiero przy autonomi owo martwe przeciwieństwo między przykazaniem a wolą jest zniesione, bo właśnie przykazanie staje się pobudką woli, bezpośrednim jej motywem. To też nie przypadkiem, ani też bezprawnie, przez jakiś sztuczny proceder, dochodzi Kant do pojęcia przykazania moralnego w nas. A jak już zauważyliśmy, autonomia to też najwyższa afirmacja *samego ja i jego wolności*. Niema tu mowy o swawoli, jeżeli się słowa bierze na seryo, a nie słucha tylko dźwięku wyrazów. Człowiek sam orzeka co dobre, a co złe, co powinien, a czego nie powinien—a więc oczywista, że istnieje i istnieć musi pojęcie i poczucie powinności. A nie zachodzi tu też żadna niewola, bo pamiętajmy, że świadomość i przedmioty, ja i świat zewnętrzny, to pojęcia, które koniecznie do siebie przynależą. Niema przedmiotu bez podmiotu, to też owa przedmiotowa prawda rzeczy, tak dalece nie jest zaprzeczeniem prawom subiektywnej świadomości, że przecież bez niej nie istnieje, jest właśnie jej najdoskonalszym płodem. A myśl podmiotowa byłaby wrzekoma bez przedmiotu, również bez niego nie istnieje i pomyśleć wcale się nie da. Taki właśnie zachodzi też stosunek między wolą a moralnem przykazaniem. Ono nie niewola, lecz istny i najdoskonalszy wyraz woli, jej najsilniejsza afirmacja. Wszystko to, pod jednym warunkiem, właśnie *autonomii*, która jest całą prawdą i celem moralnego życia.

A jeżeli chodzi wreszcie o najwyższą i ostateczną prawdę etyczną u Lippsa, tośmy powyżej już na nią wskazali. Bez względu na, bo rzeczowa, prawda etyczna tak, jak wszelka prawda bezwzględna, realizująca się w pojedynczej świadomości, a jednak przekraczająca każdą z osobna, posiada swą pełną rzeczywistość, nie przejściową tylko, i niczem nie ograniczoną w świadomości Absolutnego Ducha, Ja Wszechświata. To też przykazanie moralne jest podług Lippsa zupełnie dosłownie wolą Bożą i Bożem przykazaniem, nie tylko dla nas, ale bezwzględnie. Podnosząc

się do jego poznania i pełniąc je, pełnimy wolę Bożą, w życiu Ducha Bożego istotnie i rzeczywiście uczestniczymy. Lecz to poznanie, oczywista, że musi być samodzielne, bo inaczej nie byłoby sobą, a dojść może do skutku tylko przez złożony w nas instynkt moralny, który, jak widzieliśmy, jest zdolnością wznoszenia się od świadomości pojedynczej wartości, do uznania wszechwzględ- nego dobra.

To dobro będzie z pewnością obiektywnym stanem świata, porządkiem rzeczy i cenne jest wszystko, co do niego wiedzie. Ale oczywista, że doprowadzić do niego może ostatecznie tylko moralność jednostek, a ta jest świadomą i wolną wolą dobrego. Pełnienie woli Bożej jest jedną stroną rzeczy, ale wewnętrzna zgodność woli ludzkiej z wolą Bożą jest drugą równie doniosłą, a może nawet ważniejszą, bo warunkuje pierwszą, a sama najwewnętrzniejszych rzeczy ludzkiej istoty dotyczy. Jest ona wyrazem najwyższej *wolności* człowieka, prawdziwej dlatego, że treściwej, a nie pustej i pozornej tylko. Więc też ta wolność być musi wolą wszystkiego, co jest dobre, co jest cenne, co jest pozytywne w duchu, a przez to samo ducha najwyższem *bogactwem*, jego najpłodniejszym rozwojem. Bo jeżeli jednym warunkiem zupełnej moralności jest czysta wola dobrego, to drugim, koniecznie wypływającym z pierwszegowłaśnie owo rozszerzenie się ducha, skierowanie ku wszelkiemu dobru, przepojenie wszystkim, co wartością być może. *Ja absolutnie wolne i bogate absolutnie* — to ja idealne, cel ku któremu dążyć ma ludzki wysiłek a wzdychać pragnienie — *istny ideał człowieczeństwa*.

„Kto znalazł taką wolność moralną, znalazł sam siebie. I znalazł Boga. Bo Bóg nigdzie doskonalej się nie objawia, jak w wolnej moralnie osobistości.“¹⁾

XIV.

Zwracaćby uwagi nie potrzeba, gdyby to właśnie nie było jednym z najważniejszych rysów nauki Lippsa, jak centralne miejsce w jego teoriach zajmuje etyka. Tak jak bezpośrednio zawartość świadomości uznaje on za właściwy przedmiot filozoficznego badania i w nim znajduje podstawę swojego rozumowania, tak

¹⁾ Ethische Grundfragen str. 107.

też i etyka jego z tegoż punktu widzenia jest pomyślana i pojęta. Istota nietylko moralności lecz bezwzględne dobra, to to właśnie, co jest bezpośrednią jego treścią w świadomości i dla świadomości. Zasada jego to po prostu, co jest zasadą psychicznego faktu świadomości dobrego i złego. Dobrem to, co jest dobrem rzeczywiście i niepozornie w duchu i dla ducha. A więc odniesienie do ducha, stosunek do niego, prawdziwe istnienie w nim i *dla niego*, to cała prawda wartości rzeczy.

Lecz tu stajemy przed zagadnieniem istotnem, którego myśl, co raz weszła na tory psychologii, nie może ominąć. A idzie o to, że kiedy najbardziej zasadniczym i najpierwotniejszym, jaki znamy, faktem psychicznym, jest przeciwstawienie świadomości i rzeczy, jej przedmiotów, to jakim sposobem te rzeczy mogą być ze swej strony znowu czemś w świadomości, działającą w niej siłą, niejako jej częścią. Zachodzi tu niewątpliwie sprzeczność. To co nazywamy *rzeczą*, to właśnie to, co nie jest świadomością, co duchowi się przeciwstawia. Tymczasem teraz żądamy wyraźnie, aby to, co z natury swojej nie jest świadomością, właśnie świadomością się stało, aby to, co jest samem przeciwieństwem ludzkiego ja, w to ja się wcieliło i w niem zeszło.

Logiczne rozwiązanie tej trudności jest proste. Rzeczy przeciwstawiają się świadomości *w niej samej*. A więc są w niej, jako będące poza nią. Niezależnie od świadomości mowy być nawet nie może o tem przeciwstawieniu, wyrażenie to niema najmniejszego sensu. Świadomi jesteśmy niezależności rzeczy od świadomości i na mocy tego jedynie za niezależne je poczytujemy. A czenże miałyby być jakaś niezależność, której świadomibyśmy nie byli. W każdym razie mówić o niej nie miałyby celu. Logicznie więc nie może być trudności w pojęciu tego stosunku. Ale przychodzi nam podnieść raz jeszcze różnicę, jaka zachodzi pomiędzy rozumowaniem logicznem a badaniem psychologicznem. Logicznie nam wystarcza orzeczenie, że jeżeli rzeczy są niezależne od świadomości, to my też niezależności właśnie świadomi być musimy, ażeby ona dla nas w ogóle istniała, a nawet, ażeby w ogóle istniała. Bo gdzie niema żadnej styczności, o niezależności też niema co mówić.

Lecz psychologii takie określenie nie wystarcza. Jeżeli jest tu wypowiedziana zasada ogólna, to psychologia szuka właśnie jej zastosowania. Jeżeli wiemy już, że rzeczy najniezawisłejsze od świadomości, istnieją jednak dla niej i w niej, jako niezawisłe od niej ilości — to nie wiemy jednak jeszcze dlatego, *jak się to dzieje*, że one czemś dla świadomości być mogą, jaka

jest konkretna, *bezpośrednio nam dana forma* tego stosunku, *stan rzeczy*, odpowiadający tej zasadzie, *jaki w duszy ludzkiej de facto zastajemy*. Jeżeli świat zewnętrzny, jako zewnętrzny, dany jest świadomości, jest w niej jako dana, opatrzona tem właśnie znamieniem „zewnętrzności,” a jednak żywą we wnętrzu ducha siłą stać się może, to narzuca się pytanie, jak to się dzieje i na czem to polega.

Ażebymy sobie z tego zdać sprawę musimy porzucić *logiczną racyocynację*, a przywołać na pomoc *obserwację psychologiczną*. Unikam umyślnie wyrażenia, że musimy opuścić pole logiki, aby wejść na pole psychologii. Zakres obu umiejętności jest jeden i ten sam. A jest nim świadomość ludzka, ze wszystkiem, co zawiera. Lecz psychologia jest dobywaniem nowego materiału, podczas gdy logika, wprowadzając z danych sobie zasobów utajone w nich siły na jaw wyprowadza, łączy je i kombinuje, ale z natury rzeczy zdolna nie jest do zdobycia czegoś zupełnie nowego, do zrobienia zupełnie niezależnego kroku ponad to, co zastaje. Otóż zdawszy sobie sprawę z tego, że rzeczy, że przedmioty zewnętrzne, nie mogą być zewnętrznymi w tem znaczeniu, by na wewnątrz ducha niczem zupełnie nie były, i nic nie przedstawiały,—logicznie, t. j. na mocy dalszego rozumowania, niczego więcej o tym stosunku i jego istocie dowiedzieć się już nie możemy. Chcąc go bliżej poznać i lepiej zrozumieć, zwrócić się musimy do doświadczenia, do obserwacji, i wysnuć z niej nowe pojęcie, które zasadę spostrzeganych faktów wypowiedzieć będzie w stanie. Że to *pojęcie* i wynikające z niego konsekwencje będą znowu przedmiotem logicznego rozumowania, to rozumie się samo przez się. Ale nowy czynnik wejdzie w myśl, nie z myśli samej, lecz z nie rozumowej, chociaż też nie bezrozumnej obserwacji.

Cały stosunek świadomości do świata zewnętrznego rozwija się na podstawie jej stosunku do tego dziwnego jego kawałeczka, który nazywamy *ciałem*. Powiedzieliśmy już powyżej, że ciało, to cząstka świata zewnętrznego, pozostająca ze świadomością w stosunku w swoim rodzaju jedynym. Przedewszystkiem podlega ona i ulega bezpośrednio duchowi. Nie idzie nam tu bynajmniej o to, jakim sposobem i dlaczego; jest fakt niezaprzeczony, którego każdy z nas jest świadomy bezpośrednio, że ciało w związku pozostaje najistotniejszym ze świadomością. Poddane ono przedewszystkiem woli, czemu nie zaprzecza, lecz co przeciwnie potwierdza fakt, że pod pewnymi względami jest od niej niezależne. Lecz nie jest to stosunek zewnętrzny, doraźny, mechaniczny, lecz ciągły i żywotny. To też ogólne stany ducha, uczucia,

usposobienia, nastroje wyrażają się bezpośrednio w ciele, czy to przez silne i świadome uczynki, czy też przez wół nieświadomy charakter całego zachowania się fizycznego. Każdemu wiadomo, że pewne uczucia, pewne afekta wewnętrzne wywołują, czy wypowiadają się przez ruchy członków, wyraz oczu, podniesienie głosu. Chociaż może mało kto nad istotą tych zjawisk się zastawia, to jednak znane one każdemu i nikt nie ma najmniejszej wątpliwości w wyprowadzaniu z nich wniosków co do wewnętrznego stanu duszy.

Nikt nigdy nie widział niczyjego gniewu, widział tylko zawsze zewnętrzną postać, słyszał głos, widział ruchy tego, z kim mówił, a jednak każdy z nas nader często w najmniejszej nie był wątpliwości, co do tego, że człowiek, którego ma przed sobą jest w gniewie. Zupełnie to samo powiedzieć można o radości, smutku, zdziwieniu i t. p. Są to rzeczy znane każdemu — a posiadają one doniosłość pierwszorzędną. Wynika z nich mianowicie, że pewnym danym moralnym, nic nie mającym wspólnego z fizycznymi objawami, pomimo to pewne fizyczne objawy towarzyszą, z natury ludzkiego ducha im odpowiadają. Powiedzieliśmy w swoim miejscu, że np. to, co tworzy powinowactwo pomiędzy bólem fizycznym a moralnym, to jednolitość „zabarwienia“ ogólnego stanu, czy fizycznego czy moralnego. A jest niem właśnie w tym przypadku „bolesność.“ Ta zasada posiada więc ogólniejsze znaczenie. Charakter, właściwości, „zabarwienie“ stanu fizycznego jest zarazem „zabarwieniem“ usposobienia moralnego, a przynajmniej być niem może. Np. siła, energia, sprężystość, czy giętkość, zgrabność lub przeciwnie ociążałość, zmęczenie, wyczerpanie, przygnębienie — to są słowa, któremi oznaczamy zarówno stany fizyczne i moralne, usposobienia tak ciała, jak duszy.

Jest to jeden z tych dziwów, którym „chłopski rozum“ nie umie się dziwić, a które jednak na zdumienie i podziw zasługują w najwyższej mierze. Jeżeli w dzieciństwie ludzkości zdumienie było początkiem myśli, jak pięknie starożytny mędrzec powiedział, to myśl dojrzała z długu wdzięczności mu się wypłaca, bo uczy ludzi na nowo się dziwić i wraca im jedną z najcenniejszych zdolności dzieciństwa. Skoro stany fizyczne i moralne jednym określamy mianem, to wynika stąd, że są one jednorakie, że jest w nich jedna i ta sama zasada, która nas do tego uprawnia. A jest to bardzo dziwne i bardzo zdumiewające, gdy pomyślimy, że żywioły tej wewnętrznej, istotnej jednolitości są tak odrębne, jak prosty akt fizyczny i najwewnętrzniejsze, najsubtelniejsze uczucia. Leży w tem potężna manifestacya owej nierozzerwalnej

jedności ludzkiej psyche, którą zgłębić i docenić tylko ten potrafi, kto ma przed oczyma właśnie niezmierną różnorodność składających się na nią elementów i różnaitość kierunków jej działania.

Stanami, usposobieniami, afektami jaźni, są tylko afekta, stany, uczucia jej samej. Pozostają one sobą, z czegokolwiekby nie wynikały, i cokolwiekby nie powodowały. Różne przyczyny mogą wywoływać w duszy ludzkiej ten sam, a przynajmniej podobny skutek, a nawzajem te same, lub podobne dane w duszy, mogą wywoływać różne skutki, wypowiadać się w różny sposób, znajdować upust w różnych kierunkach. Tylko tem odróżnieniem samego ja od wszelkich jego właściwości, tą wyższością jego samego ponad wszelkie jego determinacje, tą więc transcendentnością jego tłumaczy się owa jedność w różnorodności, a jednolitość w różnorodności, którą tu konstatujemy.

Znajdują w ciele i przez ciało bezpośredni swój wyraz stany i afekta duszy. A więc egzystencja ciała, jego uczynki, jego zachowanie się — nie jest dla nas czemś zewnętrznem, obojętnem i niezrozumiałem — lecz przeciwnie czemś własnem, są żywą treścią świadomości, są nietylko dobrowolnie wywołane, lecz następnie odczute, są nietylko czemś duszy naszej danem, lecz są *czemś w niej i dla niej*, są więc nietylko przedmiotami świadomości, lecz *determinacjami samego ja*. Pojęcie tego stosunku jest krokiem nadzwyczaj doniosłym, gdyż tu pierwszy raz sprawę zdaliśmy sobie z żywotnego związku, jaki łączy świadomość ze światem zewnętrznym, a nawet specjalnie fizycznym. Przez ciało i w ciele obcuje dusza ludzka ze światem fizycznym. A oto zrozumieliśmy, że ciało samo jest nietylko zewnętrznym przedmiotem tej świadomości, lecz jej żywą częścią, jej organem, z którego wrażenia, poruszenia, stany, bezpośrednio do centrum samego świadomości przechodzą i jemu się udzielają. Ciało, to część naszej istoty, zanurzona w fizyczną rzeczywistość, to część fizycznej rzeczywistości uniesiona w świat świadomości. Pojęcie tego wyjaśnia nam stosunek fizycznej i moralnej rzeczywistości w nas samych, na wewnątrz naszego mikrokosmu. Lecz potrzeba nam jeszcze pojęcia, któreby wypowiedziało nasz związek ze światem zewnętrznym *mit der Welt* — już nietylko z naszym własnym światem zewnętrznym, którym jest nasze ciało. Do tego Lipps prowadzi wychodząc od faktu *naśladowania*. Nie rozwodzi się on szeroko nad instynktem naśladowczym, któremu, jak tyłu innym rzeczom, przypisuje się często tem większą wagę i tem bardziej zdumiewające przymioty, im się mniej ich istotę naprawdę rozumie. Jest fakt, że jedni drugich naśladowujemy, że człowiek czło-

wieka naśladować umie. Mniejsza o to, czy jeden bardziej jak drugi, że ten sam w różnej mierze zależy od okoliczności. To bardzo ciekawe kwestye, ale to nie istota rzeczy. Na czem naśladowanie — a mowa tu o najelementarniejszym przypadku fizycznego naśladownictwa — de facto polega i pod jakimi warunkami jest możliwe? Oto pytanie żywotne.

Weźmy przykład najprostszy. Naśladowuję czyjś ruch ręki. Co naśladowuję? Ruch ręki tak, *jak go widzę*. A wykonuję go w sposób jedynie możliwy, to jest, by wyrazić się jak najprościej, tak, *jak go czuję*. Zachodzi tu więc, w tym prostym fakcie, jak najpoważniejsze zagadnienie. Chodzi, jak w każdym zagadnieniu, o wypełnienie odskoku, o zniesienie sprzeczności. Bo sprzeczność zachodzi tu najoczywistsza. Widzę zewnętrzny, optyczny obraz, a wykonuję ruch, t. z. wywołuję w sobie uczucie odpowiadające ruchowi, n. b. temu a nie innemu, tak zwany obraz kinetetyczny. Jakiemże prawem i jakim sposobem mogę przejść od jednego do drugiego? Zkądże mogę wiedzieć, albo jak zgadnąć, że temu obrazowi zewnętrznemu odpowiada ten, a nie inny „obraz“ wewnętrzny, rzecz z nim najzupełniej nie współmierna? .

Na to oczywiście odpowiedzieć można, że zachodzi tu po prostu działanie instynktu — właśnie owego tak zaszczytnie w świecie znanego instynktu naśladowczego. Nie jest to oczywiście odpowiedź fałszywa. Ale jest zupełnie nic nie znacząca i w niczem się nie przyczynia do usunięcia trudności. Bo albo owo słowo instynkt, będzie czysto fonetycznem zatkaniem dziury, a więc właśnie do wyjaśnienia sprawy ani o włos nas nie przybliży, albo też będziemy musieli zapytać się, na czem ten instynkt polega, jaka jego istota — i będziemy wtedy wobec tego samego akurat zagadnienia, przed którym tutaj stoimy — tylko, że będzie ono postawione mniej jasno, mniej po prostu, co nas może wystawić na różne pokuszenia, przed którymi tak zabezpieczeni jesteśmy.

A więc czy o instynkcie naśladowczym mówimy, czy nie, pytanie jest jasne i jest naglące, jak w świadomości naszej odbywa się przejście od zewnętrznego obrazu do czysto wewnętrznego aktu, który jako taki nic niema z nim wspólnego. Otóż ten proces byłby zupełnie niezrozumiały, gdyby nie to, że jest moment pośredni, który jedno z drugim łączy. Patrząc na ruch drugiego, nie tylko zewnętrznie ten ruch widzimy, lecz wewnętrznie odnosimy zarazem wrażenie całego nastroju, już nie czysto fizycznego, bo żadne fizyczne uczucie, zwłaszcza świadomie i celowo wywołane, nie może zachodzić oderwane od całokształtu świadomości, ale całego stanu ducha, z którego on bezpośrednio wy-

nika, a z tego rodzi się w nas ten sam ruch, silny czy słaby, szybki czy powolny i t. d. Naśladujemy zawsze, możemy naśladować tylko za pośrednictwem tego przejścia wrażenia przez samo centrum świadomości, w którym obraz zewnętrzny wywołuje stan, z którego rodzi się odpowiedni wewnętrzny akt. Oczywiście, że owo pierwsze przejście od zewnętrznego obrazu do wewnętrznego stanu całego ja jest możliwe tylko dzięki owemu żywotnemu stosunkowi, jaki zachodzi pomiędzy świadomością a ciałem. Tylko ponieważ stanom mego ciała odpowiadają ogólne stany mego ja, tylko dzięki temu jakiegokolwiek fizyczne dane mogą memu duchowi być bezpośrednio przytomne, mogą cokolwiekbądź wywoływać *w nim samym*. Więc też jedynie przez analogię z naszym własnym ciałem, może cudze ciało i jego ruchy, jednym słowem ludzka postać w ogólności, cośkolwiek nam mówić, być dla nas w ogóle zrozumiałe.

Nie idzie nam tutaj jednak w szczególności o kwestyę naśladowania. Poruszamy ją za Lippsem w tem miejscu, tylko po to, by dojść do uznania, że w zewnętrznej postaci ludzkiej leży dla nas bezpośrednio coś więcej jak zewnętrzny kształt, bo leży zarazem wyraz wewnętrznego stanu, wewnętrznej treści osobistości, a więc żywa świadomość tej treści. Ten proces odkrywania wewnętrznej treści w zewnętrznej postaci czy ruchu nazywa Lipps bardzo trafnie „*wczuwaniem się*“¹⁾ w obraz zewnętrzny.

Ruch ciała ludzkiego, o którym dotąd mówiliśmy, jako najprostszym przykładzie, nie stanowi oczywiście wyjątku. Nic na świecie nie dzieje się bez ogólnego prawidła, a tembardziej w wewnętrznym życiu ducha prawidłowość panuje. Jeżeli nie jest bez wewnętrznej treści dla nas ruch ciała, to wyrazem jej jest zarówno ludzka postać mniej lub bardziej ruchu pozbawiona. Tu trafiamy na prawdy najelementarniejsze i każdemu znane, które, chociaż się niejednym z nas nad nimi nie zastanawia wcale, tem są dla rozumowania donioślejsze, im są bardziej codziennem doświadczeniem potwierdzone. Ogromna wymowność ludzkiej postaci; to fakt, który obcy nie jest nikomu nawet najmniej rozwiniętemu umysłowo i uczuciowo, jest więc uderzającym potwierdzeniem teoryi wczuwania się, którą Lipps z faktu naśladowania wprowadza.

Zdolność wczuwania się zaś tak przeważną grającą rolę w stosunku człowieka do człowieka, bo stanowiąca najniezbędniejszy

¹⁾ Einfühlung. Teoryę wczuwania się zob. w „Aesthetik“ str. 96 i następn.

środek, jeżeli nie porozumienia, to rozumienia się wzajemnego pomiędzy ludźmi znajduje zastosowanie bynajmniej nie tylko odnośnie do postaci ludzkiej. Tak, jak ruch ludzki i kształt ludzki przedstawia dla nas istny wyraz osobistej treści, tak też treści, determinacye, przymioty osobiste, ostatecznie modyfikacye osoby ludzkiej, odnajdujemy i odkrywamy we wszelkich kształtach. A jak kształt jest bardzo szerokiem pojęciem, tak też ową kształtność czy też i ów ruch, które są najpierwotniejszymi przedmiotami wczuwania się, odnajdujemy ostatecznie w całym zewnętrznym, nawet nie koniecznym zmysłowym świecie. W dalszym więc ciągu w świecie całym, który nas otacza, odnajdujemy na każdym kroku treści osobiste, istotne determinacye i modyfikacye świadomego ja.

W pojęciu tego zachodzić może ta trudność, że przecież ogromna ilość wrażeń, jakich doznajemy, do żadnego świadomego ja nie tylko, że się nie odnosi, lecz właśnie odnosi się do rzeczy nieświadomych *par excellence* n. p. do martwej natury. Otóż w tym wypadku ja, do którego wyczute w przedmiocie własności i przymioty odnosimy, jest iluzoryczne, jest przez naszą fantazyę stworzone w martwym przedmiocie. Lecz nie zachodzi tu żadna „pomyłka“ myśli, ani żaden fałszywy a chorobliwy antropomorfizm. Z jednej strony przymiot odnosi się właśnie prawidłowo do przedmiotu i do czego innego odnosić się nie może. Z drugiej zaś odkryty w nim przymiot równie istotnie i koniecznie jest osobisty, jest determinacją świadomego ja. Bo żeby przedmiot takim, jakim jest, ze wszystkimi przymiotami objąć, a żeby mu oddać sprawiedliwość, a żeby go sobie jasno uprzytomnić, musi się dusza ludzka do niego dostroić, jego właśnie właściwościom uprzystępnąć. Otóż przez to samo nastraja się ona na pewną nutę, wywołuje w sobie pewien stan, pewne usposobienie, które równie istotnie od przedmiotu i od przedmiotu tylko zależy i do niego się odnosi, jak jest *de facto* stanem i nastrojem duszy ludzkiej i po za nią zrealizować się nie może i pomyśleć w ogóle się nie da. Niema tu więc anomalii żadnej, ale przeciwnie, zastanowienie daje prawną sankcyę temu szczęśliwemu faktowi, że człowiek nie żyje nigdy wśród martwoty, bo oko jego i uczucie ożywia wszystko, na czem spocznie.

Przeszliśmy szybko i pobieżnie całą teorię Lippsa o „wczuwaniu się“, czy estetycznej sympatyi, a żeby jak najprędzej wprowadzić czytelnika w samo serce jego estetyki, które nietylko jest centrem jego teoryj estetycznych, lecz, jak już teraz rozumiemy dowodnie, łączy się też z samym jądrem jego nauki w ogólności

i organicznie do niego należy. To czego wymagała etyka naszego myśliciela, to estetyka ostatecznie osiąga. Etyka stawiała postulat osobistości absolutnie bogatej i uprawnionej, w której i dla której jest wszystko. Teoria estetyczna, której zasadę wyłuszczyliśmy, wykazuje, że to jest możliwe, bo rzeczywiste. Dla czującego i świadomego ducha ludzkiego jest cały świat zewnętrzną istną własnością, wewnętrznem bogactwem. Cokolwiek wchodzi w zakres jego świadomości, to staje się za pośrednictwem owej czarownej zdolności „wczuwania się“ w rzeczy, żywotną modyfikacją jego samego, działającą w nim siłą, prawdziwą częścią jego życia, najniewątpliwszą treścią jego własnego istnienia.

A może ta estetyka tak żywotnie do całości systemu przynależć dlatego, że nie jest ona tylko teorią piękna czy sztuki, zbudowaną ut aliquid fiat, ażeby mieć jakąś teorię filozoficzną na ten temat, lub dobudowaną tylko dla formy do powziętych z góry wyobrażeń. Założona ona daleko głębiej, daleko filozoficzniej, dlatego szerzej sięga i rozwiązuje nie przypadkowe tylko zadanie, lecz zasadniczy problemat. Z dociekłą bystrością, która go cechuje, Lipps zrozumiał, że filozofowi nie może chodzić tylko o parę zdań ładnie odczutyh o sztuce, lecz że wszelkie pytania odnośne łączą się z ogólnem zagadnieniem o *stosunku człowieka do zewnętrznego świata*. *Psychologiczny* specyficznie charakter *zadania* wyjaśniliśmy powyżej. Psychologiczne jest też *rozwiązanie*, a w nim rodzajowy charakter psychologicznej metody nie dwuznacznie się objawia, bo jest ona nietylko wymagana i założona, lecz już wykonana i spełniona. Nie od dzisiaj jest fundamentem idealizmu zapatrywanie, że myśl jest zasadą i że jest prawdą świata. Psychologia wyjaśniła tu, jak to, co jest rzeczywiste, w świadomość przechodzi i staje się jej treścią.

Pojęcie wczuwania się, które odkrył w odniesieniu do ciała ludzkiego, ogłasza Lipps bez wahania za zasadę psychologiczną, za rzeczywistą formę, za modalitas wszelkiego istotnego stosunku świadomości ludzkiej do zewnętrznych danych w ogóle. Bo o ile jakakolwiek rzecz zewnętrzna, jest rzeczą zewnętrzną dla nas, jest nią tylko o tyle, o ile na prawdę dla nas istnieje, a więc jest *czemś w nas*. Zachodzi w każdym wypadku, niech idzie o najprostsz fizyczny obiekt, owo przejście od zewnętrznej czysto danej, która zawsze jest przedmiotem świadomości dopiero możliwym, do rzeczywistego przedmiotu świadomości, który jako taki jest eo ipso częścią świadomości, a więc *czemś wewnętrznem*. To przejście jest możliwe tylko dzięki temu, — że jest możliwe, t. j., że przedmiot zewnętrzny może stać się nam *czemś wewnętrznem*, że jest w stanie wejść w naszą świadomość,

a nasza świadomość ogarnąć go, zastosować się do niego, oddać mu sprawiedliwość, *wczuć się w niego* t. j. stworzyć w sobie stan jemu odpowiedni. Nie o wyrazy oczywiście tu idzie, lecz nie widzę powodu poprawiania naszego myśliciela.

Oczywiście, że jak każdej władzy istnieją najróżniejsze stopnie, tak też olbrzymia zachodzi różnica pomiędzy wczuciem się, które leży w prostej apercpcy fizycznego przedmiotu, a tem, które jest odczuciem wzniosłego piękna. Ale piękno samo polega znowu na niczem innym, jak na wzmożeniu się tego stosunku, który sprawia, że przedmiot staje się świadomości częstką, jej determinacją, treścią jaźni, a więc *wartością osobistą*. Każdy przedmiot, to jakaś determinacja jaźni, częstka świadomości; piękno to treść jaźni bogata, silna, to wartość osobista, potężna i płodna, wszechstronna i głęboka. A więc zadanie, istota sztuki, to za pomocą zewnętrznych przedmiotów i w nich, przez kształty, czy barwy, czy dźwięki, czy wreszcie słowa, *stwarzać wartości osobiste*, jak najpełniejsze a jak najróżnolitsze, czyli ostatecznie wyprowadzać na jaw niewyczerpane bogactwo uczucia, nieskończone możliwości stanów, kształtów, nastrojów ludzkiego ducha.

A duch sam, ciesząc się pięknem w sztuce, czy odkrywając je w naturze, wylewa się na rzeczy zewnętrzne a przez to właśnie je sobie przyswaja i zdobywa, a coraz to nowe siły i zdolności sam w sobie odkrywa, a więc pomnaża i rozszerza swe życie i istotę swoją podnosi i zasila. Bo każde odczute piękno jest przeżytym i odczutyim stanem, jest użytą a więc zrealizowaną i zdobytą zdolnością, jest krokiem naprzód ku spełnenu opanowaniu siebie samego, jest sam przez się władzy ducha afirmacją. To też Lipps nie waha się powiedzieć, że cokolwiek człowiek odczuć zdołał kiedykolwiek, to wszystko weszło istotnie w skład jego duszy, tego wszystkiego jest on *rezultatem*. Estetyczne czucie, w najszerszem oczywiście znaczeniu, zadość czyni etycznemu postulatowi bogactwa osobistości, — który w gruncie rzeczy nie orzeka nic innego, jak to, że człowiek wszystkiemu powinien być celem.

Nie podobna tutaj rozwijać wszystkich konsekwencyj z teoryi estetycznej naszego myśliciela. Kto dobrze zrozumiał zasadę, temu konsekwencye same z siebie się wyjaśniają, a powiedzieliśmy już najniedwuznaczniej, że to zasada o znaczeniu zupełnie ogólnem, że więc szukać nie trzeba konsekwencyi z niej tylko w zakresie tego, co potocznie estetyką nazywamy, lecz że odnoszą się one zarówno do podstawowych pojęć całego jego na świat poglądu. To też opuszczając tu z umysłu wszelkie szczegóły —

zwiążemy jeszcze ten nowy zakres myśli z jednym z najważniejszych i najcentralniejszych poglądów całej nauki Lippsa. Wczuwanie się w rzeczy jest oczywiście czynnością samego ducha, lecz nie mniej stanowczo zależy od rzeczy. Dusza ludzka jest tem, co się wczuwa, co się do rzeczy dostraja — ale wczuwa się w dane rzeczy, dostraja się do nich, nastraja się więc odpowiednio do nich, *tak jak one każą*. Estetyczne czucie rzeczy narzucają, wymagają go w tej lub owej formie. Estetyczna treść, to prawda rzeczowa, w przedmiotach założona, a świadomości z zewnątrz nałożona.

A prawda rzeczowa, to prawda *bezwzględna*. Jest więc estetyczna treść świata prawdą *absolutną*, bo zupełnie *obiektywną*. Jest zaś mimo to, albo raczej właśnie dlatego, doskonale *subiektywną*. Bo istnieje ona tam tylko, gdzie istnieje subiektywny, subiektywny, subiektywny. Gdzie niema w świadomości żadnych spacji ani ograniczeń, ani rozdźwięków, lecz gdzie dusza niezamąconem i wiernem zwierciadłem rzeczy się stała. Dla pojedynczej więc jednostki jest prawe czucie estetyczne *postulatem*, chemś do czego dążyć musi wnosząc się ponadto, co jest bezpośrednio dane, jest przekroczeniem przypadkowego, przyrodzonego ja, a dotarciem do idealnego, tak, jak wszelkie uznanie wymaga nia rzeczy.

A absolutnie biorąc, jest piękno w świecie prawdą i rzeczywistością założoną w świadomości Wszechrzeczy. Ja, z którą świadomość ludzka się zlewa, ile razy piękno odkrywa i odczuwa. Żeby zaś dojść do tej prawdy, jak do wszelkiej innej, szukać jej trzeba przez wyrzeczenie się samego siebie, takiego jakim się jest, a wolę być takim, jakim się być powinno. Tylko wyjście ze siebie, którego znaczenie nasz myśliciel tak trafnie wypowiedział w pojęciu *postulatu* *względem rzeczy*, prowadzi może do spełnienia najwyższego celu człowieczeństwa — realizacji idealnego ja — *przez poznanie prawdy, czucie piękna, czynienie dobrego*.

XV.

Poznawszy, choć bardzo pobieżnie, estetyczne teorie Lippsa, mamy przed sobą w zarysie kompletny obraz nauki tego myśliciela. Jest on kompletny, nie w tem znaczeniu, jakobyśmy byli krótko omówili wszystkie jego teorie. Przeciwnie, omówiliśmy dość obszernie kilka tylko z zagadnień, któremi się zajmuje. Lecz

są to właśnie te, które są istotne, które stanowią o charakterze i kierunku, całej jego filozofii. Lipps jest i pozostaje od początku do końca psychologiem. Centrum jego systemu, osią jego myśli jest zawsze świadomość ludzka. Lecz przekonaliśmy się, że psychologia Lippsa nie jest pojęta ciasno i beztreściwie. Nie dąży ona przedewszystkiem do tego, by rzeczywistość gwałtem władczać w kilka ulubionych koncepcyj, lub żeby przemądrzałe odkrywać wszędzie iluzje i przewracać to co postawiło życie. Lipps szuka po prostu psychologicznej formy realnych zdarzeń, tego co w świadomości jest bezpośrednio, a odpowiada tym a tym zewnętrznym objawom. Dążeniem jego nie jest ostatecznie nic innego jak najdokładniejsze, najwierniejsze zdanie sobie sprawy z tego, co jest i jak jest. Dlatego też przystępuje do badania bez żadnych zdań z góry powziętych. Cytowaliśmy tu jego orzeczenie, że nie jest żadnym „ista“ lecz psychologiem. Atoli psychologia jego nie jest też niczem mniej, jak wrogą poglądom, któreby wykraczały poza jej własny zakres. Poszanowanie dla rzeczywistości, dla „wymagania rzeczy“ samo wystarcza, by w myśli jego nie dopuścić do negatywnych przesądów w tej mierze.

O całej tej sprawie była powyżej już mowa. Powiedzieliśmy tam, że Lipps niedwuznacznie przyznaje się do idealistycznych przekonań, a całe pojęcie „wszechświatowego ja“, o którym obszernie mówiliśmy, jest dowodem, że nie są mu obce bardzo śmiałe i oryginalne myśli metafizyczne¹⁾.

Prawda, że te teorye wygłasza Lipps pod zastrzeżeniem, że przekraczają one granice właściwej „nauki.“ Ale czem jest nauka i jakie jej granice? Przed pół wiekiem mniej więcej, było wielu takich, którym się zdawało, że wiedzą to bardzo dokładnie. Dziś jest ich chyba bardzo niewiele, przynajmniej między tymi, co myślą choć trochę. Nie jedno o tem powiedzieć by trzeba. Ale nie tutaj na to pora. — Że owe teorye nie na tej samej oparte zasadzie, bo innemu już poświęcone celowi, jak sama psychologia, to tylko jest naturalne. Może innemu, jak wszelkie nauki „ściśle“ — ale cóż to ma do rzeczy? Dajmy na to, że wychodzą poza zakres psychologii, czyż dla tego koniecznie mają jej przeczyć, a ona im?

Niema rzeczy, któraby absolutnie mogła na sobie poprzestać, a przynajmniej poprzestać musiała; któraby była tylko immanen-

¹⁾ Zawierać ich będzie zapewne dużo wychodząca właśnie najnowsza jego książka: „Bewusstsein und Gegenstände.“

tna, nie będąc zarazem właśnie transcendentalna. Poprzestawać każdy ma prawo na czem chce. Ale nigdy nie może orzec, że każdy inny na tem poprzestać *musi*. Wolno psychologii chcieć być tylko sobą i niczem więcej. Ale nie wolno jej zakazywać nam wyjść poza nią i spytać się, jaki jej ostateczny sens i rezultat, jaki jej absolutny kierunek. Tośmy już wyjaśnili na przykładzie kierunku podróży, o którym podróżny może wiedzieć lub nie, lecz który mimo to zawsze jest. I Lipps to czuje bardzo dobrze, kiedy na końcu swej psychologii umieszcza dodatek z uwag metafizycznych. Mniejsza więc o to, w jakiej roli występują, ale występują i są i same za siebie przemawiają, a to czy je ktoś następnie za ściśle naukowe poczyta lub za hipotezę ogłosi, to jest w rezultacie wszystko jedno. To może wpływać na zdanie tego tylko, kto zamiast patrzeć na istotę rzeczy, kieruje się w sądzie powziętymi z góry wyobrażeniami o prawach i zdolnościach wiedzy.

Metafizyczną konsekwencją z psychologicznych założeń jest przedewszystkiem pojęcie wszechświatowego ja. Doniosłość jego metafizyczna jest olbrzymia, bo orzeka ona ostatecznie, że prawdą rzeczy nie jest jakaś materialna rzeczywistość *po za świadomością*, lecz że absolutną *prawdą* jest absolutna *świadomość*. To oblicze „psychologicznego idealizmu“ już znamy. Jest ono idealizmem najczystszej wody. Ale teoria Lippsa w tem miejscu gdzieśmy ją opuścili, jeszcze nie rozprawiła się z pojęciem fizycznej, materialnej rzeczywistości. Lecz w estetyce weszła z nią w kontakt. Tam nie chodziło już tylko w ogólności o nie ja, o przedmiot świadomości, lecz była mowa specjalnie o fizycznym świecie, o przedmiotach materialnych, n. p. o ciele. Psychologii wolno zatrzymać się przy faktie jego istnienia w świadomości. Ale z tego, że on w świadomości istnieje, i jak istnieje, konsekwencye jakież wypływać muszą, i leży w logice myśli, by je w swoim miejscu wyciągnąć.

Kto tak, jak Lipps stworzył pojęcie „wymagania rzeczy,“ ten od pojęcia materialnej rzeczywistości do zrozumienia idealnych pierwiastków istnienia, nie będzie przekradał się przez zawile interpretacye i wykręty, mające na celu osłabić doniosłość i okroić prawa tej rzeczywistości, powtarzając stare zdania o utłumieniu zmysłów, niedołężności wiedzy i t. d. Od Kanta zresztą nikomu nie wolno tą tylną furtką wślizgiwać się do świątyni idealizmu. Rzeczywistość materialna jest sobą. Stawia ona swoje wymagania i myśl niema prawa odmawiać im zadośćuczynienia. Istnieją konieczne związki przyczyny i skutku i nieskoń-

zione łańcuchy powiązanych ze sobą zdarzeń. Ale te są zawsze tyłkosobą ale nigdy *swoją zasadą*, ale nigdy swoim wytlómaczeniem czy sensem, nigdy *całą swoją prawdą*. Kto do tej chce dotrzeć, ten właśnie wyjść musi poza to, co bezpośrednio jest dane.

Otóż, jeżeli bezpośrednio jest dana materyalna rzeczywistość, to odpowiadając, że jej zasadą jest materyalna rzeczywistość, kręcimy się w kółko i możliwą odpowiedź tylko opóźnimy. Nikt nie przeczy, że te a te przyczyny wywierają zawsze te a te skutki, że prawa mechaniczne są takie a takie — ale co z tego wynika absolutnie, a z drugiej strony jakie tego absolutne warunki? Czego to wszystko dowodzi i czego jest objawem? Na te zapytania odpowiedź nie może być tylko matematyczna, ani przyrodnicza, chyba że się z gruntu zapoznaje znaczenie pytania.

Otóż przede wszystkim panujące w świecie fizycznym prawa uznać jesteśmy w stanie za obowiązujące, za prawa — tylko, jeżeli one jako takie nam się objawiają, a więc jeżeli myśl naszą obowiązują. A w świecie myśli *zewewnętrznej przemocy* nie ma i być nie może, jest tylko *wewnętrzna konieczność*. Uznajemy za konieczne to tylko, co za konieczne uznajemy. A więc im bardziej jakaś *zewewnętrzna* prawda się narzuca, im bardziej jest bezwzględna, tem jest widocznie bardziej wewnętrzna. Im silniej obowiązuje w naturze, tem bardziej w duchu naszym uprawniona być musi. Powiedzmy zaraz zasadniczo: Jeżeli prawa świata zewnętrznego na prawdę myśli się narzucają, to widocznie obowiązują w świecie prawa ducha. Te zaś prawa są własnością, są samą istotą uniwersalnej świadomości, absolutnego Ja. „*Więc wszystko co jest dane, cały świat zjawisk, pojąć musimy jako zjawisko i objawienie tego Ja świata czy świadomości świata.*“¹⁾

Wszelkie prawa i wymogi rzeczywistości pozostają nienaruszone. Prawo natury przestaje być najwyższem istnienia prawidłem, bo wyższe ponad nie stanowisko, wyższa rzeczywistość się objawia, ale w swoim miejscu, w sferze sobie właściwej obowiązuje ono koniecznie. To też ten idealistyczny pogląd w niczem ubliżać nie może wiedzy ściślej, która przeciwnie jest pojęta jako absolutnej myśli Bożej odkrywca.

A psychologia ze swej strony rzuca jeden jeszcze promień światła na te stosunki. Zna ona nierozwiązalne na pozór zagadnienie o stosunek świadomości do ciała, do mózgu w szczególności. Doszła do przekonania, że związek ten, ile jest nieokreślony,

¹⁾ Leitfaden der Psychologie str. 339.

tyle niewątpliwy. Definicje wszelkie zawodzą, a jednak świadectwo niezaprzeczone faktów do coraz to nowych pobudza. Materya i świadomość, to dwie rzeczy w człowieku nierozdzielne żadną siłą. Zamiast więc głowę sobie łamać na próżno nad wytłómaczeniem tego stanu rzeczy, czyż nie logiczniej uznać go raz na zawsze za ogólne prawidło? Zaprawdę, czyżby tutaj zachodzić miał jedyny znany w wszechświecie *wyjątek*? Czyż nie trzeba powiedzieć raczej, „że faktyczne związanie faktów świadomości z mózgiem, pojęte być może tylko, jeżeli się przypuści myśl *Panpsychizmu*, czyli *uniwersalnej* równoległości psychicznej.“

„A znaczy to: że istnieje jeden jedyny świata związek, który objawia się z jednej strony w fizycznych, z drugiej w psychicznych zjawiskach; jedna jedyna materyalna, a zarazem duchowa zasada wszechświata; materya świata, która jest zarazem jaźnią świata. Bo związek duchowy jest z natury swojej związkiem w jaźni“ ¹⁾.

Jak przedziwnie zbliżyła się tutaj współczesna myśl niemiecka do owej polskiej filozofii, która na innych zupełnie podstawach oparta, przed laty sześćdziesięciu odgadła rozwiązanie wieczystej zagadki i wyrzekła: „Absolutny byt jest ciałem Boga. — Absolutna myśl, Logos, jest duszą Boga. — A sam Bóg jest absolutnym Duchem. — Boże ciało, to Wszechświat stworzony, — realno-panteistyczny moment Boga. — A Absolutny Duch, to społeczność ciała i duszy, społeczność Ducha Świętego.“ ²⁾

ADAM ŻÓŁTOWSKI.

¹⁾ Leitfaden d. Psychologie str. 336.

²⁾ A. Cieszkowskiego „Ojciec-Nasz“ tom III str. 191.

PIŚMIENNICTWO.

ZYGMUNT KRASIŃSKI. *Pisma*, za zezwoleniem rodziny poety wydał Tadeusz Pini. Wydanie krytyczne, zupełne, ze słowem wstępem prof. d-ra Józefa Kallenbacha. Tom I—VI. We Lwowie, nakładem Księgarni polskiej B. Połonieckiego, 1904. Warszawa, E. Wende i Sp.

JÓZEF KALLENBACH. *Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość lat młodych (1812—1838)*. Tom I—II. Lwów, 1904, nakładem księgarni B. Połonieckiego, Warszawa, E. Wende i Sp., 8-o, str. XVI + 363 i 447. („Pisma“ Zygmunta Krasińskiego. Tom VII i VIII).

Krytyczne, zbiorowe wydania pism naszych poetów są u nas jeszcze rzadkością. Jest to zbyt, do któregośmy jeszcze nie przywykli; nie uczuwamy widocznie potrzeby takich wydań, które gdzieindziej stały się jednym z najpowszechniejszych objawów kultury umysłowej. Dość powiedzieć, że do ostatniej chwili ani jeden z wielkich naszych romantyków nie doczekał się takiego uczczenia: wydawnictwo pism autora „Wallenroda,” podjęte przez Towarzystwo im. Mickiewicza, wleczę się żółwim krokiem; Słowackiego nikt nie myśli dotychczas zestawić i oczyścić z licznych błędów dawnych wydań; miłośnicy Krasińskiego musieli zadawać się wydaniem lwowskim z roku 1880, uskutecznionem przez prof. Tarnowskiego, a dającym zaledwie przybliżone pojęcie o całokształcie twórczości autora „Irydiona.”

Krasiński jednak z nich wszystkich najszczęśliwszy. Oto bowiem w niespełna pół wieku po jego zgonie posiadliśmy całkowite wydanie jego dzieł, wykonane z prawdziwym pietyzmem i drobiazgową sumiennością. Zawdzięczamy je przedewszystkiem wnukowi poety, Adamowi hr. Krasińskiemu, który dał do rozporządzenia autografy, wśród których znalazło się wiele utworów

nie drukowanych, a potem pieczołowitości, z jaką p. Tadeusz Pini dokonał wydania.

Wydawca starał się zawsze dotrzeć do autografu, z którego uczynione było pierwsze wydanie; jeżeli autograf zaginął, porównywano wszystkie wydania, by wybrać z pomiędzy nich tekst najpoprawniejszy. W ten sposób zostały sprostowane liczne a ohydne błędy, które pstrzyły wszystkie dawne wydania, zaciemniając sens, uchylbiając poprawności językowej.

Nie ograniczył się wszakże wydawca najlepszym tekstem, lecz podał w końcu każdego tomu wszystkie odmiany tekstu, tak rękopiśmienne, jak i wyjęte z wydań drukowanych; znalazły się tu nie tylko liczne warianty, lecz i całe długie i niezmiernie ciekawe ustępy, skreślone w rękopisach, cenne przyczynki do genezy utworów. Tytuły nawet, jak się okazuje, zmieniał poeta w rękopisach: „Nieboska Komedia“ nazywała się z początku: *L'Uma-na Comedia*, „Sen Cezary“ — nosił miano: „Sen Cezara Alberti“ (jest to imię bohatera jednego z utworów Jean Paula); nagłówek „Dnia dzisiejszego,“ brzmiał pierwotnie: „Fantazyja konania“ i t. p.

Wreszcie do każdego utworu dodał p. Pini drobiazgowe i wyczerpujące objaśnienia, które mogą się przyczynić znakomicie do należytego zrozumienia utworów.

Łatwo ocenić, jak wiele pracy musiał włożyć wydawca w swe dzieło; ale praca ta nie poszła na marne: dzięki niej po raz pierwszy poznajemy poetę w całej potędze jego wielkiego dorobku duchowego, wobec czego wiele sądów o nim, których ostatnim wyrazem do niedawna była monografia prof. Tarnowskiego, musi uleść gruntownej rekonstrukcyi.

Tem bardziej będzie to konieczne, że w publikacyi p. Piniego znalazł się cały szereg utworów, nie objętych żadnem z dotychczasowych zbiorowych wydań. Takich utworów mamy tu 71, z pomiędzy nich 32 wierszowane. Niektóre z nich były podawane w różnych czasopismach (ostatnio wiele z nich drukowała „Biblioteka Warszawska“); jest jednak pomiędzy nimi szesnaście (pięć prozaicznych i jedenaście wierszowanych), które wogóle po raz pierwszy się ukazują.

W pierwszym tomie prócz „Nieboskiej Komedyi“ i „Irydiona“ mamy fragment dramatyczny p. t. „Wanda,“ znany już czytelnikom „Biblioteki Warszawskiej;“ zamieszczono tu utwory z roku 1833—1837. W drugim, gdzie znalazły się utwory, prozą pisane, z epoki 1837—1859 r., t. j. aż do śmierci poety, czytamy wydrukowany po raz pierwszy w całości traktat „O Trójcy w Bogu i o Trójcy w człowieku,“ którego pierwszą część podała „Bi-

blioteka Warszawska,“ oraz nieznaną zupełnie „Dziennik z podróży do Sycylii;“ z autografu wydrukowano tu „Nieboskiej Komedyi część pierwszą,“ którą Gaszyński wydał pod fałszywym tytułem: „Niedokończony poemat.“

Trzeci tom obejmuje wszystkie drobne utwory poetyckie z lat 1833—1859; pomiędzy nimi wiele po raz pierwszy drukowanych, a bardzo ciekawych, jak np. „Wiara“ (Frankfurt, 1839), zawierający zawiązek pomysłu „Dnia dzisiejszego,“ lub wiersze: „Wspomnienia“ i „Na skale,“ pierwsze rzuty scen „Przedświtu.“

W tomie czwartym zawierają się najwcześniejsze utwory poety z lat 1828—1829; prócz dobrze znanych znajdziemy tu po raz pierwszy ukazujące się: „Pan Trzech Pagórków“ i „Sen Elżbiety Pileckiej.“

Ostatnie dwa tomy są niezmiernie ciekawe: mamy tu bowiem zgromadzone utwory z czasów genewskich, w piątym polskie, w szóstym francuskie. Wiedzieliśmy już oddawna, a raczej domyślaliśmy się, że pobyt w Genewie i wrażenia, wywiezione stamtąd, były kuźnicą wielkości ducha poety; ten, co wyjeżdżał z kraju w r. 1829, jako autor „Grobu rodziny Reichstalów“ i „Władysława Hermana i dworu jego,“ wracał w r. 1832 w rozkwicie sił umysłowych, z głową pełną wielkich pomysłów poetyckich, które niebawem miały przyoblec się w genialne formy „Nieboskiej Komedyi“ i „Irydiona.“ Wogóle jednak o okresie tym mieliśmy dość niejasne pojęcie. Dopiero w ostatnich czasach zaczęły się rozjaśniać ciemności: wydano kilka nieznanych urywków poetyckich z „Pamiętnika dla płci pięknej,“ a wydrukowana niedawno obszerna korespondencya z Reevem rzuciła cały snop światła na ciemne dotychczas drogi ducha poety.

Teraz mamy to wszystko w zestawieniu i przekonywamy się coraz bardziej, jak mało wiedzieliśmy o tym ciekawym okresie. I nie tyle są tu może zajmujące utwory polskie opisowe („Ułamki z opisu podróży po Szwajcaryi“) i egotyczne („On. Ułamek z pamiętników życia młodzieńca“), ile francuskie, z których niektóre znane są czytelnikom „Biblioteki Warszawskiej.“ Znajdziemy tu bowiem, jak w pęczkach, wszystkie późniejsze pomysły poetyckie Krasińskiego. Tak np. „Marzenie“ i „Adam Szaleniec“ są wyraźną bardzo zapowiedzią „Nieboskiej Komedyi“ i „Irydiona,“ „Wankana“ to pierwsza próba odmalowania ponurego tła druidycznego, które potem odnajdziemy w „Wstępie“ do „Irydiona,“ „Dziennik umierającego“ to jakby pierwszy rzut „Dnia dzisiejszego,“ a „Wiosna i więzień“ na tych samych oparte motywach, co późniejszy „Ostatni;“ wreszcie scena sądu w romansie

fantastycznym p. t. „Cholera“ przypomina łądząc scenę „Podziemi weneckich“ w t. zw. „Niedokończonym poemacie.“ Jeśli dodamy, że tu i owdzie tułają się echa przedświtowe, dojdziemy do wniosku, że w dziejach twórczości Krasińskiego epoka genewska gra niezmiernie ważną rolę.

Wszystko to dopiero surowy materiał, którego opracowanie będzie zadaniem przyszłych historyków literatury. Wypadnie jednak prawdopodobnie zaczekać z ostatecznym sądem o autorze „Irydiona“ do czasu ukazania się całości korespondencji poety, która wedle zapowiedzi p. Piniego ma objąć dwadzieścia tomów; z niecierpliwością też czekamy tej prawdziwie epokowej publikacji.

Część tego zadania wziął na siebie prof. Kallenbach, skreśliwszy w VII i VIII tomie niniejszego wydawnictwa monografię p. t. „Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość lat młodych (1812—1838).“

Praca to bardzo cenna i źródłowa. Opiera się nie tylko na materiale, zawartym w pierwszych sześciu tomach, ale i na licznych źródłach rękopiśmiennych, do których łatwy miał dostęp autor, jako b. bibliotekarz ordynacji Krasińskich. Przejrzał więc nie tylko listy Zygmunta do ojca, z czasów po r. 1829, z zagranicy, ale i kajety szkolne, bruliony, pierwsze listy, wielkimi literami pisane, świadectwa ze szkół i t. p. To też obrazowi lat dziecińczych i młodzieńczych poety, nie zbywa na pełności.

Tak np. do okresu dzieciństwa wiele przybywa szczegółów: sylwetki ojca i matki, nauka w domu pod kierunkiem Korzeniowskiego i Chlebowskiego, wrażenia z wakacyj w Opinogórze, stosunek do ojca i otoczenia, pierwsze listy i „Dziennik Podróży“, pisane podczas wycieczki z Warszawy do Dumajowie na Podolu w r. 1825 (miał wówczas lat 13), gdzie wszystko trzymane w stylu retorycznym i ponurym, jak późniejsze pierwsze powiastki.

Potem wrażenie, wyniesione z uniwersytetu, stosunek do kolegów i zwierzchności, pierwsza studencka miłość do Amelii z Bronikowskich Romanowej Załuskiej, lektura ówczesna („Konrad Wallenrod“ i romanse Walter-Scotta), wreszcie smutne zajście w uniwersytecie, które zniewoliło generała Krasińskiego do wysłania syna z kraju, dokąd nigdy już nie miał na dłużej powrócić.

Wreszcie twórczość warszawska, w której główną rolę gra motyw *zemsty* (pomysł Irydionowy!), dopełnia tego obrazu, odmalowanego żywo i barwnie.

Najciekawsze jednak z całej monografii są: księga druga: „Rok w Genewie“ i księga trzecia: „Rok cierpienia.“ Opiera się

tu autor na niewydanych listach do ojca, a także na korespondencji z Henrykiem Reevem, która jest poprostu skarbem dla dziejów rozwoju myślowego i genezy utworów Krasińskiego. Mamy więc przedewszystkiem stosunek do Reeve'a, człowieka, który w ewolucyi duchowej naszego poety grał tak znamioną rolę, otworzywszy mu oczy na rozległe horyzonty filozoficzne i społeczne. Po raz pierwszy również dowiadujemy się o szczegółach pierwszej prawdziwej miłości poety do młodej Angielki, Henryetty Willan, miłości gorącej i bolesnej, bo beznadziejnej: generał Krasiński ani słyszeć o tem nie chciał, by jego jedynak miał się żenić z osobą obcej narodowości. Doznał tu więc Krasiński pierwszych cierpień miłosnych, które hartowały jego ducha, były probierzem męskości i dały karm obfity romantycznej wyobraźni.

Dodać należy jeszcze jeden wpływ bardzo ważny, o którym głuche dotąd chodziły wieści, wpływ Mickiewicza; poznał się Zygmunt ze starszym o lat 14 Adamem w Genewie, a później we trzech z Odyńcem odbyli wspólną wycieczkę w Alpy Berneńskie i nad jezioro Czterech Kantonów, która wywarła zbawienny wpływ na rozwój duchowy Krasińskiego: „Ogółem podróż ta przyjemną mnie była — tak pisze Zygmunt do ojca — a towarzystwo Mickiewicza niezmiernie pożyteczne. Nauczyłem się od niego zimniej, piękniej, bezstronniej rzeczy tego świata uważać; wielu przesądów, uprzedzeń i fałszywych wyobrażeń się pozbyłem — i niezawodnie to wpływ będzie miało na dalsze moje życie, wpływ dobry i szlachetny.“

Dodajmy do tego studia naukowe i literackie: lekcye języka i literatury francuskiej Franciszka Rogeta, wykłady historii powszechnej znakomitego historyka Rzymu, Pelegrina Rossi, lekturę Byrona i pierwsze utwory, pisane pod jego wpływem („Sen Elżbiety Pileckiej,“ „On, ułamek z pamiętników życia młodzieńca“), a będziemy mieli pełny obraz wrażeń, myśli i uczuć poety w ten pierwszy rok pobytu w Genewie.

Drugi rok bodaj jeszcze ważniejszy. Pobyt w Rzymie wraz z Mickiewiczem, pierwsze wrażenia, wyniesione z Kolosseum, jakby zawiązek „Irydiona,“ a potem wieści o wybuchu rewolucyi w Warszawie i wszystkie przejścia duchowe poety podczas kampanii 1830—1831 r., zmaganie się fatalizmów rodzinnych i dziejowych w jego duszy, porywy, pragnienia, cierpienia i apatya. O tem wszystkim wiedziliśmy już dawniej; prof. Kallenbach zaś dorzuca jeszcze garść szczegółów niezmiernie charakterystycznych, zaczerpniętych z archiwów rodzinnych, np. list do ojca z dn. 14 ma-

ja r. 1831, list do Stanisława Krasińskiego z dn. 13 czerwca t. r., ranionego w jednej z bitew i t. p.

Natomiast rzeczą zupełnie nieznaną są obserwacje życia społecznego, które dały później groźne obrazy trzeciej części „Nieboskiej Komedyi:“ a więc bezrobocie robotników fabryk jedwabiu w Lyonie, więc propaganda uczniów S. Simona w Paryżu, więc znamienna rozmowa z dziewczyną w karczmie w Ferney, więc coraz bardziej umacniające się w jego umyśle przekonanie, że cywilizacja dzisiejsza stoi wobec jakiegoś straszliwego kataklizmu, w którym runą wszystkie fundamenty dzisiejszego bytu socjalnego. Mroczna idea o rychłym końcu dzisiejszego świata, znajdowała niejednokrotnie wyraz tak w jego korespondencji, jak i w utworach już z zeszłego roku, np. w ułamku p. t. „On,“ „Marzenie“ („Fragment d'un rêve“), teraz przybiera coraz wyraźniejsze kształty w „Adamie Szaleńcu.“ Główne zarysy „Nieboskiej Komedyi“ zaczynają wynurzać się w jego wyobraźni z mgły i chaosu przedstworzeniowego, a korespondencja z Reeveem, poważna i głęboka, daje mu powód do coraz głębszego zaciekania się w odmętach zagadek społecznych. Nie ulega też wątpliwości, że Henrykowi Reeve'owi zawdzięcza bohater „Nieboskiej“ swe imię, tak jak na postać Pankracego złożyły się rysy jednego z przyjaciół Reeve'a, demokraty Handley'a.

Prof. Kallenbachowi zawdzięczamy też stwierdzenie niezmiernie ważnego faktu, które zadało kłam teorii Klaczki o dośrodkowym rozwoju twórczości Krasińskiego, od kwestyj ogólnoludzkich do narodowych, od „Nieboskiej“ do „Irydiona.“ Obecnie jest już rzeczą niewątpliwą, że: *pomysł „Nieboskiej“ i pomysł „Irydiona“ kształtowały się równocześnie w jego wyobraźni.* Poeta już w r. 1831 i w korespondencji, i w utworach, np. „Adamie Szaleńcu“ wyraża myśl, że chaos, poprzedzający upadek starożytnego Rzymu i chaos dni dzisiejszych, posiadają wiele znamion wspólnych; a jednocześnie idea zemsty, która jest osią i podstawą wszystkich niemal dawniejszych jego utworów, ściera się wciąż w jego umyśle z nakazem chrześcijańskim przebaczenia. Z tego tarcia wznicięją się pierwsze iskry „Irydiona.“

W drugim tomie mamy obraz siedmioletnia od r. 1832—1838. Powrót do kraju, pobyt w Opinogórze, powtórne spotkanie się z panią Załuską, wyjazd do Petersburga, wypełniają pierwsze dwa rozdziały księgi czwartej; w dwóch następnych mamy rozbiór „Agaj-Hana“ i „Nieboskiej Komedyi.“ Geneza „Nieboskiej“ odтворzona jest w całej swojej pełni. Ciekawe jest nadzwyczaj to, co pisze Krasiński o tym swoim poemacie z Wiednia dn. 4 li-

pca 1832 r. do Gaszyńskiego: „Bohaterem tego dzieła ma być poeta, który wzięty, jako człowiek w sferze wypadków, jest wiecznie zerem — żonę zaniedbuje i do grobu wpędza, dziecko robi nieszczęśliwym, nareszcie wśród politycznych wypadków gra bardzo zabawną rolę, bo nic nie działającą i nic nie znaczącą, i trochę na arlekiina zakrawa. Wprawdzie i publikum, co się około niego rusza, niewiele więcej warte od poety, ale i to wielki krok, że mu *tragico-buffo* daje postać.“ Widzimy tu przedewszystkiem wyborną charakterystykę hr. Henryka, zgodną z tem, co wypowiedzieli o tej postaci Klaczko i Tarnowski, a potem zakwalifikowanie utworu do rodzaju *tragico-buffo* świadczy, że „Nieboska Komedia“ początkowo miała odznaczać się innym charakterem, tragicomicznym, później dopiero pod piórem poety nabierała wzniosłości i tragizmu.

W Wenecyi, w październiku r. 1833 Krasinśki wykończył do reszty „Nieboską Komedję,“ która początkowo miała nazywać się „Ludzka Komedia,“ później otrzymała nagłówek „Mąż,“ aż wreszcie weszła w fazę ostatecznej krystalizacyi.

Sam rozbiór krytyczny poematu niewiele zawiera nowych szczegółów, chociaż prof. Kallenbach rozwodzi się nad S. Simonistami (na tem polu miał świetnego poprzednika w osobie prof. Nehringa). Jest tu jednak pewien szczegół bardzo ciekawy: oto w sierpniu r. 1833 wyszedł prospekt polskiego pisma emigracyjnego p. t. „Niwa Polska,“ głoszący zasady s. simonistyczne, niezmiernie zbliżone do haseł, które głoszą: Pankracy i jego wyznawcy; jest rzeczą bardzo możliwą, że Krasinśkiemu wpadła w ręce ta publikacya. Kończy rozdział o „Nieboskiej“ wyszczególnienie wszystkich głosów krytycznych o poemacie aż do dzisiejszych czasów, co uważamy, w znacznej przynajmniej mierze, za rzecz zbędną.

Księga piąta kreśli dzieje miłości dla pani Joanny Bobrowej, tego romansu „à la Balzac,“ który dał poecie „raj“ i „piekło“ na ziemi — rzecz traktowana dyskretnie, nie dodaje wielu szczegółów do tego, co podał p. Höesick w swej „Miłości Zygmunta Krasinśkiego.“ Niezmiernie ciekawy jest zato trzeci rozdział tej księgi, geneza i rozbiór „Irydiona,“ który został ukończony wiosną r. 1836 w Wiedniu i nazwany w liście do Reeve'a z owego czasu „starą mogiłą.“ Myśl w samej rzeczy była stara, już bowiem w r. 1831 kiełkowała w umyśle poety, przybierając z biegiem czasu różne kształty i formy, aż wreszcie przyoblekła się w ostateczną postać. Prof. Kallenbach rozróżnia nader subtelnie następujące fazy ewolucyi pomysłu „Irydiona:“

I. Pierwsza mgławica z r. 1831: ogólne pragnienie zemsty w „Adamie Szaleńcu.“

II. Z tej mgławicy wyłania się w początkach 1833 r. w Petersburgu myśl wcielenia swoich własnych uczuć i pragnień w zmyśloną postać Greka za Cezarów; w tem stadyum poeta uznał zemstę za jałową i niezgodną z zasadami chrześcijańskimi, a poświęcenie i rezygnacya brały górę. Myśl ta, wcielona w utwór p. t. „Synteza,“ została uznana za „piękną“ przez ojca; podał ją prof. Kallenbach w uzupełnieniach tego tomu.

III. Zagranicą, w r. 1834 i 1835 idea mściwości bierze górę; Irydion ginie dlatego tylko, że przybył za *wcześniej*, ale poeta zemsty nie potępia (tak streścił Krasiński swój pomysł w liście do Reeve'a z dn. 3 czerwca 1835 r.).

IV. Mściwość potępiona, Irydion *zgubiony na wieki*, jak to widzimy ze „Wstępu“ do poematu, pisanego pod koniec 1835 r.

V. Irydion zbawiony „modlitwą Kornelii“ i skazany na „powtórny próbe,“ jak to widzimy w ostatecznej redakcyi z samego początku 1836 r.

Rozbiór krytyczny „Irydiona“ również jest bardzo nauczający: postać Masinissy wyjaśniona dokładnie, rola chrześcijan w spisku Irydiona, z obłoków symbolizmu, w których umieszczał ją Tarnowski, przeniesiona słusznie bardzo na grunt realny, wpływ „Hamleta“ po raz pierwszy wyłożony jasno i przekonująco.

Ostatnia wreszcie księga, szósta, daje obraz dalszych perypetyj stosunku do Bobrowej aż do przymusowego rozstania (1836—1838). Jest to, jak wiadomo, epoka przelomowa w dziejach twórczości Krasińskiego, chwila ścierania się sprzecznych poglądów i ideałów, okres zwątpienia i chaosu myślowego. Cały ten proces duchowy został umiejętnie i źródłowo przedstawiony przez prof. Kallenbacha; zwłaszcza nader nauczający jest tu list do ojca z Florencyi z dn. 26 stycznia 1836 r., w którym zawiera się nadzwyczaj ostra krytyka naszej przeszłości dziejowej, brzmiąca bardzo dziwnie w ustach późniejszego autora „Przedświtu.“

Ciekawe są tu ustępy o pierwszym spotkaniu Krasińskiego ze Słowackim w Rzymie, w maju r. 1836, a także o wpływie Jean Paula na umysłowość naszego poety, który odzywa się o nim z entuzjazmem w swych listach do ojca i Reeve'a.

Wreszcie ostatni rozdział książki zamyka rozbiór utworów z tego okresu, właściwie, z r. 1837. Mamy tu po raz pierwszy genezę i krytykę „Wandy,“ która nie jest dziełem natchnienia, lecz raczej uczonym płodem czytania w kronikach i mitologiach germańskiej i pseudo-słowiańskiej Długoszowej, a także „Modli-

tewnika“ dla pani Bobrowej. Doskonały jest też rozbiór „Nocy Letniej“ i „Pokusy:“ autor oczyszcza te utwory z licznych a niesłusznych poniekąd zarzutów, kreśli dzieje ich powstania, szuka pobudek ich napisania i t. p.; tak np. „Noc Letnia“ powstała z powodu małżeństwa Stefanii Radziwiłłowej z ks. Ludwikiem Sayn-Wittgensteinem.

Prof. Kallenbach dał nam bardzo wiele, doprowadził nas niemal do progów „Przedświtu.“ Oczywiście, pozostaje dużo jeszcze do zrobienia, może nawet przed ukazaniem się w druku owych dwudziestu tomów korespondencyi. Wszystko to leży jeszcze otworem przed przyszłym badaczem; otwiera się wdzięczne pole pracy, której całokształtu nie mógł podjąć prof. Kallenbach ze względu na ramy chronologiczne swej monografii. Oto np. uwaga, która gwałtem nasuwa się nam pod pióro. Mówiliśmy o pobycie w Genewie, jako o kolebce wszystkich niemal pomysłów poetyckich: „Nieboskiej,“ „Irydiona,“ „Przedświtu,“ „Ostatniego,“ „Dnia Dzisiejszego,“ sceny „Podziemi Weneckich“ i t. d. Dodać jeszcze należy, że pomysły te peryodycznie powracają w różnych postaciach w jego utworach aż do ostatecznego skryształizowania, jak widzieliśmy np. najlepiej na przykładzie „Nieboskiej Komedyi“ lub „Irydiona.“ A oto np. motyw przesuwających się kolejno, jak w latarni czarnoksiężkiej, marzeń sennych, na wzór „Snu“ Byrona — ileż razy powtarza się on w utworach naszego poety od „Snu Elżbiety Pileckiej,“ fragmentu p. t. „On, ułamek z pamiętników życia młodzieńca,“ poprzez utwory francuskie z czasów genewskich, jak „Fragment d'un journal,“ „Fragment d'un rêve,“ poprzez urywek, zapisany w albumie p. Załuskiej w sierpniu r. 1832 w Opinogórze, aż do „Snu Cezary“ i fragmentu p. t. „Sen“ w „Nieboskiej Komedyi,“ części I.“ Prześledzenie drogi wszystkich tych motywów byłoby rzeczą niezmiernie ciekawą.

Prof. Kallenbach miał do rozporządzenia dużo materiału i korzystał z niego czasem może trochę schematycznie, ale naogół umiejętnie. Za wadę możnaby mu poczytać tylko zbyt wielką ilość cytat zbytecznych, o ile są wyjęte z dzieł powszechnie znanych. Natomiast cytaty z niewydanej korespondencyi są bardzo cenne i ciekawe. Czasem może materiały są jakgdyby za mało wyzyskane, podane w stanie surowym, chciałoby się pójść jeszcze dalej w interpretacji źródeł, ale najczęściej wywody autora trafiają nam zupełnie do przekonania. Czasem też niepotrzebnie bierze na siebie prof. Kallenbach rolę apologety, nawet w takich razach, gdzie najmniej powinniśmy się spodziewać obrony, ale naogół praca jego cechuje się nie tylko gruntowną wiedzą, ale

i prawością i bezstronnością; sam Zygmunt Krasiński jest u niego przedstawiony o wiele bardziej przedmiotowo, niż w monografii prof. Tarnowskiego.

HENRYK GALLE.

Dr. ZBIGNIEW PAZDRO. Organizacya i praktyka żydowskich sądów podwojewódzińskich w okresie 1746 — 1772 r. Na podstawie lwowskich materiałów archiwalnych. (Monografie z historii żydów w Polsce) Lwów 1903.

W lwowskiem Archiwum aktów grodzkich i ziemskich, wśród aktów grodu lwowskiego, kryje się sześć tomów różnej grubości sądów podwojewódzińskich lwowskich. Akta tego rodzaju należą wogóle do rzadkości i prócz lwowskich dochowały się jedynie trzy tomy aktów podwojewódzińskich w Krakowie i drobny urywek takichże aktów w Przemyślu. Na podstawie tych źródeł skreślił autor obraz sądów podwojewódzińskich nad żydami w epoce od 1746 do 1772, które się rozpadały na trzy różne instancje 1) sąd urzędu podwojewódzińskiego (officium), 2) sąd podwojewódziego (judicium), 3) sąd wojewody (judicium supremum). Wszystkie razem są oczywiście wypływem i wyrazem sądowniczej władzy wojewody. Pan podwojewodzi jest osobą namiestniczą wojewody; gdy podwojewodzi sam zasiada na sądach, mówi: sąd mój podwojewodzi; gdy sędzia sam wyrokuje, wyrażano się: sąd urzędu podwojewódzińskiego. Sąd podwojewódziński był jednostkowym a nie kolegjalnym. W niższej instancji wyrokującym był sędzia podwojewódziński, wyższej — podwojewodzi bez czynnego współudziału jakichkolwiek innych osób. Żydzi starsi bywali na posiedzeniach obecni, ale w skład trybunału, jako asesorowie, nie wchodzili. Niekiedy jednak sąd przybierał asesorów nie Żydów, a mianowicie wtedy, jeżeli mu przypadało sądzić pozwanego, nie podlegającego jego jurysdykcji.

Podwojewodzi był główną osobą, właściwym zastępcą wojewody w danym okręgu terytoryalnym, jaki mu zakreślił wojewoda, z władzą taką, w jaką on go wyposażył. Tylko szlachcic osiadły mógł być podwojewodzim; przytem podwojewodzi był urzędnikiem zaprzysiężonym. Drugi główny funkcjonaryusz, sędzia podwojewódziński, mianowany był przez wojewodę z dwóch kandydatów, których podawali starsi Żydzi miejscy i przedniejscy. Sądy odbywał podwojewodzi w obecności starszych żydowskich, a pod

niebytność wojewody, pisarz z starszymi żydowskimi w szkole żydowskiej musiał sądy i sprawy potoczne odprawować. Pisarz nie mógł być także przyjętym bez wiadomości starszych żydowskich. Instygator był bardzo ważną figurą w sądzie podwojewódzińskim. Był on wprawdzie przeważnie oskarżycielem publicznym, ale obok tego literalnie był on do wszystkiego. Z wielostronnych jego zajęć widzimy, iż był on komisarzem targowym, inspektorem przemysłowym, handlowym, cechowym, oczywiście tylko odnośnie do Żydów miejscowych, dalej sprawował policję bezpieczeństwa publicznego, nadzorował utrzymanie czystości na ulicach żydowskich, był komisarzem moralności, nadzorcą więzienia podwojewódzińskiego i osobiście odpowiedzialnym za więźniów, oddanych jego nadzorowi.

Jak podwojewodzi był zastępcą i reprezentantem wojewody w danym okręgu terytoryalnym, tak zastępcą i reprezentantem podwojewódziego był sędzia. Sędzia nie posiada żadnej samoistnej władzy, a i wskazanie granicy kompetencji, zarezerwowanej podwojewodzie, jest bardzo niepewne. W każdym razie podwojewodzi była to figura znaczna, z ładnymi dochodami, poparta powagą wojewody, który zbyt czasu nie miał na wymiar sprawiedliwości. Wyręczał się on zwykle sędzią i zachowywał sobie prawo apelacji od sędziego do siebie. Od podwojewódziego znowu można było apelować do wojewody, chociaż z tego prawa rzadko robiono użytek. Podwojewodzi ziemi lwowskiej i powiatu żydaczowskiego, miał w swoim okręgu terytoryalnym w r. 1765 przeszło 42,000 Żydów. Nie wszyscy jednak Żydzi podlegali jurysdykcji podwojewódzińskiej, wielu Żydów bowiem zagarniała pod swoją opiekę jurysdykcya patrymonialna. Pozbawieni byli opieki królewskiej wszyscy Żydzi osiedleni po wsiach i miastach prywatnych! Sądy podwojewódzińskie, w obrębie miasta Lwowa, uznawały jurysdykcję starościńską, zwalczały jednak wszelkie jurysdykcyje prywatne. Jurysdykcya starościńska rozciągała się nad Żydami, osiadłymi na gruntach starościńskich, w pobliżu zamku miejskiego, stąd nazywano ją jurysdykcję podzamecką. Wyjątkowo przed sąd podwojewódziński mogli być pozywani także i chrześcijanie.

Obok sądów wojewodzińskich działają także sądy własne żydowskie, które istniały w łonie zwierzchności żydowskich, t. j. kahałów, gdzie były osobne kolegia sędziowskie. Według statutu Zygmunta Augusta z 1569 r.: Żyda z Żydem sprawę mającego pan podwojewodzi ani pisarz sędzić nie powinni, jedno Żydowie, których na to pospólstwo żydowskie zgodnie zezwoliwszy na nie, obiera i wysadza. Dla spraw obustronnie żydowskich w pierw-

szej instancji są kompetentne obok sądów rabińskich, także podwojewódzińskie, czyli dla pewnego rodzaju spraw oba sądy działają konkurencyjnie. Od wyroków starszych żydowskich przysługuje apelacja do podwojewódzińskiego. We wszystkich sprawach chrześcijan przeciw Żydom, czy też Żydów przeciw Żydom, zawsze były stosowane normy prawa polskiego, a obok tego istniały prawdopodobnie jakieś zasady zwyczajowe sądów podwojewódzińskich. Wyjątkowo zdarza się, iż sąd podwojewódziński uwzględni normy i zwyczaje prawa żydowskiego. Gdyby jednak sąd żydowski przekroczył zakreślone sobie granice, w takim razie dopuszcza się zuchwałości i odpowiedzialnym jest cały in corpore. Cechy żydowskie zorganizowane zupełnie na wzór cechów chrześcijańskich, mają także pewną władzę sądowniczą nad członkami cechu.

Miejszem obrad sądu żydowskiego była szkoła czyli bóżnica. Wyjątkowo na żądanie powoda pozwalał wojewoda sądzić sędziemu u siebie w domu. Sądy odbywały się dwa razy w tydzień, w jeden dzień dla żydów miejskich, a w drugi dla przedmiejskich. Wogóle pozwy przed sądy wojewodzińskie były znacznie krótsze i prostsze, niż używane w innych sądach polskich. Również sądom wojewodzińskim obcą była zawila i sztuczna budowa rozprawy sądowej, jaką spotykamy w innych sądach polskich. Często dopuszczanym, a nawet nadużywanym był przez sądy podwojewódzińskie dowód z przysięgi. Nie było wypadku, aby chrześcijaninowi kazano przysięgać z Żydami. Zawsze trzymano się zasady, Żyd z Żydami. Dopuszczani do współprzysięgi musieli być uczciwi, wiarygodni, słuszni, nie notowani, nie podejrzani, a najczęściej nie krewni przysięgającej strony. Żony przysięgających musiały być podczas przysięgi przytomne i za każdym punktem powtarzać: „amen.“ Miejszem zwykłym przysięgi dla Żydów była synagoga. Przy juramencie asystował instygator i szkolnicy. Kobieta w ciąży nie mogła przysięgać, a gdy jej przysięga była niezbędna, sąd odraczał ją do wyjścia z połogu. W dni świąteczne Żydzi nie byli obowiązani przysięgać. Przysięgi Żydowskie składane były wogóle przed południem. Za krzywoprzysięstwo skazywano zwykle na ucięcie dwóch palców u prawej ręki, publicznie, przez mistrza.

Przeciwko dowodowi z dokumentów miał przeciwnik jeden tylko sposób obrony, t. j. zarzut, że dokument jest fałszywy. Nazywano to zadaniem fabrykacyi. Gdy wykazano fałszerstwo dokumentu, przeciwnik przegrywał nie tylko spór cywilny, lecz także spotykała go kara więzienia i grzywien. Co do dowodu ze świad-

ków, to praktyka była bardzo chwiejna. Dostarczanie świadków było zawsze rzeczą strony, która dowód prowadziła. Niedostarczenie ich mogło wpłynąć na upadek sprawy. Sąd nie wywierał nigdy nacisku na świadków, owszem, postępował z nimi bardzo względnie, nie było bowiem przymusu świadczenia. Kary pieniężne spotykamy bardzo często. Podwojewodzi i sędzia mieli niewątpliwie udział w dochodach z kar. Skarb wojewodziński partycypował również, a instygator miał specjalne dla siebie przeznaczone grzywny. Kara pieniężna musiała być najczęściej natychmiast wypłacana, co należy brać dosłownie: „nie wychodząc od sądu.“ Główną karą wolnościową była naturalnie kara więzienia. Wymiar tej kary bywał zwykle bardzo łagodny. Z reguły sądy podwojewodzińskie wymierzały areszt tylko w dniach albo tygodniach, a schodziły nawet do ułamków dni, np. pół dnia. Oprócz tego skazywano na kunę. Kuną zaś nazywano obręcz żelazną, wbitą w mur, w kącie synagogi, w którą zamykano przestępcę za rękę. Do kuny zamykano tylko na kilka godzin, ale zwykle w dzień świąteczny i to w czasie nabożeństwa. Oprócz tego było jeszcze za krzywoprzysięstwo, wypędzenie z miasta, pozbawienie godności, urzędu, zatrudnienia, a czasem sędzia wymyślał kary zastosowane do danego przestępstwa. Wreszcie znanem było przeproszenie czyli deprekacja, która nie może być zaliczona do kar we właściwym tego słowa znaczeniu.

Sąd podwojewodziński był przede wszystkim trybunałem apelacyjnym dla sądów starszych żydowskich, prowadził ścisły nadzór nie tylko nad funkcjami sędziowskimi, ale i nad skarbowością kahałów żydowskich.

Autor spożytkował w swej pracy wybornie i z niezwykłym zmysłem prawniczym, archiwalny materiał źródłowy, który miał do dyspozycji. Nadzwyczaj uważne odczytanie materiału źródłowego pozwoliło mu odtworzyć dokładny obraz sądów podwojewodzińskich oraz procedury stosowanej przed powyższymi sądami. Monografia sądom podwojewodzińskim poświęcona jest też niewątpliwie sumiennem i gruntownem studyum, które pozostanie cennym przyczynkiem do historii prawa polskiego.

A. R.

Kronika miesięczna.

Przed wyborami. — Z przedmieścia Warszawy. — Pogłoska o bibliotece publicznej. — „Półoświata“ i projekty p. Langego. — Ankieta rzemieślnicza. — Wspomnienie pozgonne: ś. p. prof. Edward Korczyński; — ś. p. Bronisław Zawadzki.

W chwili, kiedy to piszemy, ordynacya wyborcza dla Królestwa Polskiego nie została jeszcze ogłoszona, wiadomo już jednak, że ogłoszona będzie i że ilość posłów polskich, zaproponowana przez komisję hr. Solskiego, wynosić ma 36.

To wszystko pozwala nam już mówić o wyborach, jako o rzeczy prawie konkretnej.

Jesteśmy w przededniu ważnego, przełomowego momentu w naszym życiu narodowym. Za kilka miesięcy przedstawiciele nasi pojedą do Petersburga, aby w gronie posłów, którzy przybędą do „Dumy“ z całego obszaru Państwa, stać się rzecznikami naszych spraw i potrzeb.

Jaki będzie skład reprezentacji polskiej — tego w chwili obecnej przewidywać, ani w przybliżeniu nawet obliczać nie można. Wyrazić tylko należy życzenie, aby to byli ludzie *najlepsi*, t. j. ludzie, przejęci do głębi duchem obywatelskim, który jest najlepszym sternikiem tam, gdzie ważą się interesy narodu, gdzie na szale położone są jego dobra najwyższe.

Ci ludzie muszą wiedzieć, że występują na arenę historyczną i że każdy ich czyn będzie nietylko oceniony przez współczesnych, ale sądzony także kiedyś w przyszłości przed trybunałem dziejowym.

Życie nasze w ciągu długiego okresu lat płynęło takimi szlakami, że o kształceniu się politycznem drogą praktyki mo-

wy być nie mogło. Warunki nasze nie pozwalały na to i dla tego cała niemal inteligencja nasza stała się apolityczną.

Straciliśmy zmysł orientacyjny, zagubiliśmy naszą ciągłość dziejową, nie potrafiliśmy przystosowywać się do potrzeb czasu, popadliśmy w szereg błędów, które nie pozwalały nam oceniać trafnie tego, gdzie i w czym tkwi nasz *interes narodowy*, a że interes ten stanowić musi i powinien ós polityki narodowej, więc i polityka ta z konieczności schodziła na manowce. Błądziliśmy i błądzimy do tej pory. Najwymowniejszym zaś dowodem tego, są dzieje kilku miesięcy ostatnich, kiedy prądy polityczne, nurtujące społeczeństwo, zaczęły się ścierać z sobą, kiedy stronnictwa i partye poczęły uchylać przyłbice i z tajnych krąganków życia konspiracyjnego wyłoniły się na szerszej arenie publicznej.

Od tej chwili zawrzała walka, której tony zasadnicze uważny czytelnik łatwo mógł pochwycić, nawet na łamach wychodzących pod cenzurą rewolucyjną pism warszawskich.

Otóż walka ta wykazała przedewszystkiem naszą apolityczność, wykazała ten brak wyrobienia, o którym mówiliśmy powyżej.

Nie znaczy to jednak, żebyśmy ludzi, odpowiednich do przyjęcia mandatów poselskich, nie mieli.

Przeciwnie, pomimo wszystko w głębszych pokładach naszego życia narodowego utrzymał się i zachował w swojej formie nieskażonej typ dobrego obywatela, dla którego *salus populi* zawsze był *suprema lex* i który tej zasady nie pozbył się nawet w najzacieklejszej walce partyjnej.

Dzięki temu można mieć niejako pewność, że przy zbliżających się wyborach wyłonią się kandydatury ludzi, zupełnie przygotowanych do podjęcia obowiązków i do odegrania tej roli, jaka ich oczekuje.

Oczekując tedy na ostateczne rozwiązanie ważnej sprawy reprezentacji społeczeństwa polskiego w „Dumie“ petersburskiej i na rezultat wyborów — miejmy nadzieję, że zawsze Koło poselskie polskie nad Newą składać się będzie z dobrych obywateli kraju.

*

*

*

Jeżeli przedmieścia warszawskie roją się od przestępców, jeżeli złodzieja i nożowca spotkać tam można na każdym kroku — to w części jest w tem także wina Warszawy, która zdaje się nie dbać o to, co dzieje się na jej krańcach, poza jej rogatkami, tam, gdzie ucinają się nagle szeregi jasno płonących latarni gazowych, bruk możliwy i chodniki betonowe.

Tam — już niema śladów kultury — zaczyna się dzicz i barbarzyństwo, a tymczasem tam właśnie należy prowadzić najbardziej wyteżoną pracę sanacyjną.

W Londynie np. wszystkie towarzystwa filantropijne, wszystkie związki etyczne działają przede wszystkim na przedmieściach, w najuboższych dzielnicach tego olbrzymiego miasta, tam, gdzie pauperyzm i ciemnota rozlały się jak wielkie, nie do przebycia bagnisko.

Tam właśnie rozpoczynał swoją działalność tak obfitą i bogatą w owoce, świeżo zmarły Tomasz Jones Barnardo, ktoremu około 50,000 dzieci zawdzięcza wydobyć się z nędzy, tam zakładał on przytulki, żłobki, schronienia i t. d. Z wrażeń, zaczerpniętych w tych dzielnicach powstała też słynna jego książka „My first Arab and how i began my lifework“ („Mój pierwszy Arab i jak zacząłem dzieło życia swego.“ — „Arabami“ nazywają Anglicy dzieci, włóczące się bez opieki po ulicach).

U nas takich filantropów niema jeszcze. Nasze ubogie i nie-normalnie rozwijające się społeczeństwo nie zdobywa się jeszcze na szerszą akcyę w tym kierunku, na opiekę moralną nad dziećmi i ludnością przedmieść.

Pierwsze zaledwie kroki stawiamy na tem polu.

Piszący te słowa przekonał się o tem dowodnie, zwiedzając Wolę, która w ostatnich latach zjednała sobie nazwę krwawego przedmieścia Warszawy.

Oddawna już pisze się u nas i mówi wiele o panujących tam opłakanych zaiste stosunkach, oddawna mieszkaniec śródmieścia obawia się zajrzeć w tamte strony — a przecież nie zrobiono nic prawie, ażeby to złe, które tam jest, zwalczać i usuwać, ażeby zepsuciu moralnemu, upadkowi i ciemnocie przeciwstawić światło, dobro i piękno.

Przed niedawnym dopiero czasem powstała na Woli pierwsza instytucya o zadaniach kulturalnych. Założyła ją ks. Michałowa Radziwiłłowa, a zaopiekował się nią, rozwinął i rozszerzył wikaryusz parafii wolskiej, ks. Lipski.

Instytucyą tą jest *Sala zajęć dla chłopców*, mieszcząca się w zabudowaniach fabryki Luksemburga i Braci Maliszewskich, tuż obok nowego kościoła przy szosie wolskiej.

Około 300 chłopców znalazło tam naukę początkową i zajęcie. Około 300 istnień młodych, wyrwanych z najfatalniejszego otoczenia „złodziejów i nożowców“ uczy się tam czytać i pisać i poznaje rozmaite rodzaje pracy. Jedni zaprawiają się do tokarstwa, inni do rzeźby, jeszcze inni plotą kosze z wikliny, kapelusze ze słomy i t. d.

Roboty z tego zakresu oglądaliśmy w roku zeszłym na wystawie dziecięcej we Frascati, którą urządził ks. Zdzisław Lubomirski, chcąc zapoznać Warszawę z jej dziećmi ubogimi i pokazać jej, czem są sale zajęć, jakie dobrodziejstwo stanowią one dla ubogiej dziatwy.

Wrażenia jednak z wystawy zatarły się szybko w pamięci tych, co ją odwiedzali i dla dzieci uczyniono bardzo niewiele. Nowe sale zajęć nie powstały, stare walczą z brakiem środków materyalnych.

Między innymi ten brak środków szczególnie dotkliwym jest dla sali wolskiej, o której mówiliśmy powyżej.

— Jeżeli nie otrzymamy zasiłków czy to od ludzi dobrej woli, czy też od obywateli naszego przedmieścia — informowano nas na miejscu — to będziemy musieli ilość dzieci *ograniczyć*, a *ograniczyć* ją — to znaczy zepchnąć ponownie w otchłań tych, których już wydobyliśmy ztamtąd.

Słowa te zasługują na baczną uwagę.

„Krwawa wola“ tylko tą jedną drogą może się podźwignąć, tylko przez światło może się podnieść moralnie, tylko przez nie może zagładzić pamięć tych zbrodni, które w jej kronikach świecą niezatartymi plamami.

Czy więc dopuścimy, aby dzieci wolskie chowały się nadal na rzeżymieszków i nożowców, wałęsały się beczynn timer po ulicach i hodowały na zawodowych próżniaków — czy też wyciągniemy rękę w tamtą stronę i podamy ją tym, którzy pomocy potrzebują?

Takiego filantropa, jak Barnardo, niema wśród nas, ale świadoma swych celów wola zbiorowa może dokonać równie wiele, a może i więcej, trzeba ją tylko zbudzić w sobie i wyteńczyć.

*

*

W pismach codziennych ukazała się wiadomość o tem, że p. Seweryn Smolikowski, znany biblioman i kolekcjonista, właściciel cennych i ciekawych zbiorów, zamierza wybudować, urządzić i otworzyć dla szerokiej publiczności bibliotekę, składającą się z kilkudziesięciu tysięcy tomów.

Wiadomości tej p. Smolikowski poniekąd zaprzeczył, ale też i poniekąd potwierdził ją, wobec czego sprawa nabrała znaczenia pierwszorzędnego dla życia umysłowego Warszawy.

Tyle jest u nas bibliotek prywatnych mniejszych, posiadających pewną wartość i z góry skazanych na to, że po śmierci ich właścicieli rozproszą się one pomiędzy ludźmi i dostaną się w ręce antykwaryuszów, że doprawdy — każdy posiadacz takiej biblioteki, gromadzonej nieraz z prawdziwym zamiłowaniem i z wielkim wysiłkiem materyalnym — o ile tylko nie ma pewności, że jego spadkobiercy ten warsztat pracy naukowej ocenią i należyście spożytkują — powinien zawczasu pomyśleć o zapewnieniu mu trwałości, a trwałość tę jedynie zapewnia książkom przekazanie ich większej publicznej lub prywatnej bibliotece. Tam książki te spełnią najlepiej swoją rolę naukową i cywilizacyjną, tam będą one pożyteczne dla współczesnych i dla przyszłych pokoleń.

Zresztą, nie można wątpić, że z chwilą, kiedy p. Smolikowski bibliotekę swoją otworzy, a zwłaszcza z chwilą, kiedy fundacyę swoją i jej stosunek do społeczeństwa będzie mógł ściśle i jasno określić — społeczeństwo to specjalnemi względami otoczy nową instytucyę i ze wszystkich sił będzie ją ofiarnością swoją wspierało. Jest bowiem w całym kraju, a szczególnie w Warszawie, głębokie zrozumienie potrzeby biblioteki zasobnej i łatwo dostępnej dla wszystkich. Dziś ani biblioteka uniwersytecka, która zaledwie w ciągu kilku godzin dziennie otwarta jest dla publiczności, a podczas wszystkich feryj i długich, trzy miesiące trwających wakacyj, staje się zupełnie niedostępną, ani też prywatne biblioteki ordynackie Zamoyskich i Krasińskich — nie mogą potrzebom zadość uczynić.

Ztąd wynikają te niepospolite i w żadnym innem większem ognisku kultury nieznanne trudności, jakie napotyka w Warszawie każdy w wydobyciu tej lub innej książki. Stąd wypływa też poniekąd i to smutne zjawisko, że nauka polska, która niegdyś miała w Warszawie swoje ognisko główne, powoli przeniosła się do Krakowa i Lwowa i że na palcach niemal policzyć można te prace naukowe, które w ostatnich dziesiątkach lat wykonane zostały przez uczonych warszawskich w Warszawie.

Ruch naukowy osłabł u nas — to rzecz oddawna stwierdzona, obudzić go zaś, podtrzymać i rozwinąć może tylko stworzenie odpowiedniej atmosfery naukowej, a pierwszym do tego warunkiem i krokiem jest niewątpliwie dobrze uposażona *biblioteka*.

Cały też oświecony ogół polski czeka i czekać na nią będzie niecierpliwie.

*

*

*

Prasa nasza nie przestaje zajmować się walką z analfabetyzmem, słusznie wysuwając potrzebę tej walki na czoło potrzeb chwili.

Do głosów i projektów, które już na tem miejscu notowaliśmy poprzednio, należy dołączyć obecnie projekt znanego poety, Ant. Langego, wydrukowany w nr. 264 *Kuryera Warszawskiego*.

Autor tego projektu zwraca uwagę nie tylko na analfabetyzm bezwzględny, ale i na t. zw. *półoświatę* i podkreśla istniejący u nas *niedorozwój oświecenia*, stwierdzając, że z małemi wyjątkami „u nas nikt nic nie umie.“

Dotyczy to sfer bardzo szerokich, a przedewszystkiem tych ludzi, którzy ukończyli gimnazya po zwinięciu Szkoły Głównej i założeniu obecnego uniwersytetu warszawskiego.

Wadliwość szkół średnich — mówi p. Lange — przedewszystkiem polega na tem, że to były szkoły społeczeństwu obce, ale prócz tego i na tem, że były to szkoły wogóle złe, w których nikt niczego się nie nauczył i nic nie umie.

Po wyjściu z takiej szkoły wszystko spływało, jak woda, i zapominało się, jak sen.

„Jeżeli więc mówię o analfabetach — czytamy nieco dalej — to mam na myśli przynajmniej 90% naszych warstw oświeconych. O tych więc warstwach należy także pomyśleć.“

Szkoły średnie staną się oczywiście pierwszą troską instytucyj samorządnych, ale p. Lange zwraca zawczasu uwagę na potrzebę stworzenia różnorodnych pomocy naukowych dla tych warstw, które już z owych szkół, ze względu na swój wiek, nie będą mogły korzystać.

Ostatniemi czasy zaczęło się u nas rozwijać samouctwo, ale nasza literatura podręcznikowa tyle przedstawia luk, że nie tylko

w wyższym, ale i w średnim kursie niema ani jednego działu, w któryinby samouk nie był zmuszony szukać pomocy w językach obcych.

A zatem staje się sprawą najwyższej wagi, sprawą fundamentalną — założenie wielkiego wydawnictwa podręczników naukowych.

Coś podobnego — zaznacza p. Lange — podobno już tworzy się w Warszawie, dotyczy jednak podręczników *czysto szkolnych*. Tymczasem obok nich nie należy zapominać i o tych gałęziach wiedzy, których w programie szkolnym niema. Doskonały wzór takiej seryi stanowią znane *Katechizmy* Webera, *Collection* Gösche-na, lub włoskie *Manuali* Hoepli'ego.

W związku z powyższem wydawnictwem, jako nowy, żywo-tny sposób upowszechnienia oświaty, zwraca p. Lange uwagę na sprawę założenia *uniwersytetu wolnego* w rodzaju choćby tych wykładów powszechnych, które odbywają się w Galicyi, nie tylko w Krakowie i we Lwowie, ale i po prowincyi.

Jednakże — mówi p. Lange — wykłady galicyjskie mają pe-wien charakter dorywczy, gdy uniwersytet, o którym mowa, po-winien mieć swój plan określony, obejmując np. następujące przed-mioty: 1) *Instruction civique* — nauka o urządzeniach państwo-wych, o sejmie, o prawie państwowem i t. p. 2) Ekonomia poli-tyczna i Socyologia. 3) a) Historia Grecyi i Rzymu, b) Historia XIX w., c) Historia Polski. 4) a) Wykład najważniejszych dzieł epickich i dramatycznych literatury obcej, b) literatura polska. 5) Historia sztuki (ujawniona za pomocą latarni magicznej, jak to się robi np. w Paryżu). 6) Geografia i etnografia. 7) Techni-ka i historia wynalazków, zwłaszcza w XIX w. 8) Fizyka i che-mia. 9) Biologia. 10) Hygiena i nauka o człowieku (antropolo-gia fizyczna i psychologia). 11) Matematyka. 12) Historia porównawcza religii i historia filozofii.

Znakomitą pomoc do takich wykładów stanowiłaby *instytu-cya w rodzaju berlińskiej Uranii*, zawierająca w sobie gabinet fi-zyczny, laboratorium chemiczne, zbiory preparatów do anatomii porównawczej, zbiory przynajmniej krajowych wypchanych zwie-rząt i ptaków, akwarya, zbiory minerałów, modele do krystalog-rafii, modele maszyn i urządzeń technicznych, typy etnografi-czne, wzory do historii kostiumów, figury bogów pogańskich, kopie znakomitych rzeźb i t. d.

Przy *Uranii* powinna być założona *biblioteka*, niezależna od projektowanej biblioteki publicznej — *wielka czytelnia powszechna miejska* o zakresie popularnym.

Każde znakomitsze dzieło popularne powinnyby się znajdować w tej czytelni nie w jednym ale raczej w dwunastu egzemplarzach, a to z powodu, że wielka warszawska czytelnia powszechna powinna być niejako macierzą czytelni powszechnych, ogarniających całe Królestwo. Powinna to być czytelnia *wędrowną*, która z miejsca na miejsce się przenosi, w coraz innym okręgu — i zatrzymując się wszędzie na miesiąc, dwa, z zapasem jakiego tysiąca do 1½ tysiąca książek. Rzeczą tę uprawia się w Ameryce.

Prócz wędrownej czytelni — sam projektowany uniwersytet powinien mieć taki zasób sił profesorskich, aby część prelegentów mogła jeździć z wykładami na prowincję — i choć w pewnym stopniu odtwarzać wykłady warszawskie.

I jeszcze jeden środek uważa p. Lange za bardzo użyteczny w sprawie upowszechniania oświaty.

Nie jest to myśl nowa, owszem, rzecz tą praktykuje się często po wsiach, a polega na tem, że zazwyczaj dziesięć, dwanaście dworów, sąsiadujących z sobą, przeznacza wspólnie pewną, niewielką kwotę miesięczną (po 2—3 rb.) na zakup książek; poczem kolejno wybrane tomy wymieniają pomiędzy sobą i w ten sposób upowszechnia się czytelnictwo. Rzeczą więc w tem, aby ów system rozwinąć na szeroką skalę, zakładając jakby wielkie Towarzystwo *de propagandis libris*. Z tem jednocześnie powinien być związany energiczny *kolportaż książek*.

Wogóle więc dezyderaty p. Langego ująć można w 8 następujących punktów:

- 1-o) Założenie wielkiego wydawnictwa podręczników naukowych.
- 2-o) Założenie wolnej wszechnicy ludowej.
- 3-o) Założenie instytucji typu *Urania*.
- 4-o) Założenie *wielkiej czytelni powszechnej* w zasadzie stopnia średniego.
- 5-o) Czytelnie wędrowne.
- 6-o) Odczyty wędrowne.
- 7-o) Założenie Towarzystwa propagandy książek.
- 8-o) Kolportaż książek miejscowy i zamiejscowy.

Wszystko to jest pomyślane bardzo pięknie i wszystko jest nam bardzo potrzebne, ale wątpić należy, czy prędko zdobędziemy się na to, zwłaszcza, jeżeli dotychczasowe warunki tworzenia nowych instytucji, zakładania towarzystw naukowych i działania na polu oświaty nie ulegną gruntownym i daleko idącym zmianom.

Jeżeli stanie się to w niedługim czasie, w takim razie projekt p. Langego może liczyć na stopniowe urzeczywistnienie, gdyż całe społeczeństwo doskonale rozumie wielką wagę i konieczność ciągłych, nieprzerwanych w tym kierunku wysiłków.

Na razie jednak projekt pozostaje tylko projektem, nad którym przyjemnie jest się zastanowić, ale którego wykonać nie można.

*

*

*

Sprawa rzemiosł w naszym kraju nie jest dostatecznie zbada-
dana. Nieraz słyszymy o przesileniu w tej lub w innej gałęzi
rzemiosła, ale nie zdajemy sobie sprawy ani z przyczyn, które to
przesilenie wywołały, ani z tego, gdzie się to przesilenie odby-
wa — czy w całym kraju, czy też w pewnych tylko ośrodkach.
Nieraz słyszymy o potrzebach rzemieślników, ale nie zdobywamy
się na zaspokojenie tych potrzeb. Nieraz wołamy o podtrzymanie
upadającego wskutek współzawodnictwa produkcji fabrycznej
rzemiosła, ale go nie podtrzymujemy i t. d.

Wszystko to wynika ztąd, że nie znamy dostatecznie ani sił
wytwórczych kraju, ani rozmieszczenia tej wytwórczości, ani wa-
runków, w jakich praca rzemieślnicza odbywa się poza obrębem
Warszawy, oceniamy więc wszystkie zjawiska życia ekonomicz-
nego w tej dziedzinie z punktu stosunków, panujących w naj-
większym jego ośrodku, a z zupełnem przeoczeniem ośrodków
mniejszych.

Na fakt ten nieraz już zwracano w prasie naszej uwagę,
a świeżo zwróciła ją *Gazeta rzemieślnicza*, wychodząca obecnie
pod nowem a wytrawnem kierownictwem p. Zenona Pietkiewicza.

Nie poprzestała jednak *Gazeta* na suchych uwagach teore-
tycznych, jak to się zwykle u nas dzieje, ale przystąpiła odrazu
do praktycznego załatwienia kwestyi, ogłaszając *ankietę rzemieślni-
czą*. Ankieta owa polega na tem, że czytelnicy *Gazety* otrzymali
kwestyjonaryusz z prośbą o odpowiedzi możliwie ściśle i wyczer-
pujące na szereg następujących pytań:

1-o) Jakie gałęzie rzemiosł istnieją w danej okolicy? mie-
ście? osadzie? wsi? 2-o) Jakie są skale produkcji, jej środki

techniczne i rynki zbytu? 3-o) Ilu robotników w danych warsztatach pracuje? ich zarobki? uzdolnienie? 4-o) Jakie panują średnio ceny na tych rynkach, na których dane warsztaty zbywają swoje wyroby? 5-o) Czy na tych rynkach istnieje współzawodnictwo wyrobów obcych? niemieckich lub innych? jaka jest ich cena? dobroć? 6-o) Czy warsztaty, drobne zakłady i przedsiębiorstwa pracują oddzielnie, czy istniała lub istnieje dążność do pracy łącznej? 7-o) czy istnieje pośrednictwo w zbywaniu towarów i nabywaniu produktów surowych? 8-o) Jakie są warunki kredytowe danej gałęzi rzemiosł? 9-o) Jakich wyrobów brak na rynkach miejscowych? jakie mogłyby liczyć na pewny zbyt? 10-o) Jakie gałęzie rzemiosł w danej okolicy (mieście, miasteczku, osadzie, wsi) można byłoby stworzyć? jakie byłyby w przewidywaniu warunki produkcji (przypuszczalny koszt założenia przedsiębiorstwa, fabryczki, warsztatu, przerób surowych produktów miejscowych, wyzyskanie bogactw ziemnych)? 11-o) Jakiego zawodu rzemieślnicy mogliby liczyć na pracę w danych okolicach? majstrowie? podmajstrzy? czeladź? na jakich warunkach mogliby tę pracę zdobyć? 12-o) jaki byłby koszt dostawy wyrobów miejscowych do Warszawy i jakby się kalkulowały ceny z uwzględnieniem dostawy w stosunku do kosztów produkcji? końmi? wodą? kolejną?

Z kwestyonaryusza powyższego widać, że ułożony on został z głęboką znajomością rzeczy i obejmuje szeroki zakres stosunków, dotyczących rzemiosł w naszym kraju.

Jedynie zachodzić może obawa co do tego, czy czytelnicy *Gazety rzemieślniczej*, do rąk których kwestyonaryusz powyższy dostanie się przedewszystkiem, są dostatecznie przygotowani do udzielenia ścisłych odpowiedzi, mogących stanowić materiał publicystyczny, a nawet naukowy dla ekonomistów. I dla tego właśnie uważaliśmy za stosowne powtórzyć tutaj treść kwestyonaryusza w nadziei, że tą drogą trafi on może do ludzi lepiej z całokształtem stosunków obeznanych, zwłaszcza, że idzie tu przedewszystkiem o *provincye*, gdzie inteligencji rzemieślniczej jest bardzo mało.

Druga rzecz, która mimowoli nasuwa się pod pióro, to obawa o to, ażeby kwestyonaryusza tego nie spotkał los, jaki spotyka u nas wogóle wszelkie kwestyonaryusze, t. j. że ilość odpowiedzi nadesłanych będzie zbyt skąpa, ażeby można było na ich podstawie jakiegokolwiek wnioski opierać.

Znany jest powszechnie brak wśród naszego społeczeństwa kultury w tym względzie i to karygodne lenistwo, z jakim od-

powiadamy, a raczej wskutek którego *nie odpowiadamy* na listy i zapytania.

Otóż, aby jakiegokolwiek rezultaty ankieta *Gazety rzemieślniczej* osiągnąć mogła, należy starać się o możliwie szerokie popularyzowanie kwestyjonariusza i o zachęcanie tych, którzy mogą w tym kierunku informować, do informowania niezwłocznego i jaknajbardziej szczegółowego.

I to jest drugi powód, dla którego na kwestyjonaryusz zwracamy uwagę czytelników *Biblioteki*.

*

*

*

Dnia 23 września r. b. zmarł w Krakowie jeden z wybitniejszych przedstawicieli polskiej nauki lekarskiej, profesor zwyczajny wszechnicy tamtejszej, dr. Edward Korczyński.

Ś. p. Edward Korczyński przyszedł na świat w r. 1844 w Dobromilu. Kształcił się w Sanoku i w Krakowie, a następnie studyował medycynę na uniwersytecie Jagiellońskim. Ukończywszy studia w r. 1868 ze stopniem doktora wszech nauk lekarskich, powołany został niezwłocznie na asystenta przy klinice terapeutycznej uniw. Krakowskiego. Na tem stanowisku przebywał lat kilka, szybko posuwając się w górę. W r. 1874 został już profesorem patologii i terapii szczegółowej, oraz dyrektorem kliniki. W r. 1881 zajął wybitne stanowisko prymariusza oddziału chorób wewnętrznych w szpitalu Ś-go Łazarza i rozwinął jednocześnie szeroką działalność naukową na stanowisku profesora.

Do głównych zasług jego naukowych należy założenie w Krakowie „Towarzystwa wydawnictwa dzieł lekarskich polskich,” które w r. 1899 otrzymało nazwę „Wydawnictwa im. Edwarda Korczyńskiego.” Bibliografia medycyny polskiej wykazuje cały szereg dzieł naukowych, wydanych pod tą firmą.

Z prac naukowych samego profesora, ogłaszanych bądź oddzielnie, bądź w krakowskim „Przeglądzie lekarskim,” bądź też w czasopismach fachowych, niemieckich i francuskich, na wyróżnienie zasługują: „Najnowsze prace o pylicy płucowej,” „Nowsze teorye gorączki,” „Zapalenie stawów ze stanowiska etyologicznego z przeważnym uwzględnieniem gościa stawowego i ropnicy“

i t. d. Przeważnie jednak prace prof. Korczyńskiego mieści wydawany przez niego oddawna „Zbiór prac klinicznych.“

Również znaczne zasługi położył ś. p. prof. Korczyński na stanowisku prezesa Krakowskiego Towarzystwa lekarskiego, które pod jego sterem znacznie się ożywiło i rozszerzyło swoją działalność.

Mniej szczęśliwy był zmarły profesor w stosunku swoim do młodzieży, zwłaszcza w okresie swojego rektoratu, który piastował w r. 1889/1890. Rok ten zaznaczył się zaburzeniami w uniwersytecie krakowskim i stanowiska, jakie wobec zaburzeń tych zajął wówczas rektor Korczyński, długo młodzież wybaczyć mu nie mogła.

Pomimo to jednak, jako promieniująca na młodzież siła naukowa, pozostawił po sobie ś. p. prof. Korczyński niezatarte wspomnienie w uniwersytecie krakowskim, dla którego też strata, wyrażona przez śmierć jego, jest niewątpliwie stratą ciężką i do powetowania trudną.

*

*

*

Dnia 27 września r. b. zmarł nagle znany i wysoko ceniony dziennikarz, kierownik działu politycznego w *Kuryerze Warszawskim*, ś. p. Bronisław Zawadzki.

Urodzony w r. 1849 w Iwanówce, w Galicyi wschodniej, ś. p. Zawadzki kształcił się we Lwowie, gdzie ukończył gimnazjum i uniwersytet. Pierwsze kroki literackie stawiał pod okiem znacznie starszego od siebie brata, ś. p. Władysława, chlubnie znanego pisarza. Już w r. 1871 ś. p. Bronisław zwrócił był na siebie uwagę kół czytających szeregiem artykułów, zamieszczonych w *Gazecie narodowej*, a zatytułowanych „Listy Juniusa.“

Wkrótce potem został Zawadzki kierownikiem „Świt“ i „Ruchu literackiego.“

Jednocześnie zadzierzgnął stosunki literackie z Warszawą, występując w *Gazecie polskiej* za redakcyi ś. p. Lea, jako korespondent z Galicyi.

Korespondencyami temi zdobył sobie szybko uznanie i po przyjeździe do Warszawy odrazu znalazł zajęcie stałe naprzód w *Wieku*, później w *Kuryerze Warszawskim*.

Było to przed laty 27 i przez ten cały czas ś. p. Zawadzki nie rozstawał się ani na chwilę z *Kuryerem*, zdobywszy w nim samodzielne i ważne stanowisko.

Jego „przeglądy polityczne,” pisane barwnym i żywym piórem, miały zawsze czytelników i zawsze stały na wysokości zadania.

Wprawdzie w sferach literacko-publicystycznych nieraz czyniono Zawadzkiemu zarzut z tego, że za bardzo posługuje się dźwięcznym frazesem, ale dla takiego właśnie dziennika, jak *Kuryer*, który jest przeznaczony dla warstw jaknajszerszych, artykuły te były odpowiednie i specjalną miały wartość.

Poza publicystyką, która była dla Zawadzkiego mozolną pracą na chleb, uprawiał on także literaturę poważniejszą. Obok szeregu artykułów, szkiców i krytyk, rozsypanych po rozmaitych czasopismach, a zwłaszcza w *Echu muzycznym i teatralnym*, które przez czas pewien redagował, pozostała po nim monografia o Reju z Nagłowic, wyborny przekład *Estetyki* Lemcke'go i przekład „Historii literatury powszechnej” Jana Scherra, w której dział polski opracował samodzielnie i bez zarzutu.

Śmierć ś. p. Bronisława Zawadzkiego uczyniła w dziennikarstwie polskim wyłom. Ubył z jego kadrów pracownik inteligentny, wykształcony, sumienny i prawy. Ubył talent pierwszorzędny, który nie starł się na miał w żarnach trzydziestoletniej przeszłości pracy z dnia na dzień, ale do końca świecił i długo jeszcze mógł świecić przebłyskami zdrowej myśli i pięknego słowa.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

ZJAZD REJOWSKI W KRAKOWIE.

Zjazd Rejowski, który ma mieć charakter zjazdu naukowego, historyczno-literackiego, odbędzie się w Krakowie w czasie od 27 do 31 grudnia r. 1905.

Organizacją Zjazdu zajmuje się Komitet, złożony z kilkudziesięciu członków Akademii Umiejętności krakowskiej i Komisyj akademickich. Zarząd Komitetu stanowią: Prezes Akademii *Stanisław hr. Tarnowski* jako prezes, *Prof. D-rowie Kazimierz Morawski i Józef Tretiak*, jako wiceprezesi, *Prof. D-r Wiktor Czermak* jako sekretarz.

Celem Zjazdu jest w pierwszym rzędzie uczczenie pamięci Mikołaja Reja; w drugim — obrady naukowe nad przedmiotami z zakresu historii, literatury i kultury polskiej XVI w.; w trzecim — wymiana myśli w sprawie kilku przedsięwzięć naukowych, ogólnego znaczenia, jakoto w sprawie ujednostajnienia i ustalenia pisowni polskiej i wydawnictwa polskiej Encyklopedyi naukowej.

Zjazd będzie obradował na posiedzeniach pełnych albo sekeyjnych. W ciągu trwania Zjazdu będą się odbywać codziennie dwa posiedzenia pełne, z udziałem wszystkich członków Zjazdu, jedno poranne, drugie popołudniowe (razem w ciągu pięciu dni dziesięć posiedzeń pełnych). Sekeye będą fakultatywne; to znaczy, że tak samo utworzenie sekeyj, jak i oznaczenie ich liczby i zakresu, będzie zawisłe od ilości i treści referatów, zapowiedzianych Komitetowi zjazdowemu przed 1-ym listopada b. r. i przez tenże Komitet do programu Zjazdu wciągniętych, a uznanych za nadające się najlepiej do omówienia na posiedzeniach sekeyjnych. Z góry postanowione jest jedynie utworzenie sekeyi dla sprawy ujednostajnienia i ustalenia pisowni polskiej. Sekeye będą czynne w godzinach, niezajętych obradami posiedzeń pełnych.

Na pierwszym posiedzeniu pełnym odbędzie się otwarcie Zjazdu i wybór zarządu; całe to posiedzenie będzie zresztą poświęcone obchodowi na cześć Reja. Na dalszych ośmiu posiedzeniach pełnych, od II—IX, odbywać się mają obrady naukowe, a to w takiej formie, iż będą na nich przedkładane przygotowane uprzednio w porozumieniu z Zarządem Komitetu reformy, nad którymi toczyć się może dyskusya. Na każdym posiedzeniu będzie przedłożony jeden referat ogólny, a nadto na wszystkie posiedzenia, z wyjątkiem trzech ostatnich, mogą być wprowadzone pewne referaty specjalne o treści zdolnej zainteresować ogół historyków. Na posiedzeniach II—VII ma być omawiany dzisiejszy stan naszej wiedzy o Polsce XVI wieku, a więc stan literatury o dziejach politycznych, ustroju, kulturze polskiej z tego stulecia; a to w tym porządku, iż na II posiedzeniu będzie przedłożony referat o stanie literatury historycznej w zakresie dziejów politycznych Polski XVI wieku, na dalszych posiedzeniach po kolei referaty na temat historii religijnej Polski w tymże okresie czasu (III posiedzenie), historyi ustroju i prawa (IV posiedzenie), historyi literatury polskiej i językoznawstwa polskiego w zakresie XVI wieku (V posiedzenie), sztuki i przemysłu artystycznego (VI posiedzenie) i wreszcie historii Litwy (VII posiedzenie). Na VIII posiedzeniu pełnym będzie przedłożone sprawozdanie Sekcyi ortograficznej; IX-te zajmie się wyłącznie sprawą polskiej Encyklopedyi naukowej; poczem na X-tem nastąpi zamknięcie Zjazdu.

Na posiedzenia pełne II—VII będą dopuszczone nadto tylko referaty specjalne o tematach pozostających w związku z treścią głównego referatu, to znaczy, iż np. na posiedzenie poświęcone omówieniu stanu historyografii społecznej o dziejach politycznych XVI wieku będzie dopuszczony tylko referat o jakiejś kwestyi z zakresu historii politycznej Polski XVI wieku i t. d.

Referentów dla wymienionych wyżej referatów głównych obiera i zaprasza Komitet, zarządzający Zjazd; Zarząd Komitetu będzie natomiast przyjmował zgłoszenia referatów specjalnych. Ze zgłoszeniami takich referatów (w zakresie badań nad historią polityki, literatury, kultury polskiej i t. d. XVI wieku) należy się zwracać do sekretarza Zarządu. Komitet zastrzega sobie jednak prawo przyjmowania lub odrzucania proponowanych referatów, względnie przeznaczania ich na posiedzenia pełne lub sekcyjne, wedle swego uznania. Komitet będzie przyznawał pierwszeństwo referatom, opartym na przeprowadzonych już, szczegółowych studyach źródłowych; pożądane są zwłaszcza wyniki prac, przygotowanych do druku lub bliskich ukończenia. Zgłoszenia referatów będą przyjmowane do dnia 1 listopada b. r. Komitet nie wymaga przedłożenia referatu, sformułowanego na piśmie, przed terminem zebrań się Zjazdu; owszem, uważa za wystarczające, iżby referent, którego referat, zapowiedziany przed 1-szym listopada, zostanie włączony do programu, przyniósł rękopis referatu dopiero na sam Zjazd i po przedłożeniu treści onego na Zjeździe, doręczył tekst sekretarzowi Zjazdu.

Dokładny program Zjazdu z wykazem nazwisk referentów i tematów referatów będzie ogłoszony i rozesłany wpisanym na listę uczestników Zjazdu osobom na dwa tygodnie przed terminem pierwszego posiedzenia.

Uczestnikiem Zjazdu zostaje każdy z zaproszonych po złożeniu wkładki 10 koron i otrzymaniu karty uczestnictwa. Do przyjmowania wkładek i wydawania kart uczestnictwa upoważniony jest sekretarz Komitetu *Prof. D-r Wiktor Czermak* (Kraków, ul. Graniczna, nr. 7, II p.).

N O W E K S I A Ź K I.

REJ MIKOŁAJ: „Zwierzciadło.“ 1905. Fol.

Akademia Umiejętności w Krakowie, pragnąc uczcić czterechsetną rocznicę urodzin *Mikołaja Reja* trwałym pomnikiem jego niespożytych zasług około języka i literatury ojczystej, postanowiła sporządzić nowe wydanie jednego z najcenniejszych jego utworów „Zwierzciadła“ w postaci nowożytniej, oddającej jednak stylowe właściwości XVI stulecia.

Zgodnie z uchwałą Akademii, niniejsza książka zachowuje ile możności wszystkie cechy pierwodruku, od rycin i ozdób drukarskich aż do papieru i formatu. Dopełnia całości okładka w stylu XVI w. obmyślana przez artystycznego kierownika drukarni p. Jana Bukowskiego, a zatwierdzona uznaniem prof. D-ra Maryana Sokolowskiego; tylko zamiast używanego powszechnie za czasów Reya druku t. zw. gotyckiego użyto czcionki nowożytnego kroju tak zastosowane, że wydanie niniejsze liczbą stronic nie różni się od pierwszego. Prowadzący korektę profesorowie *Jan Czubek* i *Jan Łoś* przestrzegali ściśle, ażeby w przedruku zachowane były wszystkie właściwości a nawet dowolności pisowni pierwotne.—Książkę złożono i odbito w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego. Koszta wydania pokryto częściowo z funduszu ś. p. Andrzeja Deskura. Księgarnia Gebethnera i Wolffa w Warszawie zakupiła niemal cały nakład, ułatwiając w ten sposób Akademii wykonanie tak kosztownego przedsięwzięcia.

— KUTRZEBA STANISŁAW DR. Docent Uniw. Jagiell.: „Historja ustroju Polski w zarysie.“ Lwów 1905. Nakładem księgarni Polskiej B. Połonieckiego.

Dotąd dawał się odczuwać brak podręcznika, któryby przedstawiał historję ustroju państwa polskiego.— Nie są już dziś wystarczające prace Lengnich'a i Skrzetuskiego, ani też dzieła Bandtkiego, Hoffmana, Hüppego. Po ich ogłoszeniu opracowano wiele nieznanego dawniej materiału, wydano wiele monografij*specjalnych, dotyczących oddzielnych gałęzi historii politycznej naszego kraju, ale całokształtu ustroju Polski nie przedstawiono. Chcąc to wykonać wypadło autorowi niniejszej pracy zsumować wszystkie zebrane dotąd wiadomości—przedstawić synoptycznie cały zasób zebranego materiału, wykazać te luki, jakie w historii politycznego ustroju dawnej Polski daje się jeszcze w naszym piśmiennictwie zauważyć. A luk tych jest sporo, więcej niż by przypuszczać można. Autor niniejszej monografii, aczkolwiek w założeniu

swojem, kusić się nie chciał o wyczerpanie tak obszernego tematu, jakim jest ustroj Polski na przestrzeni 7-iu wieków, jakkolwiek położył sobie za zadanie wydanie tylko „zarysu” historii ustroju Polski, miał jednak wielkie trudności do przezwyciężenia, niejednokrotnie wkaczać musiał do zgola niedotkniętych przez naszych badaczy obszarów wiedzy prawnopolitycznej, w wielu razach musiał wypowiadać pojęcia nowe co do kwestyj dotąd nierozjaśnionych lub zgola nie dotkniętych przez naszą naukę. W całokształcie swojego „zarysu” nie mógł on bowiem pominąć żadnej ważniejszej kwestyi, mającej pierwszorzędne znaczenie w rozwoju naszego życia i ustroju państwowego.

Praca *dr. Kutrzeby* jest przygotowane do wielkiej monografii ustroju Polski, ale monografia taka dopiero wtedy ukazać się może, gdy poszczególne kwestye znajdą odpowiednie opracowanie. Dziś kusić się o taką pracę byłoby zadaniem przedczesnem. Dla tego *dr. Kutrzeba* daje nam obecnie tylko pobieżny podręcznik historii ustroju Polski. Podręcznik ten jednak ma wielkie znaczenie naukowe, stanowić on będzie podstawę do dalszych badań w tym kierunku.

Dla ogółu książka niniejsza jest bardzo pożyteczną, bo w przystępnym i jasnym wykładzie wiele poucza. Czyta się ją z wielkiem, nieustającym zajęciem.

Autor dzieli ciąg naszych dziejów na 5 okresów, które poprzedza okres wstępny — do połowy X w., dotyczący organizacji rodowej, okres I-szy dotyczy prawa książęcego t. j. rozpościera się do końca XII w., okres II-gi organizacji społeczeństwa, do śmierci Kazimierza W.; III-ci stanowy, do unii lubelskiej i pierwszego bezkrólewia 1572, IV-ty rzeszypospolitej szlacheckiej, do reform rozpoczętych w czasie ostatniego bezkrólewia 1764, V-ty reform, nieskończony, przerwany przez upadek państwa r. 1795.

Opracowując każdy z tych okresów autor podaje zwięzłą jego charakterystykę i w oddzielnych paragrafach opracowuje każdy ważniejszy element wpływający na zmiany zachodzące w ustroju państwowem danej epoki.

Po przeczytaniu niniejszego niewielkiego na pozór tomiku, zdumiewać się należy nad pracowitością autora, który tak obszerny przedmiot zbadał i potrafił go tak zwięzle czytelnikom swoim wyłożyć. Po za tem nabieramy przekonania, że praca niniejsza, jako nieodzowny podręcznik, znajdzie się na biurku każdego pracownika historycznego — w każdym domu, gdzie interesują się przeszłością polityczną naszego kraju.

F. P.

— WIERZBOWSKI THEODORUS: *Matricularum Regni Poloniae Summaria excussis codicibus, qui in Chartophylacio Maximo Varsoviensi asservantur. Pars I Casimiri IV regis tempora complectens (1447 — 1492). Varsaviae 1905.*

Przed paru dniami na półkach księgarskich ukazało się ważne dla historyków dzieło źródłowe, dawno oczekiwane. Księgi *Metryki* koronnej zawierające tak wiele pierwszorzędного materiału historycznego, mało były dotąd dostępne dla szerszego koła badaczy, z powodu braku drukowanego

inwentarza dokumentów zapisanych w księgach metrycznych. Indexa rękopiśmienne, znajdujące się w Archiwum, są z jednej strony bardzo niekompletne i nieodpowiadające dzisiejszym wymogom nauki; z drugiej strony dla nie wielkiej garstki ludzi tylko dostępne. Zarządzając ztem *prof. Wierzbowski* podjął wydawnictwo obliczone na długi szereg tomów a poświęcone szczegółowemu zinventaryzowaniu aktów Metryki koronnej, znajdującej się pod jego zarządem w Archiwum Głównem Warszawskiem. Obecnie ukazał się pierwszy tom tego szacownego wydawnictwa, ogłoszony kosztem kassy Mianowskiego. Obejmuje on okres czasu panowania Kazimierza Jagiellończyka 1447—1492. Z krótkiej łacińskiej przedmowy sz. wydawcy dowiadujemy się, że pierwsze książki Metryki kor., jakie się do dni naszych zachowały w Arch. Główn. datują właśnie od czasu koronacji Kazimierza IV—następnie wydawca podaje szczegółowy opis każdego woluminu i daje objaśnienia używanych przez siebie skrótów. W końcu książki znajdujemy chronologiczny wykaz dokumentów z przed 1447 r. wpisanych do ksiąg Metryki koronnej za panowania Kazimierza Jagiell. w ilości 79, począwszy od r. 1260. Następują potem szczegółowe indeksa: 1) rzeczowy 2) nazwisk osób i miejscowości oraz indeks ogólny.

F. P.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— HEROLD POLSKI. Rok 1905. *Dr. Franciszek Piekosiński*: Herbarz szlachty polskiej wieków średnich, części I teoretycznej pierwsza połowa; — *ks. Wojciech Wójcik Kojalowicz*: Herbarz szlachty litewskiej „Nomenclaturem“ zwany; *dr. Fr. Piekosiński*: Materyały do historii rodu Wereszowców polskich a zwłaszcza Rawiczów; — *Tenże*: Ród szlachecki Florkowskich, herbu własnego; — *Insygnia królewskie*.

— MIESIĘCZNIK TOWARZYSTWA SZKOŁY LUDOWEJ. Wrzesień. *M. Stępowski*: Z ruchu szkolnego w Królestwie Polskim; — *Jan Kania*: Czasopisma w czytelnich T. S. L.; — *dr. Zygmunt Gargas*: Cele i zadania teatrów włościańskich w Galicyi i ich stan obecny; — *Stanisław Leonhard dr.*: Wrażenia z lustracyi kół T. S. L.; *Marya Bandrowska*: Alkohol w życiu młodzieży szkolnej; — *Kazimierz Lutostawski*: Nauka czytania i pisanja w Anglii; — *Dział sprawozdawczy* T. S. L.

— *Toż*. Lipiec. *Adam Wodałowicz*: W zagłębiu Ostrawsko-Morawskiem; *dr. M. Stępowski*: Wykształcenie obywatelskie w Szwajcaryi; — *D. Sl.*: Kilka uwag z powodu wycieczek włościańskich; — *Place szkolne do zabaw*; — *Kursa wakacyjne dla nauczycieli ludowych w Cieszynie*.

— PRZEGLĄD POLSKI. Lipiec. Z pism Zofii z Fredrów hr. Szeptyckiej; II *Legenda, jakich ludzie mało, Bóg wiele zna*; — III. *Wołowe oczko*; — IV. *Wigilia Nowego Roku 1868*; — V. *Z roku 1850*; — VI. *Rozmowa ze starym dębem*

w Krościenku 5 października 1881 r.;— VII. Co mi się marzyło ostatniej nocy spędzonej w willi Leis, w Gries 1901 r.;— *dr. Maryan Zdziechowski*: Teraz albo nigdy;— Ruch religijny w Rosyi współczesnej;— *Zdzisław Jachimecki*: Z dzisiejszej muzyki niemieckiej;— *Alina Świdorska*: Dwie kaplice: I. Kaplica Zygmuntońska na Wawelu, II. Kaplica św. Kazimierza w Wilnie (z czterema rycinami);— *Moje przeprawy*;— *Pamiętnik Andrzeja hr. Zamoyskiego o czasach powstania listopadowego (1830—1831) z autografu wydał Alkar* (c. d.); *Władysław Gniewosz*: Sprawy krajowe;— *Przegląd polityczny*.

— RUCH CHRZEŚCJAŃSKO-SPOŁ. Lipiec. *Ks. Niesiołowski*: O kasach oszczędności dla dzieci i młodzieży;— *J. Teska*: Strejk robotników w Gnieźnie (dok.);— *Józef Goździewicz*: O czas pracy robotnic fabrycznych;— *ks. W. Reiter*: Publiczna opieka nad ubogimi w Niemczech (dok.);— *ks. W.*: Dla początkujących patronów towarzystw robotniczych;— *Stanisław Nowicki*: Czy strejki są dla robotników korzystne;— Ruch ekonomiczno-społeczny;— Z ruchu socjalistycznego;— *Socjalna obrona prawna*.

— ŚWIAT SŁOWIAŃSKI. Czerwiec. Słowiański interes w sprawie polskiej;— *dr. Zygmunt Gargas*:— Ruch słowiański a życie realne;— Wtóry list otwarty I. F. Pantelejewa do prof. Zdziechowskiego;— *Sdl.*: Rosya federalcyjna;— *Sergiusz Szaparow*:— Samodierżawie i samouprawlenie;— *Roman Zawiliński*: Serbowie łużyccy w r. 1904;— *Tadeusz Stanisław Grabowski*:— Adolf Heyduk. Recenzje i sprawozdania przez *Grz. Siedleckiego* i *dr. T. Grabowskiego*. Z prasy ruskiej, rosyjskiej, czeskiej, południowo-słowiańskiej;— *K.*: Konferencye w sprawie obrządku rzymsko-słowiańskiego, kwestya unicka.“

— WIADOMOŚCI NUMIZMATYCZNO-ARCHEOLOGICZNE. R. XVI, t. V, nr. 1 (61). *K. Bołsunowski*: Minusińsk, jako centrum kultury i bronzu;— *Józef Zieliński*: Holland Stefan (Steven von Holland), medalier niderlandzki XVI wieku;— *dr. Z. Zakrzewski*: Monety średniowieczne wykopane w Ostrowie nad Gopłem (dok.);— *dr. Feliks Kopera*: Materiały do inwentaryzacji zabytków sztuki i kultury w Polsce (c. d.);— *Walery Kostrzębski*: O denarach Słowian zwanych wendyjskimi (dok.);— *M. Marcinowski*: Inwentarz zamku krakowskiego anno dni 1787 ultimis Junii spisany (dok.).

B I B L I O G R A F I A.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

BRZozowski STAN. Logika. (Ks. dla wszystkich Nr. 273). 16-ka str. 150.

CHOTKOWSKI WŁADYSŁAW Ks. Historia polityczna dawnych klasztorów panieńskich w Galicyi 1773—1848 na podstawie akt cesarskiej kancelaryi nadwornej. Z zasiłkiem Akademii umiejętności. Gebethner i Sp. 8-a, str. XV i 431.

HUME DAWID. Badania dotyczące rozumu ludzkiego. (An Enquiry Human Understanding). Przekładu dokonali *Dr. Jan L. Łuskiewicz, Prof. Dr. Kaz. Twardowski*. (Wydaw. Polsk. Tow. Filozof.). Lwów H. A.

JELSKI ALEKSANDER. Znaczenie sławy ludzkiej ze stanowiska chrześcijańskiego (studjum etyczne). Warszawa, 1905. Skł. gł. w księg. J. Lisowskiej. 8-ka str. 15.

ŁUBIEŃSKI BERNARD O. Żywot św. brata Gerarda Majela ze zgromadzenia OO. Redemptorystów. 2 wydanie. Kraków, 1905. Spółka wyd. pols. 8-ka, str. 448 i 2 nl. z 1 wizer.

H I S T O R Y A.

BŁOS WILHELM. Rewolucya Francuska. Przekład z upoważnienia autora z drugiego wydania niemieckiego, w dwóch tomach. Kraków. „Ks.“

BOBRZYŃSKI M., JAWORSKI L. W. i MILEWSKI J. Z dziejów odrodzenia politycznego Galicyi 1850—1875. Nakł. Gebethn. i Wolffa. 8-ka, str. VIII i 515.

HANDELSMAN MARCELL. Trzy konstytucye (1791, 1807, 1815). (Wydawnictwo młodych prawników. Tom 1). Kraków, Dr. N.

KĘTRZYŃSKI WOJCIECH DR. Przydomki szlachty pomorskiej. Lwów, 1905. Nakł. i druk. Zakładu nar. im. Ossolińskich. 8-ka, str. 23.

KONECZNY F. DR. Dzieje narodu polskiego opowiedziane dla młodzieży. Warszawa, 1905. Nakł. księg. Gebeth. i Wolffa. W Krakowie Gebethner i Sp. 8-ka, str. 314.

KUTRZERA STANISŁAW DR. Historia ustroju Polski w zarysie. Lwów, 1905. Nakł. księg. Pols. B. Polonieckiego, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-ka, str. 263.

SOBIESKI WACŁAW. Trybun ludu szlacheckiego. Studium historyczne. G. W. 1905 (O J. Zamoyskim).

SYGAŃSKI JAN KS. T. J. Analekta sandeekie do XVI i XVII wieku. Lwów, 1905. Nakł. autora, Seyfarth i Czajkowski. 8-ka, str. 115 z planem miasta (z r. 1783).

HISTORIA LITERATURY.

JANIK MICHAŁ DR. Mikolaj Rej z Nagłowic. Charakterystyki literackie pisarzy polskich XIV. „Bibl. powszechna“ nr. 521-523. Lwów-Złoczów, 1905. Nakł. i druk. W. Zukerkandla, 1905. 8-ka, str. 186.

JEBB R. C. Historia Literatury Greckiej. Przełożył z angielskiego Wł. M. Kozłowski. (Podstawy wykształcenia współczesnego, tom VIII). M. A.

NOWICKI WŁADYSŁAW. Wypisy do nauki Literatury Polskiej w zakresie szkoły średniej w porządku chronologicznym. II Literatura mickiewiczowska i nowożytna. M. A.

TARNOWSKI STANISŁAW. Historia literatury polskiej. Tom VI, część I, wiek XIX 1850-1863. Kraków, 1905. Nakł. autora. 8-ka, str. XI + 367.

TOWARZYSTWO WYŻSZYCH KURSÓW WAKACYJNYCH. Program wykładów. Rok II. Kraków, 1905. Nakł. Tow. 8-ka, str. 72.

WRZOSEK ADAM. Zarys życia Jędrzeja Śniadeckiego i krótki rozbiór jego „Teorii jestestw organicznych.“ Poznań. 1905. 8-ka, str. 64 i 2 nl.

NAUKI ŚCISŁE.

RUNDO H. DR. (Łódź). O cholery, z kąd do nas przychodzi, jaka jest jej przyczyna i w jaki sposób jej się ustrzedz można, z trzema rysunkami w tekście i mapką. Warszawa, 1905. Nakł. Tow. Akcyjnego S. Orgelbrandów. 8-ka, str. 21.

LESZCZYŃSKI ROMAN DR. Pogląd nowszych środków wewnętrznych przeciwrzeżączkowych i uwagi o ich działaniu. Odb. z „Przeł. lekar.“ Kraków, 1905. 8-ka, str. 8.

NOWOTNY FRANCISZEK DR. Przyczynek do kazuistyki ciał obcych w oskrzelach tchawicy. Odb. z „Przeł. lek.“ Kraków. 1905. 8-ka str. 8.

PALMIŃSKI WŁ. DR. O cholery i walce z nią. Warszawa, 1905. Wykład popularny. Nakł. E. Kolińskiego. 8-ka, str. 16.

PORADNIK DLA SAMOUKÓW. Część V zeszyt II. Świat i człowiek. Zawiera: Rozwój stosunków gospodarczych *L. Krzywickiego*. Rozwój społeczny

wśród zwierząt i u rodzaju ludzkiego, tegoż. Rozwój życia psychicznego *A. Mahrwuga* i *J. Kodisowej*. Rozwój moralności *L. Krzywickie go*. Rozwój sztuki *K. Krauza*. Informacje o uniwersytetach zagran. Z 45 ilustracjami w tekście. Wydawnic. A. Heflich i St. Michalskiego z zapom. kassy im. d-ra Miąnowskiego. K. N. 2.

SEMPER GOTFRYD: Cztery pierwiastki sztuki budowniczej, przyczynek do porównawczej umiejętności budowniczej. Odb. z „Architekta.“ Kraków, 1904. 8-ka, str. 89.

SERKOWSKI ST. DR.: Epidemiologia i profilaktyka cholery. Wyd. 2-gie (z mapą kolorową). Łódź, 1905. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-ka, str. 51.

SŁOWNIK LEKARSKI POLSKI: Opracowali z polecenia Tow. lekarskiego Krakowskiego profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, doktorowie Tadeusz Browicz, Stanisław Ciechanowski, Stanisław Domański i Leon Kryński przy współdziałaniu Tow. Lek. Warsz. wydziału lek. Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu, oraz wielu lekarzy i przyrodników polskich. Kraków, 1905. Nakład. Towarz. Lek. Krakowskiego. 8-o duża, str. II i 766.

STERLING SEWERYN DR.: O suchotach czyli gruźlicy, jak się tej choroby wystrzegać. Wyd. czwarte, poprawione. Wyd. Oddz. Łódzkiego Tow. Hyg. Warszawa, 1905.

DR. TOMASZEWSKI: Szkarlatyna (płonica). Łódź, 1904. 16-o, str. 6.

TENŻE: Tyfus brzuszny. Łódź, 1905. 16-o, str. 6.

TOWARZYSTWO TECHNICZNE KRAKOWSKIE. Sprawozdanie za rok 1904. Kraków, 1905. 8-o, str. 10.

WICHERKIEWICZ BOLESŁAW: Wpływ wrażeń psychicznych na powstawanie napadu jaskry. Odb. z „Post. okul.“ zesz. 3. Kraków, 1905. 8-o, str. 7.

ZBIÓR PRAC Z KLINIKI CHOROÓB WEWNĘTRZNYCH prof. dr. E. Korczyńskiego w Krakowie. Zeszyt XXIII. Odb. z „Przegl. lek.“ Kraków, 1905. 8-o, str. 98.

S Z T U K I P L A S T Y C Z N E.

MOKŁOWSKI KAZIMIERZ I SOKOŁOWSKI MARYAN: Do dziejów architektury cerkiewnej na Rusi Czerwonej. Kraków, 1905. Nakł. Akad. Folio, str. 30 z rycinami.

SOKOŁOWSKI MARYAN, WOROBJEW KAZIMIERZ I ZUBRZYCKI JAN. Kościoły i cmentarze warowne w Polsce. Odbitka ze Sprawozdań Komisji do badania historii sztuki w Polsce, t. VII. Kraków, 1905. Nakł. Akad. Spółka wydawnicza polska. 4-ka, str. 48 z 28 ryc.

P O W I E Ś Ć. — P O E Z Y A.

FRANCE ANATOL: Na białych głazach (Sur la pierre blanche), przekł. z franc. *H. Orlakowskiej*. Warszawa, 1905. Nakł. „Przegl. Powsz.” 8-ka, str. 219.

JABŁCZYŃSKI FELIKS: Romans, Około śmierci. — Przy robotach. — Szum drzew. — Eustachiusz. — Panna Anna i inne obserwacje życia. — Uczciwy człowiek. — Don Marco Bullon. — Pantofle. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, G. Gebethner i Sp. w Krakowie. 8-ka mała, str. 401 i 1 nl.

KACZKOWSKI ZYGMUNT: Powieść z przedmową *Wł. Jabłonowskiego*. Tom I IV. „Bibl. dzieł wyb.” nr. 383—386. Warszawa, 1905. 8-ka, str. 170 + 159 + 155 + 155.

ORZESZKOWA ELIZA: I pieśń niech zapłacze. Warszawa, 1905. Nakład Geb. i Wolfa w Warszawie. Skł. gł. Gebethner i Sp. w Krakowie. 8-ka mała, str. 209.

TEJŻE: Pan Kaprowski, obrazek. Warszawa, 1905. Nakł. „Księg. Polskiej.” 8-ka, str. 72.

PRÉVOST MARCELI: Juleczka, nowela małżeńska, tłóm. z franc. Kraków, 1905. St. Kawka. (Okładka wedle rysunku Jana Bukowskiego) 16-ka, str. 106.

SIENKIEWICZ HENRYK: Nowele. Tom I i II. Wyd. popularne. Warszawa-Kraków 1905. Skł. gł. w ks. Gebethnera i Wolffa. 8-ka, str. 308.

SŁOŃSKI EDWARD: Fragmenty. Warszawa, 1905. Skł. gł. w ks. Gebethnera i Wolffa. 8-ka, str.

TAUBES Z. S: Legendy żydowskie. Serya I. Z talmudu i Midraszu. Wydanie dla młodzieży. Lwów, 1905. Nakł. i druk. A. Goldmana, H. Altenberg. 8-ka, str. 114 + 2 nl.

HANSSON OLA: Jasnovidze i wróżbici. Przetłómaczył z norweskiego Stanisław Laek. Warszawa, 1905. Nakł. Gebeth. i Wolffa. 8-o, str. 156.

HUNT VIOLET: Kobieta bez serca (A heart woman) przełożył z angielsk. All. Lwów, 1905. H. Altenberg. 8-o, str. 389.

JUNDZIŁOWA GABRYELA: Portrety i poczye. Warszawa, 1905. Księg. M. Arcta. 8-o, str. 202.

KELLER HELENA: Historia mego życia, tłómaczyła M. Pankiewiczówna („Bibl. dzieł wybor.” № 365). Warszawa, 1904. 8-o, str. 133.

KONOPNICKA MARYA: Nowe pieśni. Warszawa, 1905. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-a podł., str. 206.

KOŚCIELSKI JÓZEF: Co mi Tatry dały? Preludya (sic!). Sonety. Kraków, 1905. G. Gebethner i Sp. 4-o, str. 98.

NALEPIŃSKI TADEUSZ: Gaśnienie. Kraków, 1905. Księgar. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 59.

OSTROWSKA BRONISŁAWA: Jesienne liście. Lwów, 1904. Nakł. H. Altenberga. 8-o, str. 70.

QUIS: Z wrażeń feljetonisty. (Tysiąc kilometrów samochodem). Warszawa, 1904. Skład główny w księgarni J. Fiszera. 8-o, str. 99.

ROGUSKI, S. M. (ES-EM-ER): Dobra partya z dziejów zwykłych ludzi. Warszawa, 1904. Nakładem i drukiem Alfreda Zonera. 8-o, str. 164.

RZEWUSKI JAN: Symfonia bólu. Nowele. Warszawa, 1905. J. Fiszer. 8-o, str. 33.

STEENBACH AKSEL.: Male dramaty. II Miłość. Kamelia. Po latach. Przekład Adolfa Strzeleckiego. Warszawa, 1905. Nakład. M. Arcta. Ks. dla wszystkich № 211. 16-o, str. 82.

ZANGWILL J.: Marzyciele Ghetta. Przekład z angielskiego Maryi Kreczowskiej z przedmową Wilhelma Feldmana. Brody, 1905. Nakł. i druk. Feliksa Westa. Okładkę rysował Wilhelm Wachtel. 8-o, str. VIII i 252.

ŻUŁAWSKI JERZY: Eros i psyche. Lwów, 1905. Nakł. księg. H. Altenberga. 8-o, str. 280.

TENŻE: Wianek mirtowy. 4 akty. Lwów, 1905. Nakł. księg. Narodowej. 8-o, str. 106 + 2 nl.

P U B L I C Y S T Y K A.

BRYL JAN, GUTWIŃSKI, ROMAN, STACH KAROL, SCHMIDT WIKTOR: Odpowiedź na zarzuty zawarte w broszurze p. t. „W sprawie prywatnej średniej szkoły żeńskiej w Krakowie.“ Kraków, 1905. Nakł. Grona naucz. 4-ka, str. 3.

GŁOSY W SPRAWIE BEZROBOCIA SZKOLNEGO. Ks. biskup Ruszkiewicz, H. Sienkiewicz, L. Górski, T. Korzon, A. Peplowski, A. Rembowski, I. Chrzanowski, przem. Hr. M. Zamoyskiego. 8-ka. str.

LUXEMBURG R.: Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy. Kwestya polska a ruch socyalistyczny. Zbiór artykułów o kwestyi polskiej R. Luxemburg, K. Kautsky'ego, F. Mehringa, Parvusa i innych, z przedmową... i uwagami wydawców oraz dodatkiem. Kraków, 1905. G. Gebethlera i Sp. 8-ka, str. XXX, 1 nl., 177 i 1 nl.

STUDNICKI WŁADYSŁAW. Ziemstwa. Kilka uwag na czasie. Warszawa, 1905. Nakł. Gebeth. i Wolffa. 8-ka, str. 33.

R Ó Ź N E.

KARŁOWICZ JAN: Słownik wyrazów obcego a mniej jasnego pochodzenia, nazywanych w języku polskim, zeszyt III (L, Ł, M, oraz niektóre wyrazy od N do Ź). Kraków, 1905. Nakł. rodziny autora. G. Gebethner i Sp. 8-ka większa, str. 333—411, 5 nl.

MARX KAROL: Praca najemnicza i kapitał. Warszawa, 1905. Skł. gł. w księgarni K. Idzikowskiego. 8-ka, str. 31.

SZYCÓWNA ANIELA: Zadania nauki języka polskiego w szkole ludowej. Warszawa, 1906. Nakł. Księg. Naukowej. 8-ka, str. 22.

WETLER A. Sz: Szpital kolei Warszawsko-Wiedeńskiej na st. Żbików dla nieszczęśliwych wypadków. Warszawa, 1905. 8-ka, str. 12.

